

Wendeta dla Świętego

Leslie Charteris



calibre 0.9.27

LESLIE CHARTERIS

WENDETA DLA ŚWIĘTEGO

TYTUŁ ORYGINAŁU: VENDETTA FOR THE SAINT

PRZEŁOŻYŁY: JANINA CARLSON KALINA WOJCIECHOWSKA

Nie ulega wątpliwości, że mafia jest jedną z głównych przyczyn nieszczęść mieszkańców Sycylii. Ilekroć zdarza się wykroczenie przeciwko prawu, powtarzane są słowa: „To sprawa mafii”.

Mafia oznacza owo tajemnicze uczucie lęku, jakie słynny zbrodniarz budzi w słabych.

Mafioso może zrobić wszystko, co mu się podoba, gdyż nikt go nie zadenuncjuje ze strachu przed nim. Nosi przy sobie niedozwoloną broń, podżega do pojedynków, zadaje cios w plecy, udaje, że przebacza obrazę, po to, aby porachunki załatwić później. Podstawowym kanonem mafii jest zemsta osobista.

Musimy zdać sobie z tego sprawę, że tradycje mafii przekazywane są z ojca na syna, tak jak w sferze fizycznej dziedziczy się choroby wrodzone. Mafiosi znajdują się wszędzie) na każdym kroku, począwszy od barona aż do robotnika w kopalni siarki.

Luigi Berti

Prefekt Agrigento

1875

ROZDZIAŁ 1

Jak lunch Simona Templara

został opóźniony

i jak ucierpiała na tym

jego garderoba

Była to chwila przerwy po zakąsce, kiedy zdrowy apetyt, delikatnie tylko podrażniony, odpoczywa w miłym oczekiwaniu na dalsze przysmaki. Simon Templar czuł chłód i lekkość, jakie pozostawiło mu na języku rosa del Vesuvio i przez kilka rzadkich tego rodzaju momentów w jego pełnym przygód życiu przygotowywał się, by ulec każdej z uciech natury gastronomicznej, jakich Neapol był w stanie dostarczyć, i usiłował nie myśleć o innego rodzaju rozrywkach, jakimi to miasto w pewien sposób słynie również. Gdzieś daleko za nim, w czeluściach „Le Arcate”, restauracji, w której się znajdował, langusta opuszczała skromne szeregi skorupiaków, wprowadzana do królestwa artyzmu w przebraniu jako aragosta alla Vesuvio. Zbliżała się chwila zakosztowania jej smaku i delektowania się nim w pełni. Nagle błogi nastrój Simona Templara zmacony został podniesionym i gniewnym głosem, który niby intruz wtargnął tu w sposób wulgarny i obcesowy.

— Wynos się! — zawarczał. — Nie znam cię!

Simon odwrócił się nieco na krześle, aby móc lepiej obserwować rozgrywającą się scenę, której przyglądał się bez zainteresowania.

Zgrzytliwy głos pochodził od siedzącego o kilka stolików dalej mężczyzny dobrze po pięćdziesiątce, którego brzuchatą figurę w udany sposób maskował skrojony po mistrzowsku garnitur z surowego jedwabiu barwy szaroperłowej. Pod marynarką koszula z najcieńszego chambray ściągnięta była pod szyję ręcznie malowanym krawatem z wpiętą brylantową szpilką, a przy nadgarstkach spinkami z dziesięciokaratowych szafirów. Na palcu wymanikiurowanym z niezwykłą starannością lśnił wielki pierścień z masywnego złota, służącego jako oprawa szmaragdu wielkości gołębiego jaja. Jednak mimo całej tej kosztownej elegancji twarz jego była trudna do opisanego, wyglądała jakby była prymitywnie pozlepiana z gliny, w której niewprawy rzeźbiarz, zamierzał modelować właściwy portret. Wszystkie rysy były niewyraźne z wyjątkiem szpary ust pozbawionych warg i szerokiego, starannie

przystrzyżonego obrzeża włosów, zaczesanych płasko wokół lśniącej łysiny.

Jego towarzysz był może o dwadzieścia lat młodszy, ubrany kosztem nie sięgającym nawet jednej dwudziestej kosztów elegancji tamtego, barczysty, o czarnych, kędzierzawych włosach i wyglądzie weneckiego gondoliera w wyobrażeniu nie podróżującej nigdy starej panny, trochę już podupadłego. Jeśli chodzi o stronę intelektualną, to mieli ze sobą jeszcze mniej wspólnego, zamienili bowiem zaledwie parę słów przez ten czas, gdy Simon obojętnie im się przyglądał. Skończyli już jeść i popijali czarną kawę, kiedy zjawiała się trzecia dramatis persona.

Osobą tą był niewątpliwie Anglik i to dżentelmen. Jego flanelowe spodnie i tweedowa marynarka nieomylnie zdradzały pochodzenie i fakt noszenia ich w Neapolu w połowie lata dowodził, że właściciel, przyzwyczajony do bardziej wilgotnego i chłodnego klimatu, z uporem uważał to za jedyny odpowiedni ubiór podczas wakacji w każdym kraju. Krój i faktura tkaniny, jak również wypracowany połysk butów zawiązanych w konserwatywny sposób, wskazywały na człowieka majątnego, obdarzonego dobrym smakiem w granicach ściśle przestrzeganej tradycji. Jednakże był to osobnik, który popełnił wyraźnie straszliwy, jak na Brytyjczyka, nietakt, narzucając się komuś całkiem obcemu.

Przechodził przez taras rozglądając się wokoło jak każdy turysta, zatrzymał się jakby na skutek spóźnionej reakcji, odwrócił, spojrzał, zawahał się i w końcu podszedł do plutokraty o pozlepianej twarzy.

— Dino — wyjąkał turysta z niemałym zakłopotaniem, które naturalną czerwień jego twarzy uczyniło mocniejszą — wiem, że to było dawno temu, ale czyżbyś mnie nie pamiętał?

— Jaki znów Dino? — W warczącej odpowiedzi brzmiał akcent amerykański, który jednocześnie był nieuleczalnie włoskim. — Nie znam żadnego Dino. Nie zawracaj mi głowy.

— Jestem Jimmy Euston — upierał się Anglik, walcząc z sobą o zachowanie spokoju i

godności. — Czy zapomniałeś Palermo? Bank? A ta blizna na twojej brodzie?

Palce siedzącego mężczyzny mimo woli powędrowały ku nie rzucającej się w oczy białej szramie z boku szczęki.

— Upał ci padł na mózg — powiedział. — Zjeżdżaj, nim się zdenerwuję!

— Ależ, Dino...

Odpowiedzią było nie więcej niż kiwnięcie palcem, nieznaczny ruch głową, lecz wystarczyło, by siedzący przy nim mężczyzna wstał bez namysłu. Schwycił Anglika za ramię i co nastąpiło potem, uszłoby uwagi każdego widza, tylko nie Simona.

Usta Eustona otworzyły się bezdźwięcznie, a jego czerwona twarz zbieleła. Pochylił się w przód pod wpływem nagłego spazmu. Simon, dla którego taktyka ta była tak znana jak elementarne zasady musztry Sierżanta, w lot pojął, co się stało: pod osłoną ciała ofiary i swego własnego kędzierzawy mężczyzna wymierzył krótki, złośliwy cios w splot słoneczny.

Nie koniec na tym. Ramię napastnika znów się cofnęło i tani materiał w paski zmarszczył się na wypukłości potężnych mięśni. Ponowny skurcz pchnąłby ramię w przód z dostateczną siłą, by złamać żebro. Tylko że tym razem zamiar nie został zrealizowany. Gdyby stalowe kleszcze, zamocowane na kamiennym słupie, zjawiły się nagle i zacisnęły wokół łokcia, ramię nie mogłoby być przytrzymane silniej. Zaskoczony gondolier odwrócił się z niedowierzaniem i spojrzał na śniade palce, które niby imadło zamknęły się na jego ramienia odbierając mu władzę. Stąd wzrok jego powędrował w górę, przez szeroką klatkę piersiową i muskularną szyję do twarzy intruza, opalonej twarzy awanturnika o niebieskich, śmiejących się oczach, których spojrzenie jednakże miało w sobie więcej chłodu niż Ocean Lodowaty.

— To bardzo nieładnie — stwierdził Simon.

Gdyby nie napięcie oczekiwania na nieunikniony wybuch, tworzyliby prawie komiczne trio, ramię przy ramieniu, niby trzej ucztujący przyjaciele, którzy za chwilę zaintonują pieśń.

Daleki wszakże od rozbawienia był wyraz poźółkłych i nabiegłych krwią oczu unieruchomionego napastnika, a zawarta w nim ponura groźba wywołała na ustach Simona uśmiech rozbawienia.

— Spróbuj ze mną, braciszku — nalegał łagodnie — spróbuj, jak chcesz, a obiecuję ci, że obudzisz się w szpitalu.

— Basta — wymruczał mężczyzna, który nie przyznawał się do imienia Dino. — Musieli się urwać z tego samego domu wariatów. Spływajmy.

W jednej chwili grożąca wybuchem sytuacja została rozładowana. Goryl wypuścił Eustona z uścisku i zrobił; w tył zwrot, żeby się wycofać na swoje miejsce przy stoliku obok szefa. Simon pozwolił mu odejść niezbyt; chętnie, lecz doszedł do przekonania, że to, co mogłoby być wspaniałą awanturą, zostałoby prawdopodobnie przerwane przez policjantów psujących innym zabawę i w rezultacie jego aragosta wystygłaby podczas przeprowadzania autopsji.

Banknot sfrunął z szelestem między filiżanki do kawy, a ubrany z demonstracyjną elegancją mężczyzna odwrócił się i odszedł, a za nim jego dwunożny pies; Simon wzruszył ramionami i ponownie spojrzął na Mr. Eustona. Twarz starszawego Anglika była wciąż jeszcze blada i zroszona potem w następstwie jedyne go okrutnego ciosu, jaki otrzymał.

— Proszę usiąść na chwilę przy moim stoliku — rzekł Simon prowadząc go w tamtym kierunku. — Niech pan się napije kropelkę wina. — Napełnił kieliszek. — A może coś mocniejszego, jeśli pan ma ochotę? Dostał pan paskudnego kuksańca.

— Dziękuję. Za moment będę czuł się dobrze.

Rumieniec z wolna powracał mu na twarz, w miarę jak popijał drobnymi łykami — może zbyt dużo — zauważył Simon, widząc rumieńce Anglika dojrzewające do czerwieni. Pan Euston nie tylko doznał publicznej zniewagi, lecz również uważał się za zobowiązanego wobec kogoś, komu nawet nie był przedstawiony.

— Nazywam się Euston — wymruczał niepotrzebnie. — Bardzo to ładnie z pana strony, że przyszedł mi pan z pomocą, panie...

Odpowiedzi przelatywały przez mózg Simona Templara z szybkością elektroniczną, należało tylko wybrać odpowiedź stosowną do okoliczności. Mógł podać swoje prawdziwe nazwisko, ryzykując, że wywoła entuzjastyczne: „Czy ten, którego nazywają Świętym? Nowoczesny Robin Hood świata zbrodni! Ach, co za Szczęście!” — i tak dalej. Albo mógł wymienić jedno ze swoich przybranych nazwisk, do których był uczuciowo przywiązany tak bardzo, że nawet co do kilku z nich istniało duże ryzyko, że w pewnych kołach mogą być rozpoznane. Mógł też wymyślić nową tożsamość — byłby to twórczy wysiłek, który obecna sytuacja z trudem mogła uzasadnić. Tak szybko, że nikt nawet nie zauważyłby najlżejszego wahania, wybrał drogę pośrednią.

— Tombs — powiedział — Sebastian Tombs. — Nazwisko nie wykrzesало żadnej iskry z oczu Jamesa Eustona. — Niech pan już o tym nie myśli. Ale następnym razem, jak pan pomyli nazwisko z osobą, lepiej nie upierać się przy tym.

— Ależ to nie była pomyłka — rzekł Euston ocierając pot z czoła. — Przysięgam, że to był Dino Cartelli, z którym pracowałem na Sycylii przed wojną. Przygotowywałem się do pracy w wydziale zagranicznym City and Continental i roczna praktyka w filii w Palermo była częścią nauki. Dino był moim najbliższym kolegą i łączyła nas przyjaźń. Z wyjątkiem tego razu, kiedy na jego twarzy zjawiała się ta szrama.

— Jak się to stało?

— To ja go uderzyłem. Różnica zdań, temperament latyński i takie różne rzeczy na temat pewnej dziewczyny. Otworzył nóż i musiałem go uderzyć. Nie byłem żadnym mistrzem ani amatorem, ale mój sygnet go skaleczył.

Simon zaciekawiony spojrzał z ukosa pytająco.

— Ach, więc to dlatego nie chciał w panu rozpoznać utraconego przyjaciela?

— O nie, nie doszło wtedy między nami do żadnej wendety. Dziewczyna uciekła z kimś innym, a my obaj zostaliśmy wystawieni do wiatru. Przeprosiliśmy się, pogodziliśmy i znów byliśmy dobrymi przyjaciółmi, a potem przeniesiono mnie na inne stanowisko. A teraz nie tylko udaje, że mnie nie zna, ale nie wiem, czy to on, czy ten typ, który jest z nim, zachowują się jak gangsterzy!

— Trochę zrobili takie wrażenie — przyznał Simon zamyśliwszy się. — Czy pan jest całkiem pewien, że to nie pomyłka?

— Wykluczone.

— Po tylu latach, nawet taka rzecz jak mała blizna...

— Jestem przekonany, że to był Cartelli. A kiedy się odezwał, nabrałem jeszcze większej pewności. Zwykle go drażniłem mówiąc, że ma głos jak żaba, a nie jak Caruso. Nie. Tylko ma pan dowód — powiedział Mr. Euston odwołując się we własnej obronie do jednej z kardynalnych zasad bezkompromisowego Brytyjczyka — że z cudzoziemcami nigdy nic nie wiadomo.

Ten tok rozumowania został przerwany przez langustę, na którą oczekiwał Simon, a która wjechała na stoliku na kółkach w otoczeniu świty kelnerów, zostawiając za sobą smugę elizejskich woni. Zrobił gest zapraszający.

— Czy zechciałby pan dotrzymać mi towarzystwa? Podzielimy się tą porcją, a tymczasem przygotowują następną.

Jednakże Mr. Euston zdawał się uważać, że wykazał już zbyt wiele poufałości jak na taką oficjalną znajomość. Odsunął w tył krzesło i wstał pośpiesznie.

— Bardzo miło z pańskiej strony, panie Tombs, ale już dostatecznie dużo sprawiłem panu kłopotów. Zresztą nie mógłbym teraz nic jeść. — Wyjął portfel i wyciągnął z niego bilet

wizytowy. — Jeśli będzie pan kiedyś w Londynie, a ja mógłbym panu czymś się przysłużyć, proszę do mnie zadzwonić. Jeszcze raz dziękuję za pomoc.

Uścisnął mocno rękę Simona, Odwrócił się i stanowczym krokiem odszedł, opuszczając świat Templara na zawsze. Wzruszeniem ramion Simon odsunął ten incydent od swoich myśli i całą swoją uwagę przeniósł na aragostę, która na to niewątpliwie zasługiwała. Rozważania na poruszony przez pana Eustona temat niemiłych niespodzianek, mogących spotkać każdego, kto zaryzykował opuścić hrabstwa i klany Albionu, mogłyby stanowić podniecający akompaniament do obiadu, jednak nie tak dalece, aby miał na tym ucierpieć apetyt. A co do spotkania, które wywołało cały ten incydent, Simon wciąż był skłonny zapisać je na karb zwykłej ludzkiej pomyłki. Najciekawsze w tym było to, że Euston miał szczęście trafić na osobnika, którego wszelkie znamiona świadczyły o spędzeniu jakiegoś czasu w USA, w kołach cieszących się wśród organów Immigration Service nie najlepszą opinią.

To znaczy, myślał tak do następnego ranka.

Nazajutrz, jedząc śniadanie w swoim pokoju, usiłował odwrócić uwagę od złego smaku kawy lekturą włoskiej gazety, ale bez wielkiego sukcesu, mimo zwykłej ilości nowin dotyczących kryzysów międzynarodowych i skandali lokalnych. Tak długo, dopóki nie dotarł do krótkiej wzmianki u dołu drugiej strony.

TURISTA INGLESE TROVATO ASSASSINATO — głosił nagłówek.

Mózg Templara otrzymał nagle cichy sygnał, włączający dzwonki alarmowe, które rozdźwięczały się bezgłośnie w uchu środkowym jeszcze zanim Templar przeczytał drugi akapit, donoszący, że zamordowany mężczyzna został zidentyfikowany jako James Euston z Londynu.

2

W różnych okresach wymieniano szereg przyczyn, jakie złożyły się na powstanie pozornie

niestosownego przezwiska „Święty”, nadanego Simonowi Templarowi, i w każdej tkwi źdźbło prawdy, aczkolwiek żadna z nich nie daje pełnej odpowiedzi. Przewisko jest wynikiem wielu wspólnych i wielu sprzecznych z sobą czynników, usiłujących skryzalizować wielki paradoks samego człowieka. Niemniej jedną z cech prawdziwej świętości, nigdy mu nie przypisywanych, była umiejętność przebaczenia.

James Euston nigdy nie był jego przyjacielem i prawdopodobnie nigdy nie mógłby nim być. Przy wszystkich swoich możliwych bezspornych zaletach pan Euston posiadał wszystkie cechy nieprzeciętnego nudziarza. Jego zgon nie mógł być wielką stratą dla nikogo z wyjątkiem, być może, najbliższej rodziny, jeśli ją miał. A Simon nie miał żadnego osobistego obowiązku, by go chronić, poza podstawową odpowiedzialnością cywilizowanego człowieka, którą już wypełnił ponad miarę. Jednakże, nie biorąc dość serio powagi Anglika i niefrasobliwie przypisując gangsterskie odruchy nie-Dina i jego najętego draba zabawnemu niemal zbiegowi okoliczności, pozwolił Eustonowi wyjść na pewną śmierć, której łatwo można było zapobiec. Stał się współnikiem, aczkolwiek mimowolnym, morderstwa popełnionego na bezbronnym, niewinnym człowieku; a nawet — chociaż udział jego był nie zamierzony — nie mógł sobie wybaczyć własnego zaślepienia. A zatem nie mógł przebaczyć ludziom, którzy je wykorzystali.

To miało oznaczać, że w szczególności nie mógł przebaczyć temu, który w końcu musiał być Dinem Cartelli. A przynajmniej istniały podstawy do takiego przypuszczenia.

W świetle tego, czego był świadkiem poprzedniego dnia, wydawało się, że wakacje Jamesa Eustona mogły być tak gwałtownie przerwane tylko z powodu rozpoznania w tym, do którego się zwrócił, Dina Cartelli. Gdyby to podobieństwo było przypadkowe i nieuzasadnione, Euston nie musiałby przypłacić tego życiem. Gazeta jako wyraźny motyw podała oczywiście rabunek. Ciało Eustona, którego głowę zmiażdżono, a kieszenie ubrania ogołocono z gotówki,

zostało znalezione w alei o kilka przecznic od hotelu: wydawało się bezsporne, że miał pecha, gdyż napastnicy zaskoczyli go w drodze do domu. Nie można było wykluczyć w tym zbiegu okoliczności — chociaż instynkt Świętego, teraz już wyczulony, odrzucił tę wersję. Do przykrych i wszechobecnych wyziewów Neapolu niewątpliwie trzeba było dodać podejrzany zapach zbrodni,

Simon ustalał te wnioski biorąc prysznic i ubierając się, a kiedy wyszedł na rozpalone jakby żarem buchającym z pieca ulice Neapolu, to nie w celach zwiedzania miasta ani spaceru.

Pora była jeszcze zbyt wczesna na pranzo, posiłek, który nigdy nie zaczyna się we Włoszech przed pierwszą, a w połączeniu z drzemką konieczną dla lepszego strawienia „pasty” i wina, może przeciągnąć się aż do późnego popołudnia. Ale w Le Arcate kilku sennych kelnerów zamiatało, wycierało kurze i rozkładało obrusy oraz srebrne sztuce na stołach, aby wszystko było gotowe, kiedy zacznie się ruch. Bez zbytniego zachęcania jeden z nich dał się przekonać i zapuścił się w ciemne zaplecze, aby poszukać szefa kelnerów. W brudnej koszuli bez kołnierzyka, z rękawami zawiniętymi do łokci i jeszcze nie ogolony, miał w sobie mniej dostojęstwa niż w czasie pełnienia obowiązków, lecz na wezwanie w godzinach wolnych od pracy zareagował z zawodową rezerwą i pewnością siebie. Skwapliwie uściśnął dłoń Simona, którą ten mu podał, a w wyrazie jego oblicza nie nastąpiła żadna zmiana, gdy poczuł zwinięty banknot. Papier znikł w kieszeni ze zręcznością nabytą w wielu takich manewrach i kelner pochylił głowę w głębokim skupieniu, aby dowiedzieć się, jakiego rodzaju drobna przysługa została kupiona.

— Jeśli pan pamięta, to jadłem tutaj wczoraj obiad — zaczął Simon.

— *Si, signore*, pamiętam.

— W tym samym czasie był tu mężczyzna nazwiskiem Dino Cartelli.

— Ten, który przysiadł się do pana na kilka minut? Myślałem; że to Anglik.

— Tamten tak. Ale ja mówię o innym gościu.

Czoło szefa kelnerów zmarszczyło się nad twarzą całkowicie огоłoconą z wyrazu.

— Cartelli? Nie znam nikogo o takim nazwisku.

O ile człowiek ten nie był wytrawnym aktorem, musiał mówić prawdę. Święty zazwyczaj sprawdzał swój sąd. Jeśli mu więc uwierzyć, to Cartelli nie tylko nie życzył sobie, żeby go poznano: miał nowe nazwisko i nie chciał nawet, żeby mu przypominano stare.

— Włoch — rzekł Simon — w jasnoszarym garniturze. Postawny, prawie łysy, głos miał niski, ochrypliwy. Siedział razem z jakimś młodszym mężczyzną przy tamtym stoliku.

Tym razem aparat do wykrywania kłamstw był mniej potrzebny, gdyż gałki oczne kelnera zrobiły obrót w kierunku wskazującego palca, po czym wróciły, aby skupić na Świętym spojrzenie wyrażające zdecydowanie mniejszą uprzejmość.

— Nie pamiętam nikogo takiego, *signore*. Rozumie pan, Neapol to duże miasto, a ta restauracja jest bardzo uczęszczana. Niemożliwe, żeby znać wszystkich. *Mi riacresce molto*.

Odprowadził Świętego do drzwi, mnożąc zapewnienia o swym żalu, że nie może pomóc, lecz nie dość zasmucony, by zwrócić pieniądze, które już znalazły się w jego portfelu.

Powinien przed pójściem na następną rosę otrzymać rozgrzeszenie za nie dotrzymaną obietnicę. Ale Simon zdawał sobie sprawę, że dyskusja z nim na ten temat byłaby stratą czasu.

Na zewnątrz portier, jeszcze nie noszący na sobie swego wspaniałego służbowego stroju, z flegmą zamiatał zaśmieconą w nocy część chodnika, nad którą sprawował rządy. Święty podszedł do niego i rzekł:

— Czy pan pamięta pewnego człowieka, który wczoraj był tu na obiedzie, raczej tęgi, łysy, o zachrypniętym głosie, w szarym ubraniu?

Złożony pomiędzy czubkami palców Simona banknot obiecywał wynagrodzenie z góry, więc ręka portiera zaczęła automatycznie wysuwać się ku niemu, zanim pełne znaczenia pytanie przeniknęło do mózgu. Wraz ze zrozumieniem zjawiała się reakcja i palce cofnęły się gwałtownie, jak gdyby po dotknięciu gorącego żelaza. Rzucił bystre spojrzenie przez ramię, po czym z twarzy jego znikł wszelki wyraz.

— *Non mi ricordo* — wybełkotał. — Mamy tylu klientów. Nie mogę pamiętać wszystkich.

Wrócił do swego zamyślenia z energią i uwagą znacznie większą, niż wykazywał na początku.

Simon popatrzył w stronę, w którą portier skierował swój wzrok, i zobaczył szefa kelnerów, wciąż czającego się w drzwiach wejściowych. Z rezygnacją wzruszył ramionami, odwrócił się i odszedł.

Wrażenie, że dał za wygraną, trwało tylko do chwili, kiedy za rogiem skręcił w następną przecnicę. Od razu krok mu się wydłużył i stawał się szybszy, w miarę jak zbliżał się do restauracji z przeciwnej strony. Łatwiej było ten manewr zacząć niż skończyć, gdyż w miastach włoskich niewiele jest z tego, co stanowi prostokątną zabudowę w sensie amerykańskim — są tylko skupiska albo bryły domów na wszystkich etapach starości i zniszczenia, poprzecinane zupełnie przypadkową siecią ulic i schodów według projektu, wydawałoby się, raczej jakiegoś entuzjasty układanek niż urbanisty. Wyteżywszy całe swe poczucie kierunku, Święty zdołał osiągnąć cel. W zadziwiająco krótkim czasie, nie widziany przez nikogo, kto nie szedł tą drogą z restauracji, zakończył pełną zakrętów wędrówkę i oparł się o ścianę przylegającego budynku w chwili, gdy portier zrobił ruch szczotką w tę stronę ze zwykłą obojętnością, na której przywrócenie nie trzeba było wiele czasu.

— *Amico* — rzekł Święty stłumionym głosem. — Czy nie wypróbowałby pan swojej pamięci jeszcze raz?

Na dźwięk tych słów zamiatający znieruchomiał. Potem z bolesną powolnością spojrzenie jego oczu „przewędrowało przez całą postać Świętego od stóp aż po uśmiechniętą twarz.

— Niech pan nie odchodzi i przestanie zamiatać — nalegał łagodnie Simon. — Nikt z wewnątrz mnie nie widzi i nikt nigdy nie będzie musiał się dowiedzieć, że wróciłem. Niech pan wysili swoje komórki mózgowy, żeby odnalazły nazwisko osoby, o którą pytałem.

— *Non capisco* — odrzekł portier zachrypniętym głosem i udał, że zabiera się do zamiatania, w taki sposób, że z trudem uwierzyłby w to zacofany w rozwoju pięciolatek. Pewnik, że pieniądze mówią, ma swoje wyjątki, lecz coś podszeptało Świętemu, że trafił na człowieka, który nie będzie stale głuchy na wystarczająco głośny krzyk. Tym razem wyjął banknot 10.000–lirowy i rozwinął go jak prześcieradło; w słońcu błysnęła złociście. Zwinął go z powrotem w rulonik i wypuścił z ręki. Portier patrzył pożądliwie, jak spadał, dopóki nie przykryła go stopa Simona.

— Czy pan rozumie? Tak łatwo byłoby panu to zamieść.

— Nie — odpowiedź była mechaniczna, ale siła wyrazu zmalała.

— Mógłby mi pan przynajmniej wskazać jakieś inne miejsce, gdzie dowiedziałbym się czegoś. Na przykład hotel, w którym mieszka? Kierowca taksówki, którą stąd odjechał, mógłby to powiedzieć, gdybym go odnalazł. Nikt nie będzie wiedział, że informację mam od pana.

Krople potu wystąpiły na śniadą twarz zamiataacza, strach walczył z chciwością. Simon wyjął następny banknot 10.000–lirowy i zwinął go równie starannie jak pierwszy.

— Excelsior. — Portier dyszał ciężko.

Simon przyglądał mu się przez długą chwilę i gdy mężczyzna dalej milczał, stało się jasne, że wymienił nazwę najokazalszego hotelu w Neapolu.

— *Grazie* — powiedział Święty. Upuścił drugi banknot i odwrócił się nie czekając, by

zobaczyć, jak razem z poprzednim został szybko zgarnięty do kupki śmieci, którą *portinaio* przesuwał w kierunku frontu pomieszczenia znajdującego się obok.

Niektórym osobom, dbającym o lokatę pieniędzy, ten wydatek mógłby się wydawać nieopłacalny, gdyż bez Sherlocka Holmesa można było wydedukować, że nieprawdopodobne, aby obywatel ubrany i przyozdobiony jak Cartelli nocował w jakimś podrzędnym hoteliku; lecz dla Świętego wart był tyle, ile czasu zaoszczędziłby na przetrząsaniu kolejnych *palazzi* — nie mówiąc o wyeliminowaniu możliwości, że rezydował w swoim własnym apartamencie czy domu. Teraz, jeśli tylko informacja była prawdziwa, Simon mógł zrobić bardziej zdecydowane posunięcie.

Czarno-zielona taksówka zjawiała się, kiedy skręcał w via A Falcone, i jechała za nim, a kierowca wyliczał zalety jej chłodnego wnętrza i fantastycznej szybkości w przeciwieństwie do nudy, jaka nieodłącznie wiąże się z męczącym spacerem w słońcu w samo południe.

Simon uległ jedynie z symbolicznym oporem i wsiadł, jednakże ciemne wnętrze nie oślepiło go tak dalece, aby nie dostrzegł sumy 300 lirów już wybitej na liczniku, ani też nie był tak dumny, żeby nie zwrócić uwagi kierowcy na to niewątpliwe przeoczenie. Po krótkiej utarczce słownej, w czasie której była mowa o pewnych dodatkowych opłatach nie uwidocznionych w czterojęzycznie sporządzonej taryfie znajdującej się wewnątrz taksówki, zgodzono się co do tego, że może licznik wymaga sprawdzenia, po czym kierowca z emocjonalną beztrąską, nasuwającą myśl, że tylko zabójstwo albo samobójstwo byłyby w stanie przynieść ulgę jego zranionym uczuciom, włączył swój pojazd w szaleńczy nurt ruchu ulicznego.

Simon kazał zatrzymać się najpierw przed sklepem z galanterią skórzaną, którą dostrzegł nie opodal hotelu Excelsior. Kupił w nim ładne pudełko na cygara ze świńskiej skóry ze złoceniami, nie próbując bardziej skąpić na jakości, niż zrobiłby to człowiek o tak dobrym smaku jak on. Dla niego była to jeszcze jedna inwestycja, tak samo jak sposób, dzięki

któremu rozwarł zapieczętoowane niewiekuiście usta portiera.

Zabrał pudełko i z tym samym nastawieniem wstąpił do Sale e Tabacchi, znajdującego się nieco dalej. Przy innej okazji zabawiłoby go wciągnięcie sklepikarza w długą i poważną debatę na temat wyboru torebki soli, którą, z przyczyn po wieczne czasy nie wyjaśnionych dla nie — Włochów, sprzedaje się w tych samych co tytoń sklepach monopolowych. Ale tego ranka zbyt go poganiała niecierpliwość, by miał tracić czas na cokolwiek poza kupnem dwóch wyborowych cygar, i sklepikarz, który je sprzedał po wyższej niż oficjalna cenie, nigdy się nie dowiedział, jaka męka go ominęła.

Simon włożył cygara do pudełka i trzymając je w ręku wszedł do kapiącego przepychem hallu hotelu Excelsior i skierował się do recepcji.

— Wydaje mi się, że to należy do jednego z waszych gości — rzekł. — Czy nie zechciałby pan postarać się o doręczenie mu tego?

Pudełko, które Simon położył na kontuarze, portier obejrzał z olimpijską obojętnością, stosowną do jego stanowiska, uważanego przez wszystkich portierów tylko za niewiele niższe od stanowiska dyrektora.

— Czy pan wie, którego z gości? — spytał, w subtelny sposób dając do zrozumienia, że zakres jego obowiązków obejmuje nie tylko tysiące, ale dziesiątki tysięcy osób i że każdy, kto sobie z tego nie zdaje sprawy, jest prawdopodobnie ze wsi.

Simon potrząsnął głową.

— Obawiam się, że nie. Przypadkiem zobaczyłem go, jak wsiadał do taksówki, i usłyszałem, jak kazał szoferowi zawieźć się tutaj, a potem zauważyłem leżące pudełko.

Podniosłem je i zawołałem, ale taksówka ruszyła i tamten nie usłyszał.

— Jak on wyglądał?

— Tęgi, około sześćdziesiątki, trochę szpakowaty, ale bardziej łysy, miał na sobie ubranie

z szarego jedwabiu, brylantową szpilkę w krawacie, spinki do mankietów z szafirami, złoty pierścień z wielkim szmaragdem.

Recepcjonista, na którego, podobnie jak na wszystkich członków tego unikalnego europejskiego bractwa, można było liczyć, że zna każdego z gości i wie prawie równie tyle co Pan Bóg o tym, co oni robią, słuchał ze skupieniem wzrastającym od łaskawie wypracowanej uprzejmości poprzez chęć samoistnej percepcji aż do końcowego błysku zrozumienia.

— Ach tak, myślę, że panu chodzi o signore Destamio.

Na niedostrzegalną chwilę Święty wstrzymał się z odpowiedzią.

— Nie Carlo Destamio?

— Nie. Nazywa się Alessandro Destamio. — Pudełko znikło pod kontuarem. —

Zatrzymam je dla niego.

— Chwileczkę — rzekł uprzejmie Simon — a dlaczego nie zatelefonować do jego pokoju i zapytać, czy nie zgubił pudełka do cygar? Prawdę mówiąc, nie widziałem, że to jemu wypadło z kieszeni. Może leżało tam cały czas?

— Nie mogę zapytać go teraz, proszę pana. Wyjechał wczoraj po południu.

— Doprawdy? — Powieka Simona nawet nie drgnęła. — To niedobrze. Oczywiście znalazłem to wczoraj, ale byłem zbyt zajęty, żeby przyjść wcześniej. Dokąd wyjechał?

— Nie powiedział mi, proszę pana.

— W takim razie, jak go pan zapyta?

Z pociemniałej twarzy, która od razu przybrała ironiczny wyraz, widoczne było, że portier bez entuzjazmu odnosił się do tego rodzaju wypytywania.

— Zapytam go, jak wróci, proszę pana. To nie jest turysta. Ma tutaj swój stały apartament.

Gdyby pan chciał zostawić swoje nazwisko i adres, odeślę panu pudełko, jeśli to nie jego właściciel. Ten nienaganny sposób bycia dawał do zrozumienia, że jeśli chodzi o jakies

wynagrodzenie, nie martw się, dopilnuję, żebyś je dostał, prawdopodobnie tego potrzebujesz.

— Niech pan sobie nie zawraca tym głowy — powiedział Simon beztrosko. — Jeśli okaże się, że to nie jego, proszę sobie wziąć to pudełko. Tylko niech pan będzie ostrożny z zapalaniem cygar, na wypadek gdyby to wszystko ukartował jakiś doświadczony żartowniś. Uważał, że to zakończenie nie było całkiem bezowocne; pozostawiało interesujące perspektywy do przyszłych dociekań.

A poza tym rezultatem wizyty było to wszystko, czego miał prawo się spodziewać, jeśli nie więcej: nazwisko.

Alessandro Destamio.

3

Najbardziej wykształceni Amerykanie, których wzrok, oderwany od najbliższego telewizora, zdolny jest jeszcze odczytać słowo drukowane, potrafią odróżnić nazwisko Alessandro Destamio od wszystkich jego synonimów, jakie się kolejno pojawiały na ekranie. Nazwisko to, przez częste powtarzanie go w wiadomościach prasowych i popularnych artykułach, stało się dobrze znane nawet tej znacznej liczbie osób, które nadal miały zaledwie nikłe pojęcie o jego właściwej działalności. Był członkiem „Syndykatu”, na wpół mitycznej organizacji, niejasno określonej jeszcze dla większości czytelników, nadzorującej wszystkie nielegalne, a bardzo lukratywne interesy w USA i gorsząco wysoki procent polityków lokalnych. Nie był jednym z jej szefów, człowiekiem o tak wyjątkowym znaczeniu jak Luciano czy Costello, lecz co najmniej kimś, kogo można by nazwać ministrem gabinetu niższej rangi — jedno z tych nazwisk, które dziennikarze mogą systematycznie chłostać bez ryzyka procesów o zniesławienie, a urzędnicy federalni wystawiać nieustanne nakazy aresztowania, choć rzadko nazwiska te figurują na liście mieszkańców więzień, a kiedy już do tego dojdzie, to zwykle z powodu jakiejś usterki natury technicznej w ich zeznaniach

podatkowych.

Al Destamio, Simon przypomniał sobie dokładnie, był jednym z tych, którym się nie powiodło kilka lat temu, i został przymusowo odesłany do swego rodzinnego kraju po rocznej kuracji w Leavenworth, co kosztowało rząd USA tylko o kilka tysięcy dolarów więcej niż wynosiła suma zarzucanych mu nadużyć.

Niemniej, kiedy znalazł się znów u siebie, nie cierpiał najwidoczniej na brak kieszonkowego i wciąż jeszcze wzbudzał atmosferę grozy wśród pracowników restauracji i hotelu. Wuj Sam nie docenił go i mógł dać mu kopniaka, ale tutaj, w swoim kraju, Alessandro bynajmniej nie wyglądał na rozbitka wyrzuconego przez fale. Daleki był od tego. W rzeczywistości zdawał się cieszyć szacunkiem, którego mógł mu pozazdrościć Syn Marnotrawny.

Tutaj Święty uznał, że dla rozszyfrowania tych tajemnic przydałoby się zasięgnąć jakichś lokalnych informacji z odpowiedzialnego źródła. Niestety, jego szczupły, lecz pod kątem strategii ułożony spis adresów nie obejmował ani jednego w tym mieście. Nagle przypomniał sobie, że jego dawny przyjaciel, Giulio Trapani, miał willę w Sorrento, odległym nie więcej niż o kilka godzin jazdy stąd, i zwykle spędzał tam każde letnie wakacje. Simon nie znalazł nic w książce telefonicznej, którą przestudiował w garażu hotelowym, więc zdecydował, że szybciej będzie pojechać na miejsce i tam dowiedzieć się wszystkiego, niż toczyć bitwę z informacją włoskich telefonów. W czasie krótszym, niż byłby potrzebny na uzyskanie połączenia telefonicznego, znalazł się w swoim samochodzie i pędził w kierunku słynnej drogi wzdłuż wybrzeża do Amalfi.

W tym jednak przypadku nie miało to żadnego znaczenia. Willę udało mu się znaleźć bez większego trudu, lecz *padrone* wciąż przebywał nad Tamizą, gdzie prawdopodobnie jeszcze nie wyczerpał swoich funduszków reprezentacyjnych.

W Sorrento zjadł królewski obiad złożony z zuppa di pesce i calamaretti podlanych butelką antonori classico na tarasie La Minervetta z widokiem na oślepiająco błękitne morze, a później wykąpał się przy skałach; w tym samym przejrzystym błękicie wód, na koniec wrócił do Neapolu odświeżony i wypoczęty, lecz ani trochę mądrzejszy niż przed wyjazdem. Za rekomendacją życzliwego przyjaciela Święty zarezerwował sobie pokój w hotelu skromniejszym niż Excelsior, położonym nieco dalej, na via Partenope, biegnącej wzdłuż morza. Okazało się, że jest znacznie mniej luksusowy niż kategorie hoteli, w których Simon Templar zwykle się zatrzymywał w tym okresie swego życia; lecz przyjechał późno w nocy, a że pokój zrobił wrażenie dostatecznie czystego i wygodnego, szukanie innego na te dwa czy trzy dni, które zamierzał tu zostać, nie wydawało się warte trudu. Było tu pusto i mniej służby niż w innych konkurencyjnych zakładach, jedyny istotny mankament, który nie przyszedłby mu do głowy nigdy, gdyby tak szybko nie zawarł znajomości ze zmarłym Mr. Eustonem. Sam wziął sobie klucz zza kontuaru — przy którym dyżurowali w różnych godzinach kierowniczka, portier, kelner czy któraś z pokojowych, nie mająca w danej chwili innego zajęcia, a gdy ich nie było, naciskało się guzik dla przywołania kogoś z personelu — i wsiadł do windy bez obsługi, żeby wjechać na swoje piętro. Kiedy wysiadł, z korytarza nadbiegł pędem jakiś człowiek, chcąc zdążyć do windy. Święty odwrócił się i przyjrzał mu się z nagłym zaciekawieniem.

Czytelnicy tego opowiadania, których zdziwi to, że człowiek biegnący do windy może wydać się tak osobliwym zjawiskiem, zdradzają tylko swoje ograniczone horyzonty. Gdyby korzystali z piętnastodniowych wycieczek do ośmiu krajów, dwudziestu dwóch miast, proponowanych przez filantropijne linie lotnicze, wiedzieliby, że na wybrzeżu Morza Śródziemnego w lecie nikt, absolutnie nikt nie biegnie do windy ani do niczego innego. Oto dlaczego Święty szczególnie pilnie patrzył na spiczastą twarz, gryzoniowate zęby, niby

przeciągnięty sznurek linie wąsów, ubranie w szerokie paski i bogactwo innych banalnych szczegółów, nie zasługujących na uwagę, nim dziwny nieznajomy z gorączkowym pośpiechem wskoczył do leniwie sunącego pudła windy i znikł mu z oczu,

Wszystko to trwało może trzy sekundy i skończyło się, nim jakieś znaczenie tego incydentu mogło przeniknąć przez pierwszy odruch zdumienia. A w chwili gdy Simon doszedł do swego pokoju, dalsze dociekania stały się zbyteczne.

Drzwi nie były całkiem zamknięte i klucza użył tylko, żeby je pchnąć.

Powiedzieć, że pokój został przeszukany, byłoby raczej określeniem huraganu jako silnego wiatru, przy czym trzeba stwierdzić, że huragan nie wyrządziłby i tutaj większej szkody.

Ktokolwiek tu był — Święty nie miał już dłużej co do tego wątpliwości, że to tamten człowiek o twarzy szczura, któremu tak się śpieszyło — sprawnie porozbierał wszystko na części. Intruz nie zadowolił się wyrzuceniem na podłogę zawartości szuflad i walizek, lecz porozrywał w ramionach jedno z najwykwintniejszych dzieł kunsztu krawieckiego Savile Row i rozpruł w nim szwy. To samo ostrze pocięło podszewkę i podważyło obcasy w butach, nie mówiąc o tym, co spotkało wewnątrz materaców.

Tylko osoba, znająca obyczaje Świętego, była w stanie ocenić spokój, z jakim szacował rozmiary zniszczenia i z jakim strzepnął popiół z papierosa na stos śmieci przed sobą.

— *Che cosa fa?* — rozległ się za nim zdyszany głos i Święty odwróciwszy się ujrzał pokojówkę, która z szeroko rozwartymi ustami zaglądała z korytarza do wnętrza pokoju.

— Gdyby ktoś był tam na dole, mogłoby się to nie zdarzyć — powiedział chłodno. —

Proszę zrobić porządek. Ubrania, które warto naprawić, może pani podarować mężowi czy kochankowi, komu bardziej się przydadzą. A jeśli kierownik ma mi coś do powiedzenia, znajdzie mnie w barze.

Na szczęście wśród innych leków znajdował się Peter Dawson i podwójna porcja z

mnóstwem lodu i odrobiną wody była w stanie stępić najbardziej tnące ostrze jego gniewu tudzież ugasić pragnienie, które wezbrało w nim w czasie drogi powrotnej. Zniszczona garderoba była tylko chwilowym kłopotem: telegram do Londynu załatwi mu przysłanie do razu nowej, a na miejscu byli doskonali krawcy włoscy i najlepsi na świecie szewcy. Po stronie dodatniej ostatni ślad przypuszczenia, że śmierć Eustona była zbiegiem okoliczności, został usunięty. I Cartelli, czy Destamio, był zainteresowany interwencją Simona Templara dostatecznie, żeby kazać przeprowadzić o nim pełny wywiad i przeszukać jego rzeczy, co mogło mieć za cel wykrycie jakiegoś powiązania natury urzędowej lub kryminalnej. Szybkość i wyraźna łatwość, z jaką go odnaleziono, wskazywały na organizację o imponujących rozmiarach i kompetencji i mogły odstraszyć każdego, ale nie Simona. Miał on poważne wątpliwości, czy nawet lokalna policja z całą swoją władzą i aparatem wywiadowczym mogłaby spisać się tak dobrze. Ale trzeźwa Ocena przeciwności losu i nierównych szans nigdy nie zniechęciła Simona Templara — czyniła grę tym bardziej interesującą.

Wkrótce zjawiał się kierownik czy też mąż kierowniczkii. Z obowiązku załamywał ręce nad przykryta incydem, po czym rzekł:

— Pan się oczywiście przejmuje zniszczeniem, jakiemu uległo łóżko. Proszę już o tym nie myśleć. Wstawiłem nowe i po prostu obciążymy pana rachunek.

— Jak to miło z pana strony — powiedział Święty. — Nie lubię uchodzić za niewdzięcznika, ale w gruncie rzeczy bardziej przejąłem się moimi rzeczami, które zniszczono, a stało się to dlatego, że u pana tak łatwo złodziejom dostać się do pokoi.

Ręce, ramiona i brwi kierownika rozszerzyły się jednocześnie w eksplozji niedowierzania, oburzenia, wyrzutu i lęku.

— Ależ? signore, nie odpowiadam za to, że pan ma przyjaciół, którzy może robią takie

rzeczy dla żartów.

— To jest argument — przyznał Simon. — A zatem prościej będzie, jeśli pan mi w ogóle nie da rachunku. Bo inaczej mógłbym polecić innym wesołym przyjaciółom, żeby przyszli tutaj, i wtedy zrobiliby to samo we wszystkich pańskich pokojach. — Tu zwrócił rozmówcy rachunek i dodał: — Och, i dziękuję za drinka.

Przez resztę wieczoru czuł się lepiej, lecz zachował ostrożność siadając przy obiedzie na rogu stołu i oglądając starannie butelkę wina, jaką mu podano, przed jej odkorkowaniem. Fakt, że jakiś ukryty za kulisami Borgia mógł mu dodać czegoś do spożywanych posiłków, był ryzykiem, z którym musiał się liczyć; lecz w swoich kalkulacjach zauważył, że dla jakiejś niejasnej przyczyny trucizna nigdy nie była bronią uznawaną przez bractwo, którego Al Destamio był tak wybitnym członkiem. Wydawałoby się, że to o wiele łatwiejsze i prostsze niż technika rewolweru. Nigdy nie potrafił zdecydować, czy odpowiedzi należało szukać w jakimś kodeksie wypaczonej rycerskości, wymagającym rzeczywistej konfrontacji wroga przed jego unicestwieniem, czy też jest tak dlatego, że efektowna strzelanina trafia do wiadomości publicznej pod nagłówkami budzącymi grozę, która trzyma innych w karbach. Ale nic, nawet najlżejszy niepokój nie zakłócił mu tego wieczoru, a kiedy rankiem nastąpiło kolejne posunięcie, było ono całkowicie różne od wszystkiego, czego z góry oczekiwał.

Kiedy po śniadaniu zszedł na dół i oddał klucz przy kontuarze, stojący tamże osobnik o nieco ponurym wyglądzie, w liberii szofera, zbliżył się do niego i skłonił z szacunkiem. — Przepraszam pana — odezwał się możliwą angielszczyzną. — Pan Destamio chciałby się z panem zobaczyć i przysłał mnie ze swoim samochodem. Nie chciał narażać pana na obudzenie telefonem, więc kazał mi tu czekać, dopóki pan nie zejdzie na dół.

Święty przyglądał mu się bez wyrazu.

— A przypuścmy, że miałbym inne plany — powiedział. — Na przykład takie, żeby wyjść i kupić sobie nowe ubranie.

— Pan Destamio miał nadzieję, że pan z nim porozmawia, zanim pan zrobi cokolwiek innego — odrzekł szofer z równie nieprzeniknionym wyrazem twarzy. — Przykazał mi obiecać panu, że pan nie pożałuje tej uprzejmości. Samochód jest przed hotelem. Proszę. Zamaszystym ruchem ręki powtórzył zaproszenie jednocześnie wskazując kierunek, lecz gest, ton głosu ani same słowa nie zawierały groźby. Przekazawszy polecenie, szofer czekał bez żadnej oznaki zniecierpliwienia, aż Simon sam podejmie decyzję.

Cóż, myślał Simon, któregoś dnia nieuchronnie musi źle rozwiązać zagadkę, pomyli się fatalnie. Ale nie przypuszczał, żeby to było dziś. A bądź co bądź okazja zawarcia znajomości we właściwy sposób z taką osobistością, jak pan Destamio, była zbyt wielką pokusą, żeby jej się oprzeć.

— Okay — powiedział niedbale — skorzystam z zaproszenia.

Nie musiał się rozglądać za samochodem. Uznał, że cadillac, zaparkowany na ulicy, mógł być jedynym wchodzącym w rachubę pojazdem, jeszcze nim szofer nie bez pewnej dumy otworzył drzwiczki. Wóz był czarny, zwężony w tyle, olbrzymi, wypolerowany tak, że lśnił jak klejnot i był całkowicie nie na miejscu w tej ścieśnionej starożytności ulicy. Bez wahania Święty wsiadł do przepastnego wnętrza i nie był zaskoczony, że znalazł się tu sam.

Jakiegolwiek zamiary miał Destamio, na pewno nie był tak wielkim idiotą, aby go zabijać we własnym samochodzie w centrum Neapolu. Okna były pozamykane i dawał się słyszeć cichy, miękki szmer urządzenia klimatyzacyjnego. Simon zagłębił się w siedzeniu, obiecując sobie przyjemną jazdę.

4

Podróż nie była długa, lecz obfitowała w dostateczną ilość wrażeń. Pod zręcznym

dotknięciem kierowcy wóz wśliznął się w ruch uliczny jak lewiatan w głębinę. Ławice małych samochodów mknęły we wszystkich kierunkach, odgłosem klaksonów torując sobie drogę przez tłum wolno poruszających się przechodniów, dorosłych, dzieci i zwierząt. Przez grube szkło i wyściełany metal wszelki hałas docierał do Simona tylko jako najdelikatniejszy szelest. Chłodny powiew odświeżał jego twarz i unosił z sobą dym z papierosa w tej samej chwili, kiedy Simon wypuszczał go z ust.

Lewiatan sunął majestatycznie pośród małych rybek w kierunku zatoki. Nie zwalniając wjechali przez bramę prowadzącą do portu, przy której strażnicy zaszalutowali z szacunkiem. Simon spojrzął na luki z boków statków — stały tylko liniowce, mniejsze promy znajdowały się poza ogrodzeniem, w publicznym porcie — i doznał chwilowego uczucia lęku, że został porwany, ale samochód zatrzymał się miękko przy najnowocześniejszej konstrukcji betonowej, podobnej do olbrzymiego stołu bilardowego na pająkowatych nogach.

Wybudowano ją od czasu jego ostatniego pobytu w mieście i przez kilka sekund stanowiła dla niego zagadkę. Potem usłyszał warkot śmigieł nad głową i rzecz się wyjaśniła.

— Ischia czy Capri? — spytał szofera niechętnie wysiadając z auta w słoneczny żar.

— Capri. Tędy, proszę pana.

Te dwa ustronia, dwie wyspy radości i słońca, położone są o osiemnaście mil od miasta, przy zewnętrznym brzegu zatoki. Normalnie dociera się tam różnego rodzaju statkami, promami, łodziami rybackimi przystosowanymi do tego celu i podróż taka trwa od jednej do czterech godzin, zależnie od umiejętności przetłumaczenia przez pasażera błędnych informacji. Dobrobyt i technika przyniosły zmiany nielicznym, tym z dobrze nadzianą kieszenią, dając im do dyspozycji helikoptery, które tę samą przestrzeń odbywają w kilka minut. Jeden z nich wydawał się czekać wyłącznie na Simona: gdy tylko znalazł się on na jego pokładzie, drzwi się zamknęły i uniósł się w górę tak łagodnie, jakby to była winda.

Lecieli nad niewiarygodnie błękitnymi wodami zatoki i przed Simonem rozpościerała się cudowna panorama, musiał przyznać, choć dotychczas był zdania, że broszury biur podróży zbyt wiele rozpisywały się o tym. Pionowe skalne ściany Capri wyrastające wprost z morza robiły równie silne wrażenie oglądane z powietrza, jak przy zbliżaniu się w bardziej zwykły sposób. Pilot skręcił nad Marina Grandę, zrobił okrążenie nad szczytem Monte Soloaro, tak że jego pasażer mógł zobaczyć najefektowniejsze widokowo strony wyspy, po czym opuścił się lekko na wymalowane koło lądowiska, położonego w miejscu zwanym Damecuta, gdzie znajdował się jeden z wielu pałaców, które cesarz Tyberiusz rozsiał po swojej ulubionej wyspie; dokładnie tak daleko od miasta, jak to było możliwe, aby dotrzeć po stałym lądzie. Simon wysiadając zastanawiał się, jakim środkiem lokomocji odbędzie ostatni odcinek podróży. Był pewien, że co do wspaniałości nie będzie ustępował dotychczasowym. Ukazało się coś w mini — szortach i opalaczu — był to pełny ubiór na tym wyspiarskim lido — i Święty z lubością patrzył na rozległe przestrzenie ciała, które nie miały być przysłonięte, wiedząc z doświadczenia, że ludzie w ten sposób rozebrani oczekują, aby im się przyglądano. Zjawisko o długich opalonych nogach i złotych włosach spłynęło ku niemu ruchem obrotowym, który z wielkim efektem ukazał inne jeszcze elementy.

— Pan Templar? — spytało zjawisko niskim głosem, z którego biło ciepło.

— Nikt inny — odpowiedział zachwycony. — Jak pani mnie znalazła w tym tłumie?

Pilot helikoptera i pracownik, stanowiący cały personel — jedyne audytorium — przyglądali się z uznaniem, czekając, kiedy boginka się odwróci i odsłoni resztę swych urzekających zaokrągleń. Zignorowała żart Świętego i tylko gestem wskazała parking.

Ponieważ szerokość drogi na Capri pozwala się minąć zaledwie dwóm wózkom dziecięcym, używane są tylko małe samochody, a nawet autobusy są miniaturowe. Toteż trudno było oczekiwać tu jeszcze jednego cadillaca, ale zastępował go idealnie mały alfa

romeo koloru kremowego, do którego wszedł Święty i w którym funkcję kierowcy miała pełnić nimfa, w oszłamiający sposób demonstrująca swe wdzięki.

Nie mniej oszłamiający był jej styl prowadzenia, samochód wystartował niby pocisk, biorąc zakręty opasującej górę jezdni tak dalece od niechcenia, że Święty mógł już tylko zaufać, że ona wie, co robi. Kilkakrotnie spoglądał na nią dyskretnie, lecz jej wargi, pokryte grubą warstwą szminki, nie poruszały się, a górną część twarzy przysłaniały ogromne okulary przeciwsłoneczne w oprawce z kwiatów, tak że oczy i wszelki wyraz wokół nich były całkowicie ukryte. Jej uwaga wydawała się skupiona wyłącznie na drodze, w tej sytuacji Simon czuł się zbyt wielkim dżentelmenem, żeby narzucać się jej swoją osobą. Zwłaszcza że jechali skrajem skały pionowo spadającej w taką przepaść, że łodzie wyglądały jak zabawki na stawie.

Szczęściem dla jego wytrzymałości nerwowej miała bardzo ograniczoną długość drogi do przebycia na wyspie i nawet nie włączyła jeszcze trzeciego biegu, kiedy dojechali do miejsca przeznaczenia, willi z widokiem na plażę i zatoki Marina Piccola. Czujność bezwiednie powróciła, kiedy szedł po ścieżce wyłożonej kamiennymi płytami. Stawił się sam, bez oporu, dokładnie w tym miejscu, gdzie Destamio sobie życzył, i może w bardzo krótkim czasie okaże się, jak bardzo lekkomyślnie postąpił. Nie zawstydził się nawet ulgi, jakiej doznał, gdy urocze widziadło samo przycisnęło dzwonek, oszczędzając mu w ten sposób wszelkich obaw o niebezpieczeństwa ukrytego tam mechanizmu. Niejeden raz w przeszłości mógł się przekonać, jak śmiercionośne bywają te pospolite urządzenia. Tym razem jednak guzik nie wprowadził w ruch żadnych zatrutych igieł, utajonej broni, bomb, nie rozpylił gazu; drzwi otworzyły się najzwyczajniej w świecie, bez żadnego incydentu. Zamiast dokonać uprzednio zaplanowanej zbrodni, ukazały, wystający brzuch signore Destamio, ubranego w wiśniową koszulę i purpurowe szorty maskujące jego figurę w kształcie gruszki w znacznie mniejszym

stopniu, niż modny garnitur, w którym Simon zobaczył go po raz pierwszy.

— Pan Templar! Jak miło, że pan przyjechał — zachrypiał znajomy głos. Destamio wyciągnął rękę i wprowadził Simona do wnętrza domu. — Chciałem z panem porozmawiać i wyobraziłem sobie, że to miejsce będzie równie dobre jak inne, lecz lepsze niż większość, prawda?

— Być może — rzekł ostrożnie Simon. Obserwował wszystkie kąty i interesujące wgłębienia ścian, nie dając tego poznać po sobie. Ale nie było widać żadnych zbirów i jak dotąd, sytuacja wydawała się przejrzystie nieszkodliwa.

— Proszę dalej, usiadźmy na tarasie, tam jest przyjemny chłód i przepiękny widok. Lily przyniesie nam coś do picia i potem się ulotni.

Jeśli Lily poczuła się urażona, to nie okazała tego. Jak tylko Destamio i Simon usiedli po obu stronach szklanego stołu ze zdobieniami z kutego żelaza, przyciągnęła bat na kółkach i wyszła. Simon usłyszał trzaśnięcie zamykanych drzwi w głębi domu.

— Proszę — rzekł Destamio — niech pan nalewa. Dla mnie brandy i ginger ale, jeśli można pana trudzić.

Biorąc dwa kieliszki i butelkę, Simon podziwiał zręczny i taktowny sposób wyeliminowania obawy co do możliwości spreparowania trunku. Sam wykazał nie mniejszą ostrożność, aby z tej samej butelki nalać do, obu kieliszków. Z uznaniem zauważył, że koniak był marki Jules Robin, choć normalnie nie piłby go przed jedzeniem.

— Czy pan przypadkiem nie pracuje ostatnio dla tych drani z Bureau of Internal Revenue?

— spytał Destamio nie zmieniając tonu, którym rozmawiał dotychczas.

Mówiąc wpatrywał się w Simona, potem jego twarz przybrała wyraz świadomie obojętny, nie ukrywając jednak całkowicie błysków groźby w głębi oczu.

Święty popijał trunek drobnymi łykami i zewnątrz był równie spokojny jak tamten, ale

mózg mu wirował niczym komputer IBM. Wzmianka o urzędzie podatkowym ukazała nagle kartę, na której umieszczenie w kartotece czekał od wielu godzin.

— Wiewiórka — powiedział jak we śnie — „Wiewiórka” Destamio. Czy nie tak pana nazywano?

— Moi przyjaciele nazywają mnie Al — warknął tamten. — A oto co chcę wiedzieć o panu: po której pan jest stronie?

— Czy człowiek musi być po jakiejś stronie? — przeciągle spytał Święty. — Nienawidzę płacenia podatków, tak samo jak każdy, toteż nie mogę powstrzymać pewnego rodzaju sympatii dla wszystkich, którzy mieli kłopoty z urzędem podatkowym. Ale unikanie podatków nie jest najcięższym z przestępstw, o jakie jest pan oskarżany, prawda?

Al.–Wiewiórka Destamio wyjął z kieszeni pomiętą torebkę i wyciągnął z niej przedmiot, który można by określić jako cygaro, choć w rzeczywistości był bardziej podobny do kawałka zbutwiałej liny, zamoczonej w dziegciu i na wiele lat zakopanej w ziemi. Przeciął tę rzecz scyzorykiem i połowę podał Świętemu. Simon grzecznie potrząsnął głową i jak urzeczony patrzył na swego gospodarza, który z wnętrza jednej z połówek wyciągnął pożąłkłą słomę i do rozciętego końca przyłożył zapaloną zapałkę. Kiedy ten odrażający przedmiot rozgrzał się całkowicie, podniósł go do ust i zaczął ożywiać, wypuszczając kłęby dymu. Simon cofnął trochę krzesło, aby nie znajdować się bezpośrednio w zasięgu dymu, ponieważ doświadczył już trującej mocy niesławnego cygara tokańskiego.

— Wszyscy o mnie słyszeli! — rzekł Destamio, najwyraźniej nieświadom szkodliwego wpływu dymu na gardło i płuca. — W tym właśnie jest sęk. Wierzą w te kłamstwa drukowane w gazetach i uważają, że nie należą mi się większe prawa niż wściekłemu psu. A ja jestem spokojny człowiek. Po prostu chcę mieć spokój.

— Domyślam się, że żaden z tamtych facetów z Syndykatu nie chce niczego więcej —

przyznał współczująco Simon.

— Kłamstwo, wszystko kłamstwo — mamrotał Destamio nie okazując zbytniego podniecenia. Mówił dalej monotonie, jakby recytując opowiadanie, które już tyle razy było powtarzane dziennikarzom, policjantom i co bardziej wnikliwym przedstawicielom sądownictwa. — Wyjeżdżam z Włoch do Stanów z kilkoma dolarami, wkładam je w interes transportowy no i robię trochę forsy. Robię jeszcze trochę więcej forsy, bo lubię grać na wyścigach i mam szczęście. Może więc popełniam błąd, że nie podaję moich wygranych, a oni myślą, że ja zarabiam więcej, niż wykazuję. To jest szykana, nic innego. Po prostu dlatego, że jestem Włochem, a niektórzy faceci w gangach to Włosi, no i nazywają mnie aferzystą. Lubię Amerykę, ale postępują ze mną nieuczciwie.

Opowiadanie dobiegło końca i Destamio obniżył poziom płynu w kieliszku o pełny cal. Teraz Simon przypomniał sobie dalszy ciąg historii, dołączając kilka szczegółów, które Wiewiórka Destamio pomiął. Wczesna przeszłość była niejasna, ale obejmowała dwa czy trzy aresztowania pod drobnymi zarzutami i krótki okres spędzony w więzieniu za napad z bronią w rękę przed awansem do wyższych sfer Syndykatu. Potem notowano jego obecność na tajnych zebraniach w odległych górskich szaletach i nazwisko Alessandra Destamia regularnie wylaniało się w artykułach na łamach popularnych magazynów, poświęconych bezkarnej arystokracji świata podziemnego. Chociaż tak jak i inni, których nazwiska wymieniano w podobnych okolicznościach, wykazywał niezwykłą powściągliwość, jeśli chodzi o pociąganie oszczerców do odpowiedzialności, nikt, jak się zdawało, nie mógł przedstawić konkretnych dowodów przeciwko niemu, dopóki księgowi Ministerstwa Sprawiedliwości nie znaleźli wystarczających rozbieżności w jego zeznaniach finansowych, aby wytoczyć mu sprawę.

Pojedynki prawne, jakie nastąpiły, były kosztowne zarówno dla rządu jak i dla Wiewiórki,

i jak zwykle skorzystali na tym tylko prawnicy. Wuj Sam zdołał położyć rękę za ledwie na jednej dziesiątej sumy, jaka się należała z tytułu zobowiązań płatniczych i kar, 4 jako odwet mógł tylko pozbawić Destamia nowo uzyskanego obywatelstwa i odesłać go do kraju, — w którym się urodził. Jak Włochy to przyjęły, kroniki milczą, faktem jest, że Włochów nigdy prawdopodobnie nie pytano, czy chcą, aby wrócił.

— No więc wie pan o mnie wszystko, panie Templar — odezwał się Destamio. — I ja wiem mnóstwo o panu. Nie wiem tylko, dlaczego pan tak nagle zainteresował się mną.

Dlaczego?

Pytanie zostało postawione tonem takim, jak się rozmawia prawie w naturalny sposób. Ale Simon wiedział, że to jest sedno sprawy, cała i jedyna przyczyna, dla której przywieziono go tutaj z taką zagadkową kurtuazją. Wiele rzeczy mogło zależeć od jego odpowiedzi, między innymi może jego własne życie.

Jednak Święty robił wrażenie bardziej obojętnego i zachowywał się swobodniej niż jego gospodarz, a ręka trzymała papierosa tak pewnie, że dym wznosił się nieruchomą kolumną w spokojne powietrze. Odpowiedział prawdziwie i szczerze, gdyż zdecydował przed chwilą, że to będzie najprostszą i najskuteczniejszą strategią. Chciał również wiedzieć, jak Destamio zareaguje ponownie na dźwięk pewnego nazwiska.

— Ciągle zastanawiam się — powiedział — co się stało z Dinem Cartelli.

ROZDZIAŁ 2

Jak Alessandro Destamio złożył ofertę,

a Marco Ponti opowiadał

1

Jeśli Święty oczekiwał w odpowiedzi jakiegoś strasznego wybuchu, to spotkało go rozczarowanie. Albo nazwisko nic nie znaczyło dla Destamia, albo spodziewając się takiego

pytania, z góry wiedział, jak je przyjąć. Aferzysta tylko chrząknął i potrząsnął głową.

— Cartelli? Nie znam. Dlaczego mnie pan pyta? Co pan jest taki wścibski? Ciągłe mam relacje, że pan się o mnie wypytuje. Człowiek o mojej pozycji nie lubi tego. Dużo ludzi chciałoby, żebym się znalazł w tarapatach, toteż muszę zachować środki ostrożności.

— Takie jak pocięcie moich ubrań? — zapytał lodowatym tonem Simon.

Destamio znów chrząknął, ten zwyczaj wydawał się poprzedzać każde jego odezwanie.

— Może. Czasem ci, co za bardzo wsadzają nos w nie swoje sprawy, gorzej obrywają. Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Dlaczego ja miałbym wiedzieć o tym Cartelli?

— Bo tak pana nazwał ktoś wtedy wieczorem w „Le Arcate”. Robił wrażenie bardzo pewnego, że pan jest Dinem Cartelli. Słyszałem, jak to mówił.

Simon czekał na chrząknięcie, które tym razem było gwałtowniejsze niż zwykle.

— To wszystko, o co panu chodzi? Ten typ upadł na głowę. Świat jest pełen wariatów. —

Destamio pstryknął palcami i spojrzał na Świętego z ukosa. — No tak, teraz pana poznaję. To pan siedział przy stoliku obok i Rocco od pana oberwał. Dopiero teraz pana poznałem.

Wyszedłem, bo staram się nie robić sobie tutaj kłopotów. Mam ich już dosyć. — Destamio wcisnął się w oparcie krzesła i żuł czarny, ohydny niedopałek swego cygara, wpatrując się w Świętego świńskimi oczami. — Naprawdę to cały powód, dla którego miesza się pan w moje sprawy? Że jakiś stuknięty facet pomylił moje nazwisko?

— To cały powód — powiedział ze spokojem Simon. — Bo ten stuknięty facet, jak pan o nim mówi, został zamordowany dziś w nocy. Tak to wygląda, że mógł o panu wiedzieć coś, co przysporzyłoby panu jeszcze więcej kłopotów.

Przez długą chwilę milczenia Destamio obracał cygaro w palcach, patrząc chłodno na Świętego.

— I pan myśli, że ja kazałem go zwinąć? — powiedział w końcu. Strzepnął popiół przez

balustradę tarasu, do morza, głęboko w dole, i rozeźmiał się nagle. — Do diabła, to wszystko?

Wie pan, Święty, ja panu wierzę. Może jestem wariat, ale wierzę panu. A więc uważał pan, że musi pan coś zrobić dla tego biednego głupca, aby sprawiedliwości stało się zadość? Jak pan ma na imię? Simon? Niech pan do mnie mówi Al, Simon, wszyscy moi przyjaciele nazywają mnie Al. I zrób i jeszcze jednego drinka.

Teraz odprężył się zupełnie, — prawie poweselał w rubaszny sposób.

— Więc nigdy się nie nazywałaś Dino Cartelli? — Simon nalegał, wyraźnie nie reagując na nagłą zmianę nastroju tamtego.

— Nigdy tak się nie nazywałem i nigdy nie będę się tak nazywał. I nie załatwiłem tamtego półgłówka. Ten zbieg okoliczności zrobił z ciebie balona. Poczekaj, coś ci pokażę.

Destamio wstał ciężko i zaprowadził Simona do salonu. Wskazał na coś, co początkowo wydawało się ornamentem ściany.

— Mnóstwo włóczęgów przyjeżdża do Stanów, zmieniają nazwiska i lekko im to przychodzi, bo nigdy nic nie znaczyły. Ale ja jestem Alessandro Destamio i szczycę się tym. Mój ród istnieje od niepamiętnych czasów i myślę, że stary król był naszym osiemdziesiątym drugim kuzynem czy czymś takim. Zobacz sam!

Simon uświadomił sobie, że malowidło przedstawiało kompletne drzewo genealogiczne z herbami, wieloma gałęziami i połączeniami. Ozdobnie wypisane nazwiska biegły ku górze i splatały się z sobą niby liście kwitnącego drzewa, którego końcowym owocem było wspaniałe imię Lorenza Michela Destamia.

— To był mój tata. Zawsze był dumny ze swojej rodziny. A to jest moja metryka.

Destamio przytknął gruby kciuk do innej ramy, w której tkwił w dekoracji wstążek z woskową pieczęcią dokument oznajmiający, że potomek Lorenza Michela Destamia pójdzie przez życie jako Alessandro i Leonardo. Jak na dokument wyglądał dość autentycznie.

— I nie wiesz, dlaczego ten człowiek, jak on się nazywał, William Charing–Cross, musiał zginąć? — spytał Simon.

— Pojęcia nie mam — odrzekł łagodnie Destamio. — Nigdy przedtem go nie widziałem. Nie znałbym jego nazwiska, gdybyś mi nie powiedział. Ale jeśli to dla ciebie takie przeżycie, mogę się o niego popytać tu i tam. Jeżeli ktoś coś wie, to się dowiem. Zrobię wszystko, żebyś był zadowolony... Oj! — strzelił palcami, jakby; przypominając sobie o czymś innym. — Zapomniałem; o tym, co zrobili chłopcy. Zaraz wrócę.

Wszedł do sąsiedniego pokoju i po chwili Simon usłyszał nieomylny odgłos zamykanych drzwi od kasy pancерnej. Destamio wrócił z plikiem banknotowi w rękę.

— Proszę — rzekł podając je Świętemu. — Paru facetów, którzy dla mnie pracują, wykazało zbytnią gorliwość. To nie był mój pomysł, to wszystko, co zrobili z twoimi rzeczami. Weź to i kup sobie, co ci brakuje. Jeżeli mało, daj mi znać.

Simon wziął banknoty. Na wierzchu znajdował się studolarowy amerykański, a kiedy palcem przejechał po brzegach, inne setki zaśniły paradą zer.

— Dziękuję — powiedział nie czując zażenowania i schował pieniądze do kieszeni.

Destamio uśmiechnął się dobrodusznie, żując następne pół cała swego pomiętoszonego cygara.

— Chodźmy coś zjeść — rzekł robiąc ruch ręką w kierunku stołu już nakrytego srebrem i kryształami w innej wnęce. — I porozmawiamy sobie. Można tutaj dostać hysia, kiedy nie ma do kogo ust otworzyć.

Usiadł, potrząsnął hałaśliwie małym ręcznym dzwonkiem i zaczęło się podawanie jeszcze nim efektowna Lily przyłączyła się do nich.

Al Destamio mówił najwięcej, a Simon zadowalał się słuchaniem. Jeśli Lily miała jakieś talenty poza swoim sposobem prowadzenia auta, od którego włosy stają dęba na głowie, to

nie były to talenty interlokutorskie. Zająła się jedzeniem z żarłoczną koncentracją, która dowodziła, że jej smukła sylwetka mogła być tylko cudem metabolizmu; i Simon musiał bardzo panować nad sobą, żeby z nią nie rywalizować, bo choć sam wulgarny, Destamio miał znakomitego kucharza.

Jedynym tematem rozmowy, a raczej monologu, była korupcja panująca w Ministerstwie Sprawiedliwości i złośliwe prześladowanie niewinnych imigrantów, którym udało się wyrosnąć nad poziom zwykłych ludzi pracy. Destamio wykazał wybitną znajomość zawiłych przepisów dotyczących podatku dochodowego, co wydawało się trochę niezgodne z jego stwierdzeniem, że pogwałcił je nieświadomie w swej ignorancji. Simon nie czuł się obowiązany do niczego więcej jak do jedzenia i picia i raz po raz do wydawania dźwięków dowodzących, że słucha, gdyż mówca wyraźnie aż zachłystywał się bulgoczącą wspaniałością swego głosu. Toteż Święty mógł ukryć swoje od czasu do czasu nieobecne spojrzenie, gdy myśli jego błąkały się z dala od monotonnego przemówienia, w poszukiwaniu jeszcze jednego punktu brakujących informacji, który, jego zdaniem, byłby kluczem do rozwiązania zagadek z ubiegłych dni, lecz wciąż wymykał mu się rozpaczliwie, niby uporczywe swędzenie nie dające się uśmierzyć drapaniem.

Na koniec kawa uwieńczyła posiłek, Destamio ziewnął i nie powstrzymawszy czkawki wyraził gotowość do sjesty, Simon wziął to za sygnał do odejścia i nie spotkał się ze sprzeciwem.

— Cieszę się, że mogłem cię poznać, Święty — rzekł Destamio ściskając jego rękę z serdecznością zawodowego polityka. — Jak będziesz miał jakieś problemy, przyjedź do mnie, a sam za bardzo się nie rozpychaj.

Niewiarygodnie dyskretna Lily raz jeszcze wystąpiła w roli kierowcy, teraz ubrana w kaszmirowy sweter i spodnie typu capri tak obcisłe, że gdyby miała tatuaż, wzór jego

uwypadniłby się na zewnątrz. Simon z zachwytem zaobserwował, że nie była tatuowana.

Kiedy znów zaczęła prowadzić tak, że alfa romeo zachowywał się jak wystraszona kozica, uznał, że musi na pożegnanie przekonać się, czy ona w ogóle mówi.

— Czy pani tu mieszka, czy tylko przyjechała pani tu na jakiś czas? — spytał dla nawiązania pogawędki.

— Tak.

Patrzył na nią długo, chcąc zrozumieć odpowiedź, ale: to, co mógł wyczytać w jej twarzy, nie pomogło mu. Zdecydował spróbować jeszcze raz.

— Czy pani czasem wyjeżdża?

— Czasem.

To już było lepiej. Może tylko trzeba wytrwałości.

— Mam nadzieję, że panią jeszcze gdzieś zobaczę.

— Po co?

— Chciałbym wiedzieć, jak wygląda pani twarz. Czy poznałbym panią bez okularów?

— Nie.

Zawsze ten sam głos przyśpieszający tętno, obojętny na wszystko.

— Czy Al to zazdrosny facet?

— Nie wiem.

Święty westchnął. Może jednak jego urok nie był tak całkowicie nieodparty. Poważnie się nad tym zastanowił. Tak czy owak ona wyraźnie była zdolna zapanować nad sobą przez krótki czas trwania jazdy do lądowiska helikopterów. Lecz on musiał mówić dalej, gdyż inna dręcząca go wskazówka, której szukał, nagle zaniechała swej taktyki umykania i wynurzyła się z zakątka, gdzie była ukryta.

— Czy pani wie, dlaczego nazwano go „Wiewiórka?” — spytał.

— Nie.

— No to nie będę obciążał tym pani głowy. Kiedy pani wróci, proszę po prostu mi powiedzieć, że ja wiem. Raptem sobie przypomniałem. Zrobi to pani?

— Tak.

Byli już na miejscu i odlot miał nastąpić wkrótce, gdyż śmigła helikoptera już obracały się leniwie. Ale Święty chciał się upewnić, że to, o co prosił, zostanie przekazane. Wstał ze swego wgłębionego siedzenia, zatrzymał się w drzwiach jeszcze otwartych i wyjął pomarszczony plik zieleni, który dał mu Destamio, wachlując ostentacyjnie listkami przed jej nosem, po czym wyciągnął jeden z nich.

— Proszę mu powiedzieć, że podobają mi się te próbki. Jedno tylko jest nie w porządku, za mało ich. Niech pani mu to pokaże, żeby wiedział, o czym pani mówi. Niech pani mu powie, że teraz to będzie kosztować drożej z powodu tej Wiewiórki. Czy pani uważa, że to jest jasne dla pani?

Kiwnęła głową spokojnie.

— Moje gratulacje — powiedział Święty. Zatrzasnął drzwi auta i pochylił się nad nimi. Został jeszcze końcowy akcent, którego nie mógł niczym poprzedzić, jakkolwiek daremny, wydawałoby się. Mimo że na pewno powinien okazać się przekonujący.

— A jeśli pani chce się dowiedzieć, czy on jest zazdrosny, niech pani mu powie, że to zrobiłem.

Przechylił się dalej i pocałował ją w usta. Miały smak ciepłej farby.

2

Helikopter uniósł się ku niebu i wraz z nim lekko poszybowały myśli Simona. Co się zaczęło jako najbanalniejsze, przypadkowe zdarzenie, przyprawione zwięzłą wzmianką w prasie, urosło do rozmiarów pełnej, mętnej intrygi.

Miał uczucie rybaka, który zamierzał pobawić się z sardynką, a tymczasem trafił mu się tuńczyk. Co zrobi z tuńczykiem złapanym na tak cieniątką żyłkę, to już inna sprawa; i nikt inny tylko Simon Templar mógł umocować haczyk tak solidnie. Jedną z głównych sztuczek w rybołówstwie polega na tym, aby ryba pracowała dla rybaka, i Święty był dobrej myśli, ufając, że jego ryba w niedługim czasie wyładuje swój zły humor na niego. Gdy tylko haczyk z „Wiewiórką” zniknie pod wodą...

Aby podzielić ten optymizm, niektórzy czytelnicy może musieliby wyjść poza ograniczenia bezpiecznego życia i zapoznać się z nim w kołach, w jakich na ogół się nie obracają. W pewnych dalekosiężnych odmianach amerykańskiego żargonu „Wiewiórka” (poza podstawowym zoologicznym terminem określającym małego gryzonia o powściągliwych, lecz niszczyielskich zwyczajach dla ogrodnictwa) może oznaczać również nieokrzesanego prostaka, frajera albo pieczeniara. To są ogólne pojęcia, nie sprowadzające się do tak zwanego „podziemia”, z którego pewnymi osobistościami Destamio musiał mieć kontakty. A w języku tej podziemnej kliki „wiewiórka” znaczy żelazny czy stalowy schowek albo technik, którego specjalnością jest otwieranie takich pojemników przemocą w celu nielegalnego wejścia w posiadanie ich zawartości.

Oto szczegół natury lingwistycznej, który zadał kłam wszystkiemu, co Destamio próbował mu sprzedać, i co musiało mieć powiązanie z nagłym zgonem Jamesa Eustona Esq., dawnego urzędnika bankowego. W oczach Simona, czulego na piękno, ta pewność dodała niemałego blasku chmurom złotego popołudnia zbierającym się za Ischią.

Kiedy helikopter wylądował w Neapolu na lotnisku, Simon pozostał na swoim miejscu, dopóki nie przyszedł pilot, żeby mu powiedzieć: — Pana bilet tylko dotąd jest ważny, signore.

— Zdecydowałem się lecieć dalej, do Capodichino.

— Musi pan dopłacić.

— Ile? — spytał niedbale Simon.

Mniej troszczył się o to, że zostanie wzięty za aroganckiego plutokratę — co mógł przeżyć — niż że zaskoczy go jeszcze szybsza riposta Ala Destamia — czego mógł nie przeżyć.

Nawet w ciągu tych krótkich chwil, które trwał lot, Lily mogła wrócić do willi, Destamio mógł przez telefon nawiązać łączność ze swymi ludźmi na stałym lądzie i lotniska w Neapolu mogło okazać się nie bardziej bezpieczne niż pułapka zastawiona na trzęsawisku.

Z drugiej strony przylot do Capodichino mógł jeszcze bardziej wzburzyć Bezbożnych i być może skłonić do stanowczego działania.

Kiedy już zdecydował się zboczyć z drogi, przyszło mu na myśl, że w ogóle nie potrzebuje wracać do Neapolu. Jego rzeczy, praktycznie biorąc, stały się bezwartościowe, tak więc z budki telefonicznej na lotnisku zapowiedział, że wróci później zabrać to, co jeszcze nadaje się do użytku. W głosie hotelarza zadźwięczała bojaźliwa nieufność, kiedy Simon zapewnił, że wtedy też ureguluje rachunek. Serce Świętego pozostało jednak twarde i pomyślał, o ile większą niespodzianką będzie dla tamtego to, że naprawdę dostanie pieniądze.

W kiosku, po pewnej wymianie słów, sprzedano mu książkę, opiewającą wspaniałości Sycylii, za sumę niewiele wyższą niż wydrukowana na okładce, i pozostało mu akurat tyle czasu, żeby zdążyć na popołudniowy samolot do Palermo.

W Palermo było jeszcze goręcej niż w Neapolu, a na Sycylii mniej jest klimatyzowanych pokoi w hotelach mimo przytłaczającego zapotrzebowania, ale dzięki wytrawnemu instynktowi w połączeniu z wytrwałością, szczęściem i wszechmocą przekonujących łapówek, Świętemu udało się znaleźć odpowiednie locum. Zainstalował się więc w hotelu o rażąco niewłaściwej nazwie: „Radość”, która oznaczała wszystko, tylko nie to. Jednakże zapewnił mu on spokojną noc, a koszt, czyniąc tylko nikły uszczerbek w zaliczce ofiarowanej

przez Ala Destamia, był pociechą dla Świętego.

Rano po śniadaniu zjedzonym bez pośpiechu, ogolony brzytwą nadającą się do poderżnięcia gardła, pożyczoną od służącego, i w stosunkowo czystej i eleganckiej koszuli, dzięki pomysłowości fabrykantów syntetycznych tkanin, gotowych do nałożenia po praniu, wkroczył do miejscowego Banku City and Continental, Wydział Zagraniczny, Sp. z o.o, do którego portier hotelowy mógł go skierować dopiero po odświeżeniu pamięci rozsądnym wynagrodzeniem. Istotnie, był to budynek tak skromny, najwidoczniej utrzymywany głównie dla wygody klienteli, składającej się z turystów, że imponujący napis ledwo mógł się zmieścić na całej szerokości frontu.

Ciemnowłosa dziewczyna o boticellowskich oczach uśmiechnęła się do niego zza kontuaru i spytała, czym może służyć, a Święty musiał uciec się do pewnej dyscypliny, żeby nie dać jej prawdziwej odpowiedzi.

— Chciałbym zobaczyć się, jeśli to możliwe, z jednym z waszych urzędników — powiedział. — Wiele lat upłynęło od czasu, kiedy tu pracował, tak że może go przeniesiono.

— A jak się nazywa?

— Dino Cartelli.

— Madre mia. — Dziewczyna zaczęła dyszeć, wytrzeszczając swe wielkie oczy łani i blednąc. — Chwileczkę...

Oddaliła się i powiedziała coś do mężczyzny pracującego przy innym kontuarze, który wypuścił pióro z ręki, nie zwróciwszy nawet uwagi na kleks, jaki zrobiło na stronicy książki. Obrzucił Simona przerażonym, podejrzliwym spojrzeniem i pośpiesznie wszedł za przepierzenie w głębi biura. Po chwili wrócił.

— Chciałby pan porozmawiać z dyrektorem?

Simon nie pragnął niczego innego. Poszedł za urzędnikiem do samego sanktuarium, gdzie

musiał powtórzyć swe pytanie, z uczuciem podobnym do tych, jakich doznawał człowiek w tym paryskim opowiadaniu, z notatką napisaną po francusku, której mu nikt nie przeczyta. Tym razem reakcja była mniej przesadna, nie licząc wysokości, do jakiej uniosły się brwi dyrektora.

— Czy pan dobrze znał Dina Cartelli?

— Nigdy go nie widziałem — wyznał Simon wesoło. — Jego dawny przyjaciel, James Euston, którego może pan pamięta, powiedział mi, żebym go odszukał, kiedy będę na Sycylii.

— Ach tak, pan Euston. Teraz to może być jasne.

Dyrektor spoglądał na swoje ręce złożone na kontuarze. Był to bardzo stary człowiek o rzadkich, siwych włosach i twarzy, która niemal wyrzekła się samej siebie na korzyść czaszki.

— To było tak dawno — powiedział. — Nie mógł wiedzieć.

— O czym kto nie mógł wiedzieć? — Simon pytał, coraz bardziej czując się jak człowiek z tajemniczą kartką.

— Dino Cartelli nie żyje. Zginął bohaterską śmiercią — powiedział dyrektor zawodowo przyciszonym głosem przedsiębiorcy pogrzebowego.

— W jaki sposób?

— Stało się to pewnej nocy zimą 1949 roku. Tragiczna noc, której nigdy nie zapomnę.

Dino był sam w banku, pracował do późna doprowadzając księgi do porządku na dzień następny. Miała być inspekcja i wszystko trzeba było wyprowadzić na bieżąco. Był to bardzo sumienny gość. I umarł dla banku, choć na nic się ta śmierć nie przydała.

— To znaczy, że umarł z przepracowania?

— Nie. Został zamordowany.

— Czy nie zechciałby pan opowiedzieć mi dokładnie, co się stało? — pytał cierpliwie Simon.

Dyrektor pochylił głowę i milczał przez chwilę.

— Nikt nigdy nie dowie się dokładnie. Nie żył, kiedy go rano znalazłem ze straszliwie zmiażdżoną twarzą i ranami na rękach. Nigdy nie zapomnę tego widoku. Skarbiec był rozwalony na oścież i wszystkie pieniądze znikły. Policja ustaliła, że złodzieje musieli go zaskoczyć. Znał system otwierania skarbca, ale nie zdradził go im. Zapewne próbował odebrać im broń i to właśnie wtedy ręce rozerwało mu na strzępy. Ale nawet to nie powstrzymało Dina. Widocznie dalej walczył z nimi, dopóki nie postrzelili go w twarz i potem zmarł.

— A jaki był ich łup?

— Banknoty z kilku krajów: angielskie, amerykańskie dolary, franki szwajcarskie i tak dalej. Cała najmocniejsza waluta na sumę około stu tysięcy funtów, jak również trochę papierów wartościowych i inne rzeczy. Niektóre z nich znalazły się, ale większość przepadła bez śladu. A rabusiów nigdy nie złapano.

Simon zadał jeszcze kilka pytań, ale nie wydobył już

nic więcej, co było ważne albo miało jakiś związek z tym, o co mu chodziło. Jak tylko przekonał się, że wyczerpał wszelkie pożyteczne informacje, których to źródło mogło mu dostarczyć, podziękował dyrektorowi i miał zamiar się pożegnać.

— Proszę pozdrowić Eustona ode mnie — rzekł dyrektor. — Obawiam się, że ta historia zrobi na nim wrażenie. Dino i on byli dobrymi przyjaciółmi.

— Jeżeli Dino mu już tego nie powiedział, to nie mam sposobu, żeby go o tym poinformować — rzekł Święty.

Twarz dyrektora przybrała zboląły, bezradny wyraz.

— Euston też nie żyje — wyjaśnił Simon. — Zamordowano go w Neapolu ubiegłej nocy.

— Chryste Panie! — dyrektor był wstrząśnięty. — Co za tragiczny zbieg okoliczności.

Oczywiście jedno z drugim nie ma nic wspólnego?

— Oczywiście — odrzekł Święty, nie widząc podstaw do straty czasu na dyskusję z tym interlokutorem na temat własnych mglistych domysłów.

Na dworze upał dnia już wypełniał ulice, lecz Simon niemal tego nie zauważył. Mózg jego zbyt był zajęty nową nicią dołączoną do plątaniny innych.

Przynajmniej jeden szczegół został potwierdzony: ogromny łup, co do którego snuł teoretyczne rozważania, teraz stał się faktem rzeczywistym i mógł być zidentyfikowany jako dochód z napadu na bank. Pozostawało pytanie, czy został rozparcelowany, czy też wciąż jeszcze był gdzieś ukryty. Lecz za to druga strona zagadki zaciemniła się: jeśli Destamio nie był Cartellim, to jak się stało, że pasuje do obrazu?

— *Scusi signore, ha un fiammifero?*

Szczupły mężczyzna zatrzymał go u wylotu wąskiego przejścia odchodzącego od głównej ulicy, z nie zapalonym papierosem w ręku. Drugą, podczas uprzejmego, lekkiego ukłonu, trzymał wewnątrz marynarki. Codzienna wrzawa uliczna przepływała wokół nich, gdy Simon wyjmował zapalniczkę.

— Taka wystarczy?

Zapalił i trzymał ją prawie bezmyślnie, mając mózg zajęty czym innym. Tamten pochylił się naprzód ze swoim papierosem i wyciągnąwszy w tej samej chwili drugą rękę, wbił nóż prosto w środek brzucha Simona.

A raczej taki miał zamiar i każdy, tylko nie Simon umierałby z sześcioma calami stali w żołądku. Ale Simon już od dość długiej chwili zaprzestał niemyślenia i wymowa ukrytej ręki szczupłego młodziana wywołała błyskawiczny refleks, w samą porę, aby usunąć się przed bezlitosnym ostrzem. Niemniej sam koniec znalazł się tak blisko, że zawadził o marynarkę, rozdzierając ją na znacznej długości.

Simon Templar nieczęsto wpadał w gniew z powodu niewielkiego zniszczenia ubrania, należy jednak pamiętać, co się niedawno stało z resztą jego garderoby. Teraz miał na sobie jedyny ocalały garnitur, a i ten został podarty, tak że zostawał dosłownie z niczym więcej jak z łachmanami i nazwiskiem.

W połączeniu z naturalnym oburzeniem na nie znanych osobników, którzy wykorzystując jego uprzejme odruchy próbują wbijać mu sztylety w przewód pokarmowy, to było już zbyt wiele.

Jednakże zamiast oślepić, gniew dodał tylko precyzji jego ruchom. Uchwycił rękę z nożem i obrócił, przytrzymując ramię szczupłego mężczyzny swoim. Zachował tę pozycję z zimnym wyrachowaniem tak długo, aż mógł się upewnić, że zebrała się dostateczna liczba świadków przyglądających się scenie, dokładnie widzących, czyja ręka trzyma nóż, po czym wykonał jeszcze jeden szybki, gwałtowny ruch, po którym nastąpił trzask łamanej kości i krótki jęk ofiary. Nóż upadł na bruk.

Nie rozluźniając uścisku, który unieruchomił rękę napastnika, Simon uwolnił swoją drugą rękę, starannie sprawdził położenie celu i użył całej siły, aby wymierzyć lewą pięścią cios w sam środek twarzy tamtego. Pod tym uderzeniem nos i twarz ustąpiły z jak najbardziej zadowalającym chrzęstem, a mężczyzna zwałił się już bezgłośnie i leżał bez ruchu. Simon stwierdził, gdy tylko furia minęła mu równie szybko, jak się zrodziła, że był to tylko humanitarny środek znieczulający, zastosowany przy złamaniu kości łokciowej.

Cały incydent trwał zaledwie kilka sekund. Rozglądając się wokół ostrożnie, czy nie grozi mu druga napaść, dostrzegł małego fiata, stojącego naprzeciwległym końcu zaułka, w miejscu, gdzie łączył się on z następną przecznicą. Drzwiczki od strony Simona były otwarte i jakiś nie ogolony typ spod ciemnej gwiazdy siedział przy kierownicy, wpatrzony w Świętego z rozdziawioną gębą. Nagle wrócił do życia, zatrzasnął drzwiczki i nacisnął z całej siły gaz.

Nie zważając na zebrany tłum, który gestykulując i poszturchując się dokoła niego trzymał się w bezpiecznej odległości, Simon podniósł leżący na bruku sztylet. Był doskonale wyważony, wyostrzony jak brzytwa — śmiertelne narzędzie w rękach specjalisty. Święty myślał bez przykrości o tym, że przynajmniej jeden z tych wirtuozów będzie przez jakiś czas unieszkodliwiony.

Gdy w końcu, przecisnąwszy się przez tłum, zjawił się policjant z ręką na kaburze, Simon chłodnym gestem pokazał mu pamiątkową rękojeść.

— Tym mnie napadnięto — powiedział, nie ryzykując przesadną pewnością siebie — wszyscy ci ludzie widzieli, jak rozbroilem tamtego. Z przyjemnością pomogę panu przewieźć go na posterunek policji i podpiszę obciążające go zeznanie.

3

Policjant przesunął zimnym zawodowym spojrzeniem po tłumie, w którym natychmiast rozpoczął się ruch, gdyż widzowie stojący na przedzie nagle zapragnęli znaleźć się z tyłu. Simon patrzył, jak jego świadkowie szybko się ulatniają, lecz zanim znikł ostatni, onieśmielony obecnością przedstawiciela władzy, policjant, zaprawiony w postępowaniu z uciekającymi, których skłonił do tego jego mundur, zrobił krok naprzód i schwycił za kołnierz dwie osoby — piegowatego chłopaka z ostrym przypadkiem zeza i postawną matronę strojną w bransolety niby chodząca rupieciarnia.

Jedyną rzeczą wspólną między nimi było przyglądanie się napaści nożownika i głęboka niechęć przyznania się do tego wobec policji. Jednakże policjant wyciągnął z nich pełne urazy potwierdzenie, że widzieli kilka fragmentów zajścia, chociaż wada wzroku młodszego świadka mogła podać w wątpliwość wartość jego oświadczenia. Potem zabrał im dowody tożsamości, które mogli odebrać po zgłoszeniu się na posterunek policji celem złożenia zeznań.

Odprowadzeni wycofali się z ulgą, a policjant podjął swą indagację, zwracając się do Świętego:

— Dlaczego pan go zabił? — spytał przenosząc posępne spojrzenie z rękojeści noża, który trzymał w ręku, na postać leżącą na chodniku.

— Nie zabiłem go — cierpliwie odparł Simon. — Próbował mnie zamordować, ale nie miałem ochoty pozwolić mu na to. Odebrałem mu nóż i powaliłem go. Ten nóż, który pan trzyma, jest jego, nie mój.

Policjant obejrzał broń, jeszcze raz uruchamiając mechanizm ostrza paznokciem dużego palca. Zamknął go jedną ręką i nacisnął guzik zabezpieczający automatycznym ruchem, który świadczył, że jest od dawna obznajmiony z tego rodzaju narzędziami.

Ukazali się dwaj inni policjanci, co sprawiło, że rozproszony tłum do reszty stracił zainteresowanie dalszym rozwojem wydarzeń. Ten, który pierwszy przybył na miejsce incydentu, oddał honory bogatszym w złoto galonom nowo przybyłych i wymruczał kilka słów wyjaśnienia dialektem. Jego zwierzchnik spojrzał z niechęcią na Świętego, lecz nie przejawiał skłonności do dalszej dyskusji na temat zajścia w miejscu publicznym. Święty przyjął skwaszone miny policjantów z niebiańską obojętnością i nawet pozwolił wepchnąć się na tylne siedzenie zbyt małych rozmiarów auta policyjnego. Czy wynikną dalsze konsekwencje — miało się to okazać w kwesturze.

Wewnątrz tego starego budynku przesłuchanie i opisywanie awantury odbyło się z uroczystą nudą. Była nieprawdopodobna ilość pracowitej pisaniny na rozlicznych formularzach przy akompaniamencie nieustannego odgłosu przystawianych pieczętek, niby symbolicznym werblu biurokracji. W chwili gdy Święty przedłożył do sprawdzenia swój paszport, jedynym odstępstwem od bezwzględnej bezosobowości rutyny były podniesione brwi i porozumiewawcze spojrzenia informujące, że jego imię nie było całkiem nieznane

nawet tutaj.

Kiedy wprowadzono obywatela władającego nożem, Simon zauważył, że jego rany zostały częściowo opatrzone przez lekarza policyjnego; jedna ręka w łóbkach spoczywała na temblaku, a na nos nałożono mu duży tampon z gazy. Spoza brzegów tamponu para krwią nabiegłych oczu zionęła nienawiścią ku Świętemu, na co tenże odpowiedział uroczym uśmiechem.

Po zakończeniu wstępnego protokołu otworzyły się inne drzwi i w całej okazałości swej imponującej postaci wkroczył *maresciallo dei carabinieri*.

Jego kurtka i czapka z wypracowanymi ozdobami i naszywkami nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do powagi stanowiska. Głowa o szlachetnych rzymskich rysach i siwiejące skronie nie odbiegały od wyobrażenia, jakie przeciętny człowiek ma o Cezarze, aczkolwiek miękkość dolnej wargi nasuwałaby raczej myśl o Neronie niż Juliuszu.

Patrzył chłodnym wzrokiem na Simona, prosto wzdłuż linii swego nosa, potem gałki jego oczu niby czarne otwory luf gotowych do wystrzału obróciły się ku obandażowanemu nożownikowi.

— No, Tonio — powiedział obojętnym głosem — nie na długo tym razem ci się upiekło.

— Ja nic nie zrobiłem, maresciallo, nic! Przysięgam na grób mojej matki. To ten *famullone* — młodzieniec imieniem Tonio kciukiem zdrowej ręki wskazał w kierunku Simona — narobił tego wszystkiego. Może to wariat. Zaczepia mnie na ulicy, znieważa, wyciąga nóż. Ja nic nie zrobiłem!

Maresciallo przejrzał zapisane papiery, po czym przeniósł swoje władcze spojrzenie na Simona.

— Co pan ma na to do powiedzenia?

— Nic, z wyjątkiem tego, że Tonio musi mieć mało szacunku dla grobu swojej matki —

odrzekł ze spokojem Święty. — Kiedy napadł na mnie z nożem, dokoła stało kilkanaście osób. Wszyscy widzieli jak go rozbroiłem. Niektórzy z nich mogli również zauważyć jego współnika, który czekał niedaleko w aucie i szybko uciekł, kiedy Tonio został aresztowany. Jeżeli to jeszcze nie wystarczy, proszę go zapytać, jakim sposobem podarła się moja marynarka, skoro ja próbowałem go zabić,

Maresciallo słuchał tych słów ze ściągniętymi wargami i obojętnością maski. Tracił paszport Simona leżący na biurku przed nim.

— Nie lubimy międzynarodowych przestępców — powiedział — którzy tu przyjeżdżają podając się za zwykłych turystów i napadają na naszych obywateli.

Oczy Simona Templara rozszerzyły się na chwilę od wstrząsu, jakiego doznał. Następnie zwęziły się do dwóch pasków niebieskiego lodu tak zimnego jak ostry ton, który wśliznął się do jego głosu.

— Czy pan chce powiedzieć, że w historii podanej przez tę kreaturę jest ziarno prawdy, czy strzępek dowodu, który o tym świadczy?

Pod naciskiem wyzwania władczy sposób bycia marescialla złagodniał nieco. Poruszył się w swojej wspaniałej kurtce i zdawało się, że znajduje ulgę, przenosząc często swoje spojrzenie na Tonia.

— Nie o to chodzi. Chcę powiedzieć, że to jest śledztwo i musimy rozpatrzyć każdą ewentualność. Wśród świadków istnieją pewne wątpliwości co do dokładnego przebiegu zajścia. A pan, signor Templar, musi przyznać, że pańska reputacja nie jest bez skazy.

Simon spojrzał wokoło na karabinierów, którzy obojętnie patrzyli na swego zwierzchnika nie ujawniając aprobaty czy dezaprobaty jego postawy. Święty nigdy nie żywił żadnej dziecinnej wiary w bezstronność policji, lecz niepotrzebny był mu ten nadmiar cynizmu, by zdać sobie sprawę, że chodzi tu o coś więcej niż normalna podejrzliwość co do jego

uczciwości i godnych szacunku intencji. I jakiś ledwo wyczuwalny chłodny powiew jak gdyby musnął jego kręgosłup, kiedy, w mózgu zaświtała mu myśl, że coś bardziej niebezpiecznego niż ostrze każdego nożownika może kryć się pod powierzchnią tej bezosobowej nienawiści.

Wszedł jeszcze jeden człowiek w cywilnym ubraniu, lecz o subtelnym wyglądzie autorytetu, w niewidzialny sposób przewyższającym inkrustowane złotem wspaniałości marescialla, i wzrastające dotychczas napięcie rozładowało się, jak gdyby było złudzeniem.

Był średniego wzrostu, szczupły, o szarych oczach i kręconych jasnych włosach, które są cechą spotykaną tylko w północnych Włoszech. Smągła jego twarz na pierwszy rzut oka robiła wrażenie chłopięcej, dopóki się nie dostrzegło siatki drobnych bruzd, które jej dodawały dwadzieścia lat do tego, co sugerowały młode rysy. Poruszał się ze zwawością sportowca, znów zadającą kłam rzeźbie cery, która jest świadectwem średniego wieku.

Zatrzymał się przed Tonim przyglądając mu się dokładnie i powiedział:

— Cieszę się, że ktoś tak urządził twoją paskudną twarz, ty szmato.

Dodał jeszcze kilka bardziej malowniczych określeń, które wywołałyby śmiertelny pojedynek w każdej tawernie na Sycylii, lecz w oczach ранego Tonia pojawił się tylko płomień, a wargi jego zacisnęły się.

Nikt inny się nie odezwał, a nowo przybyły odwrócił się w stronę biurka marescialla i spojrzał na leżące papiery.

— Simon Templar! — powiedział podnosząc wzrok i śmiejąc się. — Zdaje się, że tym razem złowiliśmy grubą rybę!

Podszedł do Simona i wyciągnął do niego rękę.

— Pan pozwoli, że się przedstawię — nazywam się Marco Ponti. Jestem tutaj *agente investigativo*, kogo można by nazwać detektywem policyjnym. Teraz pan już wszystko wie o

mnie, bo jestem pewien, że pan wszystko wie o detektywach. Ale ja też wiem coś niecoś ; o panu. I ponieważ pan jest tutaj, obowiązek nakazuje mi spytać, co pana sprowadza na Sycylię?

— Wyłącznie te same atrakcje, które przyciągają tu ; tysiące innych turystów — odrzekł Święty, ostrożnie pozwalając sobie na odprężenie. — Oczywiście nie obejmują one prób pchnięcia mnie nożem przez jednego z pańskich mściwych *paisani*.

— Ach, biedne Włochy i jeszcze biedniejsza Sycylia! Tyle ludzi tutaj przymiera głodem i oto dlaczego zwracają się ku przestępstwu, żeby napełnić żołądki. Chociaż to ich oczywiście nie usprawiedliwia. Niech pan — będzie pewien, że sprawiedliwości stanie się zadość.

Prosimy pana tylko o kontakt z nami w celu podtrzymania swojej skargi.

— Z przyjemnością. Ale zdaje się, że z tym będzie pewna trudność.

— Trudność? — Brwi Pontiego uniosły się w górę. Odwrócił się w stronę biurka i ponownie przejrzał papiery. — Jeśli o mnie chodzi, wygląda na to, że wszystko jest w porządku — czy nie tak, maresciallo?

Funkcjonariusz wzruszył ramionami.

— Żadnych trudności. Ja tylko zadałem parę pytań.

— *Ebbene!* Proponuję więc, signor Templar, aby pan nam podał nazwę swego hotelu — ale już to pan zrobił, jak widzę w pańskich zeznaniach. To wszystko, co tymczasem jest nam potrzebne. Zawiadomimy pana, gdy sprawa trafi do *giudice istruttore*, sędziego pokoju.

Chyba że maresciallo chce jeszcze o coś zapytać.

Zainteresowanie marescialla sprawą nie mogłoby zostać bardziej wyczerpane. Gest, który łączył w sobie wzruszenie ramionami, nieznaczne rozłożenie rąk i królewski ruch głową, dawały do myślenia, że jest wykończony, wszystkiego ma już dość i chce tylko, aby mu oszczędzono dalszego nudzenia.

— A pan, signor Templar, nie ma pan nic więcej do powiedzenia?

Oczy Pontiego spojrzały prosto w oczy Świętemu i przez chwilę zdawało się, że młodzieńczy urok nie jest dominującą cechą jego twarzy. Zamiast niego pojawiła się tylko pełna napięcia powaga. Tak wyraźnie, jak gdyby linie jego czoła ułożyły się w napis z dużych liter, zmieniający pytanie w rozkaz.

— Nic więcej — odparł Święty stanowczo.

Przyjął ten niemy nakaz instynktownie. Cokolwiek układało się przedtem niepomyślnie, przybycie Pontiego nadało temu inny obrót, a Simon Templar nie był z tych, którzy gardzą łodzią ratunkową, dopóki głębia wód nie zamknie się nad ich głową. A poza tym wyczuwał zasadniczą różnicę między sugerowanym przez Pontiego ostrzeżeniem i swego rodzaju groźbą, jaka zawisała nad nim nieco wcześniej. Ale sprawy, które to ostrzeżenie poruszyło, muszą jeszcze poczekać. Tymczasem wystarczającym powodem do satysfakcji była możliwość opuszczenia posterunku policji. Zaczynał już cierpieć na pewnego rodzaju klaustrofobię, uczucie, jakiemu był skłonny ulegać w miejscach' mających I' bezpośrednie powiązanie z więzieniem.

Uśmiech powrócił na twarz Pontiego w chwili, gdy ponownie wziął do ręki paszport Simona i wręczył mu go.

— Przykro mi, że zatrzymaliśmy pana tak długo — rzekł — godzina, w której pan przywykł jadać obiad, na pewno dawno już minęła. Mam nadzieję, że to tylko zaostrzy pana apetyt na naszą sycylijską kuchnię.

— Gdzie poleciliby mi pan ją wypróbować? — zapytał Simon.

— „Caprice” jest w pobliżu i mają tam pierwsze bakłażany w tym sezonie. Nie powinien pan wyjeżdżać z Palermo bez skosztowania ich w caponata di melanzane. Do tego butelka ciclope dell' Etna.

— Zaraz to zrobię — rzekł Simon.

Znów uścisnęli sobie ręce i jeden z karabinierów, ze stoicyzmem przysłuchujących się ich rozmowie, otworzył przed nim drzwi.

Po dusznej atmosferze komisariatu policji powietrze na zewnątrz podziałało orzeźwiająco, mimo iż tak ciężkie od bogatych wyziewów Palermo. „Caprice”, którą Simon znalazł bez wielkiego trudu, była chłodną pieczarą dającą schronienie przed kaskadą żaru spływającą na ulice, w głąb której wszedł z zachwytem, upatrzyszy sobie stolik odpowiadający jego strategii, żeby za sobą mieć ścianę, a przed sobą niczym nie przesłonięty widok.

— Signore życzy sobie aperitivo? — spytał dziewięćdziesięcioletni kelner.

— Campari z sodą. Mnóstwo lodu i cytryna.

— A potem?

— Zamówię za chwilę. Czekam na przyjaciela.

Tego Święty był pewien tak jak niczego. Ani przez ułamek sekundy nie wyobrażał sobie, że detektyw Marco Ponti zadał sobie trud polecenia mu tej restauracji z jakiejś innej przyczyny niż tylko z czystego entuzjazmu dla gastronomii. I sącząc powoli chłodny napój pielęgnował nadzieję, że to prywatne spotkanie rzuci pewne światło na napaść z nożem w rękę na niego i szczególną antypatię, jaką mu okazywał maresciallo.

Po bardzo krótkim czasie drzwi od ulicy znów się otworzyły; lecz mimo iż to nie była postać oczekiwanego detektywa, Święty bynajmniej nie czuł się zawiedziony.

Była to dziewczyna. Wydaje się, że we Włoszech istnieje jakaś równowaga natury, która niezwykłą urodą młodości wynagradza wczesne starzenie się większości kobiet w tym kraju.

Na długo przed średnim wiekiem wiele z nich na skutek zaniedbań po macierzyństwie nabiera zbyt dużej tuszy aż do bezkształtności, jaką nadaje ciału puchlina wodna. Wówczas może jedynym przyzwoitym okryciem są ich podobne do namiotu czarne suknie. Twarze zaś

wykazują tendencję do pokrywania się kędzierzawym zarostem, którego pozazdrościć mógłby niejeden młody oficer gwardii. Niemniej doskonałość twarzy i figury, jaką litościwy los może przedtem obdarzyć, zostały zauważone przez większość kinomanów. A ten okaz był zdumiewającym dowodem, że sieć zachłannych producentów filmowych nie zagarnęła całej śmietanki.

Włosy jej o odcieniu posępnej północy, lśniącej metalicznej czerni okalały delikatny owal twarzy o magnoliowej cerze, pełnych wargach i oczach jak węgle. Jej prosta jedwabna suknia bardziej podkreślała niż osłaniała kształty, które z trudem mogła pomieścić. Rzuciło się w oczy, że żadne sztuczki gorseciarskie nie były potrzebne, ani nie były stosowane, żeby uwydatnić figurę zaokrągloną niemal nadmiernie w piersiach i na biodrach, lecz przedzieloną na pół kibicią o delikatnej linii osy. Aby uzupełnić tę oszałamiającą całość, Simon pozwolił powędrować swemu wzrokowi w dół po smukłych nogach do małych stóp w sandałkach i wrócić na górę.

W zamian za to otrzymał spojrzenie pełne zabójczej pogardy, wyraźnie wypraktykowane w ukrócaniu zarozumiałych i powstrzymywaniu natarczywych, które dobitnie świadczyło, że podobnie jak wiele innych pięknych dziewczyn włoskich ona również była niezachwianie godna szacunku. Tylko nie usprawiedliwiona wiara Świętego w czystość jego uwielbienia umożliwiła mu przyjęcie tej zniewagi z anielskim uśmiechem, w którym nie było skruchy — dopóki to ona nie odwróciła wzroku.

Kasjer z zachwytem złożył jej pełen szacunku ukłon i po krótkiej wymianie słów wziął do ręki słuchawkę telefonu. Simon z żalem pojął, że dziewczyna nie przysłała tu, żeby coś zjeść, lecz poprosić o wezwanie taksówki — dość powszechnie stosowana metoda w tych stronach, gdzie znalezienie publicznego telefonu może być poważnym problemem.

Po następnych słowach wyrażających podziękowanie skierowała się ku wyjściu i

wchodzący mężczyzna usunął się, przytrzymując jej drzwi. Przepłynęła obok niego, przyjmując usługę, jak gdyby boskim prawem jej się należała, a on w nagrodę musiał się zadowolić przyjemnością patrzenia, jak wsiada do taksówki, która opatrnościowo była staromodna z wysokim stopniem. Dopiero gdy Simon podzielił z nią tę przyjemność, spostrzegł, kim był nowo przybyły, który zamknąwszy w końcu drzwi zbliżył się do niego.

— Marco Ponti... Co za niespodzianka — powiedział cicho bez żadnej widocznej oznaki tej reakcji. — Zechce mi pan dotrzymać towarzystwa? Chociaż jako atrakcja nie mogę rywalizować z tym, czemu pan przed chwilą się przyglądał.

Ponti zrobił klasyczny ruch, rozkładając ręce na wysokości ramion, dłońmi na zewnątrz, którym Włoch może praktycznie wypowiedzieć wszystko — w tym przypadku razem z podniesionymi lekko w górę oczyma znaczyło to: Kto nie przyglądałby się czemuś takiemu? Ale to taka strata czasu! — i usiadł.

— Obawiam się, że szwajcarski klasztor, w którym odbywała uzupełniającą edukację, ostudził jej południową krew na jakiś czas — rzekł. — Ale pewnego dnia znów się rozgrzeje. Miałem nadzieję, że nawiążę z nią znajomość po jej powrocie, ale Gino Destamio i ja nie obracamy się w tych samych towarzystwach.

— Jak pan ją nazwał? — spytał Simon z nie ukrywanym zdumieniem.

— Nazwisko coś panu mówi?

— Jeśli ona jest krewną niejakiego Ala Destamia, z którego wątpliwej gościnności korzystałem wczoraj na Capri.

Uśmiech znów niby maska przysłonił twarz detektywa, lecz Simon wyczuł kryjące się pod nim przygnębienie.

— To jego bratanica — powiedział Ponti.

Święty doznał ostatnio tylu wstrząsów, że przywykł je przyjmować bez okazywania żadnej reakcji.

— W końcu to mały kraj — zauważył. Spojrzał na swój musujący karminowy aperitif i skinął na kelnera. — Chciałby pan coś takiego nim zaczniemy jeść?

— Jeśli pan pozwoli, wolałbym brandy. Button vecchio, ponieważ to jest ich najdroższy trunek. Jako nisko płatny funkcjonariusz służby publicznej rzadko mam okazję pozwolić sobie na taką ekstrawagancję. — Ponti czekał aż kelner odszedł powłócząc nogami i spytał:

— Co pana zaprowadziło do Destamia?

W pytaniu dźwięczał ten sam zdawkowy ton, lecz jego oczy wpatrywały się w Świętego bez mrugnięcia.

— Sam byłem tego ciekaw — odpowiedział chłodno Simon. — Spotkaliśmy się kiedyś przypadkiem i zdaje się, że dość szybko wynikły pomiędzy nami pewne różnice zdań. Tak radykalne, że nie zdziwiłoby mnie to, gdyby w napaści Tonia dzisiaj na mnie on maczał palce.

Detektyw rozważył dokładnie słowa Świętego nim twarz jego znów rozbłysła uśmiechem.

— Wiele historii słyszałem o panu, niektóre niewątpliwie są fałszywe, może niektóre z nich prawdziwe. Ale w żadnej z nich nie słyszałem nic, co by sugerowało, że pańskie stosunki z tymi ludźmi wyglądają na zażyłe. Byłoby jednak ciekawe poznać dokładnie te różnice zdań, o których pan wspominał.

W tej chwili wrócił kelner niosąc brandy. Nim mógł się znów oddalić, Simon skorzystał z okazji żeby zamówić jedzenie lub raczej pozwolić, żeby to zrobił Ponti, gotów pozostawić całkowitą inicjatywę doradcy, który go tutaj skierował.

Kiedy kelner znalazł się już poza zasięgiem ich rozmowy, Święty pominąwszy ostatnie pytanie Pontiego zadał swoje.

— Czy nie miałby pan nic przeciwko temu, żeby mi powiedzieć, co mają znaczyć słowa „tymi ludźmi?”

— Mafia — odrzekł spokojnie Ponti.

Tym razem Simon pozwolił sobie na mrugnięcie powiekami.

— Pan ma na myśli, że Tonio został przez nich wynajęty?

— Ten *cretino* jest jednym z nich oczywiście. Ale jestem pewien, że Al Destamio jest grubą rybą, chociaż nie mogę panu tego udowodnić.

— To staje się naprawdę interesujące — zauważył Święty.

Ponti pił swoją brandy drobnymi łykami.

— Czy pan coś wie o mafii?

— Tylko to, co czytałem w gazetach, jak każdy inny, no i co fantazja literacka poszerzyła w broszurowych powieściach. Ale od strony faktycznej nawet nie wiem, co znaczy mafia.

— To bardzo stare słowo i nikt nie jest całkowicie pewny, skąd się wzięło. Legenda mówi, że powstało tutaj, w Palermo, w XII wieku, kiedy Francuzi włada Królestwem Obojga Sycylii. Podobno pewien młodzieniec wychodził z kościoła po ślubie i kiedy rozmawiał z księdzem, został rozdzielony na chwilę z panną młodą. Pijany Francuz, sierżant, odciągnął ją na bok i zaczął napastować, a kiedy próbowała uciec, zabił ją. Pan młody nadbiegł za późno, żeby ją ocalić, ale zaatakował Francuza i położył go trupem, krzycząc „Morte alla Francia!”

— Śmierć Francji! Palermo wycierpiało okrutnie podczas okupacji i trzeba było to rozgłosić. Wybuchł bunt i w ciągu kilku dni wszyscy Francuzi zostali schwytani i wymordowani. *Morte alla Francia Italia anela* było okrzykiem wojennym. „Włochy życzą Francji śmierci!”

Naturalnie Francuzi wkrótce potem wrócili i zabili większość buntowników, a ci, którym udało się przeżyć, schronili się w górach. Lecz zachowali inicjały okrzyku wojennego Mafia jako swoją nazwę. Przynajmniej taka jest jedna z wersji.

— Trudno myśleć o mafii jako o pewnego rodzaju trzynastowiecznym ruchu oporu.

— Teraz oczywiście, ale na początku byli tym naprawdę. Aż do zjednoczenia Włoch mafia była po stronie uciskanych. Dopiero potem zaczęło się wymuszanie pieniędzy i morderstwa.

— Zdaje mi się, że coś takiego słyszałem o templariuszach, z nimi było podobnie — powiedział Simon zastanowiwszy się. — Ale niezależnie od tego nie rozumiem, dlaczego pan łączy mnie z nimi?

Ponti zaczekał, aż została podana caponata di melanzane i kieliszki napełnione winem.

Potem odpowiedział, jak gdyby nie było przerwy.

— To bardzo proste. Czy pan wiedział, czy nie, co pan robi, został pan wmieszany w sprawy mafii. Przed chwilą powiedziałem panu, że Toniowi będzie wymierzona sprawiedliwość. Ale czy on działał na zlecenie Destamia, a nie tylko we własnej obronie, ponieważ pan go złapał na okradaniu pańskich kieszeni, co do tego nie byłbym optymistą.

Znajdą się świadkowie, którzy zeznają, że to pan napadł na niego. I nie ma siły, żeby go zmusić do przyznania się do znajomości z Destamiem. To jest omerta, szlachetne milczenie. Umrze, nie powie. Nie dla wzniosłej przyczyny, być może, ale gdyby mówił, nie miałby się gdzie schować, nie byłoby dla niego miejsca na ziemi. Nie ma zdrajców w mafii, to znaczy żyjących, a śmierć, jaka ich spotyka, nie jest łatwa.

Simon skosztował ciclope di Etna. Wino było lekkie i miało delikatny wytrawny smak, stanowiący dobry akompaniament do ostro przyprawionych potraw.

W kwesturze — powiedział — wydawało się, że Tonio był w lepszej sytuacji niż ja. Czy długie ramię mafii na tej wyspie sięga nawet do szeregów nieprzekupnej policji?

— Takie rzeczy są możliwe. — Ponti doskonale panował nad sobą. — Na tej nieszczęsnej wyspie mafia to potęga. Dlatego dałem panu do zrozumienia w kwesturze, że jeśli pan jeszcze chce coś mi powiedzieć, to powinniśmy porozmawiać gdzie indziej.

— A ja mam się domyślać, że pan jest jedynym człowiekiem policji poza podejrzeniem.

Detektyw nie poczuł się urażony i tylko pozwolił sobie na uśmiech, tak że Simon znów mógł stwierdzić potęgę tej maski, za którą wszystko mogło się kryć.

— Signor Templar, niech mi pan pozwoli opowiedzieć sobie jeszcze jedną historię, która nie jest legendą. Dotyczy ona pewnego człowieka, który przybył z Bergamo na północy, żeby otworzyć sklep na tej słonecznej wyspie. Początkowo szło mu trudno, ale po pewnym czasie interesy się poprawiły i mógł zapewnić rodzinie skromne wygody. Wtedy zjawiała się mafia z żądaniem okupu, a on w swej nieświadomości dumie odmówił zapłaty. Kiedy przysłali swojego człowieka, żeby go zbił pałką w jego własnym sklepie, wyrwał mu ją i zbił tamtego. Ale był trochę za silny i wysłannik mafii zmarł. Tylko jedna rzecz następuje potem: wendeta i zabójstwo. Sklepikarz, jego żona i córka zostali zamordowani, a ocalał tylko synek, którego uprzednio wysłano do dziadków do Bergamo, i ci, jak się o tym dowiedzieli, oddali go przyjaciom w innym mieście i tam uchodził za ich rodzzonego syna. Chłopiec znał jednak całą historię i wzrastał w nienawiści wystarczająco silnej, żeby wejść na drogę wendety przeciwko mafii. A kiedy dorósł tak, żeby zacząć działać, zrozumiał, że to nie jest sposób.

— I wstąpił do policji, żeby próbować coś zrobić legalnie?

— Nędznie to płatna posada, jak już powiedziałem przedtem, i niebezpieczna, jeśli się ją wykonuje uczciwie. Ale czy pan myśli, że człowiek z takimi wspomnieniami może być po stronie morderców?

— Skoro wasz komisariat policji jest gniazdem dla członków mafii, to jak może pan cokolwiek zdziałać? Ten dwulicowy marescialło omal nie skazał mnie za usiłowanie zabójstwa, zanim pan wszedł. Wtedy wszystko się zmieniło. Czy oni podejrzewają, że ich również i mógłby pan przesłuchać?

— Jeszcze nie. Myślą, że jestem szczęśliwym głupcem, który robi z siebie ważnego w

niewłaściwych miejscach, uczciwym głupcem, który odmawia przyjmowania łapówek i informuje o tego rodzaju propozycjach. Ludzie na moim stanowisku zawsze bywają przenoszeni, tak że tamci ukrywają przede mną, co tylko mogą, i czekają cierpliwie mego następnego przeniesienia. Ponieważ pochodzę z północy, upłynęło wiele lat, w czasie których musiałem poruszyć wiele sprężyn, żeby dostać się tutaj, i nie mam zamiaru ruszyć się, póki nie osiągnę mego celu.

Jeśli kiedykolwiek Święty słyszał i widział szczerłość, musiał przyznać, że spotkał się z nią teraz.

— Tak więc chce pan usłyszeć, co mam panu do powiedzenia — rzekł powoli. — Ale znając moją reputację, czy pan mi uwierzy? A czy trochę nie interesuje pana to, że przy okazji sam się mogę wsypać?

— Nie prowadzę żadnej gry, signore — ostro odpowiedział detektyw. — Nie pytam pana o żadne inne pańskiej sekrety. Może mi pan powiedzieć, że zamordował pan trzynaście żon, to już zależy od pana, mnie to obchodzi, jeżeli pomógł mi pan w tej jednej rzeczy, która znaczy dla mnie więcej niż życie.

Może pierwsze przykazanie dla każdego, kto łamie prawo, powinno brzmieć: „Swoją pułapkę zawsze będziesz trzymał zamkniętą”, lecz z drugiej strony nie uprawiałby samotnego rzemiosła, jeśli nie łamałby przepisów, a to znaczy czasem równie dobrze i swoich własnych reguł, Simon wiedział, że to jedyny moment, kiedy musiał zaryzykować.

— Dobrze — rzekł — zobaczymy, co to panu da... Opowiedział wypadki kilku ubiegłych dni ze spokojnym obiektywizmem. Niczego nie pominął ani nie wyciągnął żadnych wniosków, czekając, co Ponti na to powie.

— To jest tak jasne jak słońce — stwierdził detektywi pod koniec relacji. — Pan myślał, że Anglik Euston został zamordowany w Neapolu dlatego, że rozpoznał Destamia jako

niejakiego Dina Cartelli. Ale Destanio udowodnił panu swoją tożsamość i tu w Palermo dowiedział się pan, że Cartelli nie żyje od wielu lat. Wygląda na to, że pan, jak mówią Amerykanie, ścina nie to drzewo?

— Może — Simon skończył jeść i pić wino. — w takim przypadku, jak pan wytłumaczy zbieg okoliczności pomiędzy zabójstwem Eustona i nagłym zainteresowaniem Destamia dla mojej osoby, pieniędzmi, jakie mi dał, i usiłowaniem zabicia mnie?

— Jeśli jest jakiś związek, to tylko dwa wyjaśnienia są możliwe: albo Destanio był Cartellim, albo Cartelli to Destanio.

— Nie inaczej.

— Ale jakiś oszust nie mógł zająć miejsca Destania, jednego z przywódców mafii. A jeżeli człowiek, który zginął w banku, to nie był Cartelli, więc kto?

— To są zagadki, które muszę rozwiązać, i mam zamiar kopać tak długo, póki się czegoś nie dokopię.

— Albo dopóki ktoś inny nie wykopie grobu dla pana — zachnął się Ponti, potem zaciągnął się gwałtownie dymem z papierosa.

Simoa uśmiechnął się i zamówił kawę.

— Dla mnie świetnie się składa, że pan został w to wciągnięty — rzekł Ponti po chwili. — Zrobił pan zamieszanie i różne rzeczy mogą wypłynąć na powierzchnię, być może cenne dla mnie. W mojej sytuacji muszę być ostrożny. Pan nie jest dość ostrożny. Może pan nie wierzy, jak potężni i źli są ci ludzie, choć nie przypuszczam, żeby to stanowiło dla pana jakąś różnicę. Ale pomogę panu, w czym będę mógł. W zamian za to proszę mówić mi wszystko, czego pan się dowie, co dotyczy mafii.

— Bardzo chętnie — powiedział Simon.

Nie uważał, aby warto było wspomnieć o małym zastrzeżeniu, które zrobił w myśli — że

przy całym zadowoleniu, jakie mu sprawi podzielenie się faktami skrzętnie zebranymi, prawdziwie cenny łup, na który się natknie, uzna za swoją prawowitą zdobycz.

— Mógłby pan zacząć od tego, żeby mi opowiedzieć, co pan wie o Destamio — rzekł.

— Nie tyle, żeby z tego był jakiś pożytek. Wszystko to są domysły i skojarzenia. Wszyscy tutaj są członkami mafii, albo zbyt się ich boją, żeby mówić. Lecz sądząc po ludziach, których spotyka, z tego, gdzie bywa, z ilości pieniędzy, jakie wydaje, z przerażenia, jakie wzbudza, muszę wyciągnąć wniosek, że działa na najwyższych szczeblach tej organizacji. Reszta jego rodziny nie wydaje się zaangażowana, co jest rzeczą niespotykaną, ale mam na nich oko.

— Odkąd zobaczyłem jego bratanicę, Ginę, jestem w stanie zrozumieć to pańskie oko. Kto jeszcze należy do jego rodziny?

— Siostra, donna Maria, istna *faccia tosta*. I stary wuj, bardzo już sędziwy. Mają dom poza miastem, to stara baronowska rezydencja, zaniedbana i chyląca się ku upadkowi.

— Musi mi pan powiedzieć, jak tam się można dostać.

— Chciałby pan znów zobaczyć Ginę? — spytał Ponti z porozumiewawczym uśmiechem.

— Może będę miał większe szczęście od pana — odpowiedział Święty, nic sobie nie robiąc ze słów Pontiego. — I to wydaje się najodpowiedniejsze miejsce, żeby zacząć sondować stosunki rodzinne Ala i jego przeszłość. Poza tym, niech pan pomyśli, jakie zrobi na nim wrażenie, kiedy się dowie, że odwiedziłem dom jego rodziców i poznałem jego rodzinę.

Ponti obrzucił go długim trzeźwym spojrzeniem.

— Jeden z nas oszalał, a może i obaj — rzekł. — Ale narysuję panu mapkę i wytłumaczę, jak tam dojechać.

ROZDZIAŁ 3

Jak Simon wynajął okaz muzealny

1

Podjąwszy decyzję Simon Templar zamierzał nie zwlekając złożyć wizytę w rezydencji rodziny Destamia, gdyż wyobrażał sobie, że im szybciej będzie się poruszał, tym bardziej Destamio będzie zdezorientowany i w ten sposób tym bardziej on sam na tym zyska. Lecz żeby móc się należycie zaprezentować, przede wszystkim trzeba było zreperować podartą marynarkę.

Kasjer wskazał najbliższy zakład, który właściciel akurat otwierał po trzygodzinnej południowej drzemce. Po nader ożywionej i barwnej dyskusji została uzgodniona cena uwzględniająca gorszący żądany pośpiech, jednakże była nieco niższa od ceny nowej marynarki. Na koniec ustalono czas reperacji na pół godziny i Święty wiedząc, że będzie szczęśliwy, jeśli to potrwa tylko trzy razy dłużej, wyruszył na poszukiwanie następnego rekwizytu.

Krawiec skierował go na sąsiedni narożnik, gdzie powitalny szyld oznajmiał Servizio Eccellento di Autonoleggio. Ale oto raz w historii reklamy się zdarzyło, że wynajem samochodów funkcjonował tak znakomicie, że wszystkie zostały rozchwyte. Może po prostu dzięki sezonowym turystom cała flotyła samochodów rozplynęła się chwilowo. Jedyne widoczne, pozostawione na placu, to był stary poobijany fiat 500, w znacznej mierze rozmontowany przez mechanika, który wypełził spod jego tłustych od smarów wnętrzności i wytarł ręce w bawełnianą szmatę, gdy właśnie zbliżył się Simon.

— Ma pan samochody do wynajęcia?

— Sissignore. — Mądre spojrzenie człowieka schwyciło niewłoski wygląd Simona. — Pan chciałby wynająć auto?

— Chciałbym — powiedział Święty potulnie, rezygnując z targowania się o cenę, która

automatycznie podwoiła się z chwilą, gdy właściciel zidentyfikował go jako cudzoziemca.

— Mamy mnóstwo aut, ale cholera, wszystkie już porozbierali, został tylko ten drań.

Było oczywiste, że angielszczyzna właściciela została zaczerpnięta z tej wszechobecnej skarbnicy wykwintu lingwistycznego, jaką są szeregi poborowych armii amerykańskiej.

— Myśli pan o tym ostatnim wózku? — spytał Simon wskazując na rozebranego fiata.

— Sissignore, to prawdziwe cacko i bardzo solidnie zbudowany. Może być gotowy na wieczór.

— Nie chcę go, nawet gdyby pan go złożył zaraz. Nie dlatego, żebym źle się o nim wyrażał, ale po prostu nie dla mnie go zrobiono. A więc może mi pan powie, gdzie mógłbym znaleźć coś na mój rozmiar.

— Może by pan chciał jakiś szykowny wóz: alfa romeo albo ferrari?.

W pytaniu tkwił ślad szyderstwa, które Simon zdecydował się zignorować w nadziei zyskania na czasie do dalszych poszukiwań.

— Jeździłem nimi. Prowadziłem też bentleye, lagondy, jaguary i w dobrych dawnych czasach hirondeła.

— Co, prowadzi pan hirondeła? Jak on jeździ?

— Jak szatan — odrzekł Święty z powagą. — Ale to nie ma nic wspólnego z tym, o co mi chodzi. Ciągle potrzebny mi jest samochód.

— Chciałby pan zobaczyć coś specjalnego, żeby już nie myśleć o hirondelu?

— Właśnie o coś takiego mi chodzi.

— Niech pan pójdzie ze mną.

Poprowadził Simona przez drzwi w głębi garażu na tylne, pokryte pyłem podwórze. Poza stosami zardzewiałych części samochodowych i zużytymi oponami znajdował się tam jakiś duży bezkształtny przedmiot, okryty brezentem. Z wyrazem czci, stosownej bardziej do

podnoszenia welonu panny młodej przed złożeniem małżeńskiego pocałunku, mechanik rozwiązał liny podtrzymujące płótno i delikatnie je zsunął. Światło słoneczne zaśniło w czerwonej jak krew karoserii i chromowanych częściach i Święty pozwolił sobie na niezwykle luksus gwizdnięcia wyrażającego zdumienie.

— Czy to jest to, o czym myślę?

— Na pewno tak — odparł mechanik z oczami na wpeł zamkniętymi w ekstazie. — Patrz pan na model bugatti!

— I jeśli się nie mylę typ 41 royale.

— No, no, profesorze, pan wie wszystko o tych draniach! — rzekł właściciel auta, tytułując Simona z szacunkiem należnym jego erudycji.

Było niegdyś grono entuzjastów, którzy patrzyli na motoryzację jako na sport, a nie jak na klimatyzowane, napędzane paliwem urządzenie mechaniczne służące dostarczaniu do domu artykułów żywnościowych, i wśród coraz bardziej malejącej liczby tych, co przetrwali, ciągle jeszcze są puryści, którzy utrzymują, że tylko w złotych latach 1919–1930 konstruowano prawdziwe samochody, i odrzucają wszystkie auta sprzed tamtej ery lub późniejsze jako godne pogardy rupiecie. Święty nie był aż takim fanatykiem, lecz miał poszanowanie artysty dla arcydzieł tamtej wielkiej dekady. Teraz miał przed sobą jedno z najlepszych. Nazwisko Ettore Bugatti brzmi tak samo magicznie dla entuzjastów motoryzacji jak nazwisko Annie Besant czy Karola Marksa dla innych kół wyznawców. Bugatti był to geniusz ekscentryk, który projektował samochody według swego upodobania, nie bacząc na to, co robili inni konstruktorzy. W 1911 roku, kiedy wszystkie samochody wyścigowe były z grubsza ciosanymi potworami, ogromny fiat, sapiąc, zdobył nagrodę grand prix. Tego się spodziewano, lecz co było kompletnym zaskoczeniem, to uplasowanie się na drugim miejscu pierwszego samochodu wyścigowego marki Bugatti, który wyglądał jak mucha przy słoniu, z

silnikiem wielkości jednej ósmej silnika potwora—zwycięzcy. Bugatti w dalszym ciągu dokonywał cudów mechaniki takich jak ten. Potem w 1927 roku, kiedy wszyscy konstruowali ‘ małe auta, on wystąpił z kolosem, którym teraz Simon sycił swój wzrok.

— Zrobili tylko siedem takich — mruzczał właściciel, troskliwie ścierając pyłek z lśniącego błotnika. — Bugatti sam rozwalił jeden i teraz jest tylko sześć na całym świecie.

Olbrzymi to nie jest przesadne określenie dla takiego wozu. Na ramie dłuższej niż czternaście stóp zaokrąglone pudło typu coupe—de—ville nikło w perspektywie, gdy się patrzyło na niczym nie przysłoniętą długość monstrualnych rozmiarów maski. Przednie błotniki wznosiły się wysoko, po czym opadały ku tyłowi tworząc stopień.

— A niech pan tu spojrzysz — mechanik manipulował przy skomplikowanych zamkach i uchwytach zabezpieczających maskę i z niemałym wysiłkiem podniósł ją. Duma go rozpiekała, gdy pokazywał bezbłędny silnik, który bardziej nadawałby się do lokomotywy niż do samochodu. Musiał mieć ponad pięć stóp długości.

— Słyszałem, że jeśli bugatti w ogóle zapali, to zapali za jednym tylko pokręceniem korbą.

— Tak jest. *Sono raffinate* — jak pan to nazywa, rusza z kopyta jak koń wyścigowy. Kiedy jest dobrze ustawiony, to zapala od razu. Pokażę panu.

Mechanik włączył zapłon, ustawił ręczny gaz, po czym wsunął lśniąca mosiężną korbę w otwór. Kiwnął na Świętego, przywołując go operowym gestem.

— Pan sam spróbuje, profesorze!

Simon zbliżył się, uchwycił rączkę korby ostrożnie manewrując, aby trafiła we właściwe miejsce, i jednym skoordynowanym ruchem energicznie zakręcił półkole. Bez kaszlu i dławienia się silnik ożył z rykiem, który nie całkiem zatonął wśród dziwnie przyjemnego metalicznego dźwięku, odmiennego niż stukot baterii maszyn do szycia w pełni pracy.

— Takim — powiedział Święty podnosząc nieco głos — pojeździłbym sobie z

przyjemnością przez parę dni.

— Nie, nie — zaprotestował właściciel. — Ten drań nie jest do wynajęcia. Za bardzo cenny, powinien być w muzeum. Ja tylko panu pokazuję...

Głos mu się załamał, kiedy zobaczył banknoty, które Święty rozwijał w ręku. Suma, na jakiej Simon się zatrzymał, była może ekstrawagancko wysoka, ale zapłaty jej nie uważał za rozrzutność, skoro zapewni mu radość zabawienia się takim historycznym okazem. A poza tym, pomyślał, to były tylko pieniądze Ala Destamia.

Tak więc uprzednio udawszy się po odbiór marynarki, kiedy załatwiano stronę papierkową wynajmu samochodu, po podpisaniu i sprawdzeniu niezbędnych formularzy Święty zasiadł za kierownicą, włączył pierwszy bieg i lekko zluźnił sprzęgło: Z drzeniem radości potężny stwór zerwał się do skoku i przez otwartą bramę popędził drogą; podczas gdy jego właściciel z przejęciem wymachiwał mu na pożegnanie.

Dla automobilisty z wysubtelnionym smakiem prowadzenie auta marki Bugatti jest przeżyciem podobnym do słuchania klasycznej symfonii w doskonałym wykonaniu.

Dynamiczna zrywność i idealne trzymanie się drogi były tymi cechami, które Bugatti chciał mieć przede wszystkim; a ponieważ był człowiekiem bezkompromisowym, osiągnął je w pełni. Kierownica wibrowała delikatnie w palcach Świętego niby kawałek żywego ciała, odczuwającego najłżejszy jego dotyk; wóz prowadziło się tak lekko, jak się kroi masło gorącym nożem. Nieco trudniejsze okazało się zwalnianie, ponieważ intencją signore Bugatti zawsze było, aby jego auta jeździły raczej, a nie stawały, ale udawało się je opanować przez umiejętne obniżanie biegów i dodatkową pomoc ręcznym hamulcem. Zachwycony Simon zatrąbił klaksonem, który wydał głęboki, podobny do puzonu ton, gdy mijał grupy wesołych urwisów, i gapiów przy wyjeździe z miasta. Silnik zahuczał radośnie i długa czerwona maska popłynęła wprost przez wiejską okolicę.

Szczegóły mapy naszkicowanej przez Pontiego zbyt szybko pozostawały za Simonem, który za ostatnim zakrętem zobaczył przed sobą rezydencję Destamiów. Z pewną niechęcią zjechał z jezdni i zaparkował auto w cieniu drzewa.

Wysoki mur z nieprzyjazną warstwą potłuczonych butelek i skorup z dachówek na wierzchu otaczał posesję zasłaniając widok na dom z wyjątkiem dachu, Simon nacisnął guzik obok masywnej bramy drewnianej z żelaznymi okuciami i czekał cierpliwie, aż w końcu po długiej chwili zazgrzytał średniowieczny zamek i ze skrzypieniem otworzyła się furtka.

Niska, opalona kobieta w fartuchu służącej wyjrzała podejrzliwie.

— *Buona sera* — powiedział uprzejmie. — Nazywam się Templar, chciałbym zobaczyć się z donną Marią.

Śmiało zrobił kilka kroków naprzód i służąca wpuściła go. Jego pierwszą strategią było zrobić wrażenie, że jest oczekiwany, i na tej zasadzie posunąć się jak najdalej, ale to nie wystarczało, żeby dostać się do wnętrza domu. Na tarasie otoczonym balustradą i biegnącym wzdłuż całej szerokości budynku, służąca ruchem ręki skierowała go w stronę mebli ogrodowych.

— Proszę tu poczekać, signore. Powiem donnie Marii. Jakie to było nazwisko?

Simon powtórzył i na stojąco przyglądał się domostwu, budowli typowo odpychającej i ciężkiej, w kształcie pudła, z poodpadanymi barwy wypłowiałego różu kawałkami tynku i okiennicami domagającymi się odmalowania, co tworzyło nędzny kontrast na tle z wspaniałością utrzymanego w nienagannym stanie ogrodu. Całe swoje zainteresowanie przeniósł na tę bardziej wdzięczną scenerię, a gdy usłyszał za sobą równomierne, ciężkie stąpanie, odwrócił się.

— Donna Maria — powiedział z najbardziej czarującym uśmiechem, na jaki go było stać, wyciągając rękę. — Nazywam się Simon Templar. Jestem dawnym przyjacielem pani brata

Alessandra. Kiedy usłyszał, że wybieram się do Palermo, przykazał mi złożyć pani wizytę.

2

Kobieta stała bez ruchu, patrząc tylko na rękę Simona, jak gdyby to była zdechła ryba. Ten wyraz twarzy doskonale pasował do linii jej ust i rozszerzonych nozdrzy. Jej rozpełzłe wąsy były czarne, a bogactwo włosów ściągniętych do tyłu w ciasny kok miało kolor matowej stali.

Była o głowę niższa od Świętego, lecz przynajmniej dwa razy szersza i cała ta masa wtłoczona była w gorset tak potężny i nieelastyczny, że w kształcie, jaki nadał jej postaci, mało co pozostało ludzkiego. W tradycyjnej czarnej sukni bez żadnego fasonu przypominała mu beczkę na nodze fortepianowej, żałobnie przystrojoną.

— Nigdy nie widuję przyjaciół mego brata — powiedziała. — Swoich interesów nie łączy z życiem rodzinnym.

Tak jak nie ożywiała monotonii jej sukni żadna ozdoba, tak żaden ślad życzliwości nie dodawał ciepła jej oschłym słowom. Tylko osoba o pewności siebie takiej jak Simon i mająca ukryte pobudki działania mogła przeżyć podobne przyjęcie; i Simon z cynizmem zachował swój nie zmieniony uśmiech.

— To świadczy o tym, jak on ceni sobie naszą przyjaźń, Pracowaliśmy razem w Ameryce, skąd ja pochodzę, prawie że byliśmy współnikami. I jak byłem u niego na Capri parę dni temu na obiedzie, wymógł na mnie obietnicę, że panią odwiedzę.

— Dlaczego?

Pytanie było wyzwaniem i prawie że odmową daną z góry. Jasne było, że Destamio nie przysyłał swoich przyjaciół do tego domostwa przodków ze spontanicznego odruchu przyjaźni, jeśli przysyłał ich w ogóle. Simon zdał sobie sprawę, że musi znaleźć lepszy pretekst i to szybko, bo inaczej w ciągu paru sekund znajdzie się znów za bramą, nic nie osiągnąwszy poza obejrzeniem odpychających fasad donny Marii i jej domiszcza.

— Alessandro nalegał, żebym panią poznał — mówił pozwalając swemu głosowi przybrać ponury, chłodny ton. — Opowiadał mi, jaką pani jest dobrą siostrą i jak bardzo chciał być pewien tego, że w każdej trudnej sytuacji pani będzie wiedziała, do którego z jego przyjaciół się zwrócić.

Dwuznaczność tych słów odniosła pewien skutek w bazylijszkowym spojrzeniu kobiety: przez chwilę widać było niepewność, a potem nastąpiło bardzo nieznaczne złagodzenie jej nieugiętej rezerwy.

— Dzisiaj jest wielki upał i nim pan wyjdzie, dobrze panu zrobi jakiś chłodny napój.

— Pani jest zbyt gościnna — odparł Święty dokonując cudu pozbycia się całkowitego sarkazmu ze swego tonu.

Skinąwszy na służącą, która wyraźnie czekała w pobliżu, ciężko opadła na jedno z krzeseł. Simon odwrócił się, żeby wybrać krzesło dla siebie, i czyniąc to ujrzał zjawisko, które niemal dosięgło jego najbardziej nieprawdopodobnych oczekiwań.

Zbliżając się przejściem o sklepieniu utworzonym z pnących róż od strony płotu okalającego ogród, gdzie się widocznie opalała, szła Gina Destamio w bikini tak minimalnych rozmiarów, że jego dwa elementy zakrywały niewiele więcej niż okulary przeciwsłoneczne. Jej skóra była złotawobrazowa w ostatnich promieniach słońca i odsłonięte szczegóły jej figury ponad miarę spełniały wszystkie cudowne obietnice dane spod sukni, w której ją ostatnio widział. Był to widok, jaki nawet takiego starego wygę, jak Simon Templar, pobudziłby do napisania jeszcze jednego sonetu więcej. Ale nie donnę Marię, która wciągnęła powietrze niby astmatyczny odkurzacz, po czym je wypuściła w eksplozji jednego zdania, trzaskającego błyskawicami i dudniącego napięciem wulkanu. Był to dialekt, z którego Simon nie rozumiał ani słowa, lecz poruszone tematy były jaskrawo wyraźne, sądząc z tonu: bezwstyd, kompromitacja rodziny wobec całkiem obcego człowieka i zasadnicza

demoralizacja młodego pokolenia. Gromy przelatwały wokół potarganej głowy Giny, lecz ona tylko się uśmiechała. Jakikolwiek jeszcze inny mógł być efekt jej końcowej szwajcarskiej edukacji, na pewno strachy matriarchatu minęły dla niej bezpowrotnie. Ten sam uśmiech przesłała Świętemu, który pławił się w nim jak w słońcu.

— Musi mi pan wybaczyć — powiedziała — nie wiedziałam, że mamy gościa.

— To pani musi mi wybaczyć, że tu jestem — odpowiedział. — Ale nie mogę powiedzieć, że jest mi przykro.

Bez pośpiechu nałożyła na siebie bawełniany żakiecik przerzucony przez ramię, podczas gdy zakłopotana donna Maria zmuszała się do dokonania spóźnionej prezentacji.

— Moja bratanica, Gina. To jest pan Templar z Ameryki.

— Czy ja pana nie widziałam już przedtem? — spytała niewinnie Gina doskonałą angielszczyzną.

— Nie przypuszczam, żeby mnie pani poznała — odpowiedział w tym samym języku. —

Patrzyła pani przeze mnie na ścianę z tyłu tak, jakbym był jakimś brudnym oknem, które zapomniano umyć.

— Przepraszam. Ale my mamy tutaj bardzo staroświeckie zasady. I tak to już wystarczający skandal, że czasem jeżdżę do miasta sama. Gdybym uśmiechała się do wszystkich, którzy nie zostali mi przedstawieni jak należy, nie miałabym spokoju do końca życia. Nawet sympatyczny Sycylijczyk wyciągnąłby mylne wnioski. Ale teraz cieszę się, że nadarzyła się nowa okazja.

— *Non capisco* — syknęła donna Maria.

— Moja ciotka nie zna angielskiego — wyjaśniła Gina i przesłała na włoski. — Czy pan tu przyjechał w interesie, czy dla przyjemności?

— Zaczynałem myśleć, że tylko w interesie, ale skoro pani stryj przysłał mnie tutaj, nagle

stało się to przyjemnością.

— Stryj Alessandro? Cieszę się, że pan go zna. Był dla nas taki dobry...

— Gina — przerwała pani na rezydencji głosem tak łagodnym jak dźwięk piły tnącej metal. — Jestem pewna, że pana nie interesują nasze sprawy rodzinne. Jeszcze tylko poczęstujemy pana czymś chłodzącym, nim pan nas pożegna.

Służąca wróciła z domu na taras w samą porę niosącą tacę, na której znajdowały się butelka wermutu, czara z kawałkami lodu, syfon i kieliszki.

— Jak to dobrze — powiedziała Gina. — Ja też mam ochotę się napić. Należę.

Ciotka posłała jej jadowite spojrzenie, które otwarcie wyrażało gorzki żal, że bratanica już wyszła z wieku, — kiedy można ją było położyć na kolanie i wymierzyć właściwą karę. Lecz nie wydawało się, aby na dziewczynie zrobiło to jakieś wrażenie. Gdy zaczęła przyrządzać trunek z wyrafinowaną zręcznością, Królowa Smoków za jej plecami tylko patrzyła spode łba.

— Czy pan już coś widział w Palermo? — spytała Gina, jakby szukając neutralnego tematu z uwagi na ciśnienie krwi jej strażniczki.

— Niewiele — odparł Simon. — A jak pani sądzi, co powinienem zobaczyć?

— Wszystko! Katedrę, kaplicę Palatynów, Zisa, Casa Professa, i powinien pan pojechać do Monreale, to tylko parę kilometrów, i zwiedzić katedrę normañską i klasztory.

— Muszę to zrobić — zgodził się Simon z entuzjazmem zdumiewającym u kogoś, kto wbrew swemu przydomkowi rzadko zaliczał katedry i klasztory do obiektów, których zwiedzaniem był zainteresowany. — A może pani zechciałaby wybrać się tam ze mną i opowiedzieć mi o tym wszystkim?

— Miałabym ochotę...

— Moja bratanica nie może panu towarzyszyć — powiedziała donna Maria chrapliwym

głosem — od tego są zawodowi przewodnicy.

Gina otworzyła usta, jak gdyby chcąc zaprotestować, ale zdawało się, że się rozmyśliła.

Oczywiście wiedziała z doświadczenia, że takiej walki nie wygra się bezpośrednim oporem.

Spojrzała zamyślonym wzrokiem na Świętego, przygryzając wargę, jak gdyby prosząc, by wymyślił jakiś sposób ominięcia tego zakazu.

Simon z szarmanckim *salute* podniósł kieliszek ku damie pełniącej straż i pił drobnymi łykami, życząc sobie, aby znalazł się jeszcze jakiś inny trunek do wyboru. Jego podniebienie nigdy nie przyzwyczai się do dwóch wermutów jako drinków samych w sobie, uznawało je tylko jako dodatek aromatyzujący do ginu czy bourbon whisky.

— Nie chciałbym być przyczyną jakichś nieporozumień, ale to Alessandro podsunął mi myśl, że może Gina miałaby ochotę mnie oprowadzić.

Donna Maria utkwiała w niego posępne spojrzenie, lecz nie mogła zdecydować, czy trudniej jej zmusić się i opanować chęć nazwania go kłamcą, czy dopuścić złudną możliwość, że mówi prawdę.

— Muszę zajrzeć do mego dziennika i zobaczyć, czy jest jakiś dzień, kiedy mogłabym ją puścić — rzekła w końcu. — Pan wybaczy.

Zakołysała się na nogach i kaczym chodem weszła do domu, nie czekając na potwierdzenie swoich słów.

— Boję się, że nie spodobałem się pani ciotce — zauważył Simon.

— Nie tylko pan — wytłumaczyła Gina. — Naprawdę, to ona nienawidzi wszystkich, a szczególnie mężczyzn. Czasami myślę, że to ją trzyma przy życiu. Jest tak nasiąknięta swoją własną trucizną, że aż prawdopodobnie niezniszczalna. Będzie tutaj jeszcze przez następne pięćdziesiąt lat.

— To zabawne, że taka może być różnica między nią a jej bratem. Al to taki wielkoduszny

facet.

— To prawda! Czy pan wie, że on się opiekuje całą rodziną i płaci rachunki? Posłał mnie do szkoły i zajął się naszymi sprawami. Gdyby nie on, nie wiem, co by było z nami wszystkimi. Kiedy moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym, nie byli ubezpieczeni i w banku nie zostały prawie żadne pieniądze. Miałam wtedy dopiero siedem lat, ale pamiętam, jak ludzie oglądali dom i mówili o sprzedaży. Nawet stryj Al był wtedy bardzo chory i wszyscy myśleli, że umrze. Ale wyzdrowiał, pojechał do Ameryki i szybko zaczął przysyłać pieniądze. Od tego czasu zawsze się o nas troszczył, a jednak rzadko kiedy tu przyjeżdża. Ciotka Maria mówi, że to może dlatego, żeby nam nie robić przykrości przypominaniem swoją osobą, jak wiele mu zawdzięczamy.

Święty rozsiadł się wygodnie w swoim krześle z wyprostowanymi na całą długość nogami, popijając od niechcienia wermut i słuchając z pozornie zdawkowym tylko zainteresowaniem, lecz pod tą maską umysł jego pracował jak komputer, rejestrując każde słowo, zestawiając z poprzednią informacją, w dążeniu do hipotez, jakie mogłyby być rezultatem licznych kombinacji tych danych. Miał jakieś uczucie spoza sfery Umysłów, że rozwiązanie zagadki Cartelli — Destamio jest blisko, gdyby tylko mógł je pochwycić, albo gdyby jedno więcej ogniwo przybliżyło je do zasięgu ręki...

Wówczas, gdy fragmenty zaczynały się dopasowywać, zostały nagle znów rozproszone brutalnie dźwiękiem głosu, który rozległ się za nim.

— Signore, robi się zbyt późno, żeby pan wracał do miasta. — Donna Maria ukazała się z powrotem. — Byłoby niegrzecznie wypuścić przyjaciela Alessandra o tej porze. Zostanie pan na kolacji?

Bardziej odrażający niż niezwykła zmiana w zachowaniu był wyraz jej twarzy. Fala życia przepłynęła przez nieruchome policzki, a bezkrwiste wargi rozchyliły się, aby ukazać

napawający lękiem rząd żółtych kłów. Przez chwilę Simon zastanawiał się, czy rzuci się na niego i rozedrze jak wilkołak, czy tylko był to pewnego rodzaju skurcz wywołany spazmem epileptycznym. Upłynęła sekunda lub dwie, nim zaświtało w jego mózgu, co się naprawdę dzieje.

Donna Maria usiłowała się uśmiechać.

3

— Dziękuję. Pani jest bardzo uprzejma — rzekł Święty dokonując heroicznego wysiłku, by opanować wstrząs, jaki w nim wywołał ten straszliwy widok.

Gina była wyraźnie bardziej zaskoczona tą zmianą i potrzebowała dłuższej chwili, żeby przyjść do siebie.

— Muszę się przebrać, przepraszam. Wbiegła do domu.

— A ja muszę wydać kilka dyspozycji służącym — donna Maria z trudem siliła się na uprzejmość, co się ujawniło w wyrazie jej twarzy. — Proszę, niech pan się rozgości i proszę sobie jeszcze zrobić drinka. Znów wyszła i Święty został sam, przetrawiając w myśli niepokojący zwrot w potraktowaniu jego osoby.

W chwilę później ponownie weszła służąca niosąc butelkę ginu Lloyd'a, którym uzupełniła stojące na tacy trunki.

— Donna Maria pomyślała, że pan wolałby to — rzekła i znów znikła.

Simon zapalił papierosa i obejrzał butelkę. Była nowa i nie otwarta, według wszelkiego pozorów, i od chwili zmiany nastroju donny Marii na pewno nie starczyło czasu, żeby dodać tam jakiś narkotyk czy truciznę i chytrze zakorkować z powrotem; a więc o ile butelki z tym napojem bez uprzedniego dodatku narkotyku znajdowały się stale w domu Destamiów, bez ryzyka można było nie odmówić poczęstunku. W umiarkowanej ilości... Święty z zadowoleniem wylał zawartość swego kieliszka do doniczki z kwiatami i zaczął przyrządzać

sobie bardzo wytrawne martini, niemal z uczuciem syna marnotrawnego, dla którego wytoczono najlepszą baryłkę.

Niemniej w głębi duszy czuł jakąś nieuchwytną pustkę, która nie była napięciem nerwów, lecz tylko wyostrzała ich czujność i trzymała w pogotowiu na każdy nagle dany im sygnał.

Nie mógł żywić uroczej złudy, że po wieloletniej, powszechnie znanej nieżyczliwości donna Maria wybrała to popołudnie, aby doznać nagłego wstrząsu, wyrzutów sumienia za swą szorstkość i złośliwość i po krótkiej nieobecności, pojednana ze swą duszą, wróciła na taras promienna i z postanowieniem odnowy. Ani że jego własna sympatyczna twarz i czarujący sposób bycia przebiły stwardniałą skorupę otaczającą ukryte wewnątrz tkliwe jej serce. Jakimś praktycznym względem należało tłumaczyć tę metamorfozę i nie mógł zdobyć się na wielkoduszność dostateczną, by uwierzyć, że nie kryje się za tym żaden inny motyw.

Pozostawało pytanie: jaki motyw?

Słońce zniżyło się za wzgórze na zachodzie i purpurowe cienie dosięgły już dziedzińca, pogłębiając przykurzoną szarość drzew oliwnych, wraz z pierwszym chłodnym powiewem od morza. Zapadający zmierzch nie złagodził sylwetki domu, lecz uczynił ją jeszcze bardziej posępną i złowieszczą. Gdzieś w głębi rozległ się dźwięk zegara i jego donośnym echem rozlegające się tony kojarzyły się z biciem dzwonów żałobnych.

Kiedy wybiła godzina, otworzyły się drzwi i na odległym końcu tarasu ukazał się fotel na kółkach ze skwapliwością kukułki wprawianej w ruch przez jakiś zegarowy mechanizm. Osobnik w nim siedzący dorównywał wiekiem domostwu — zaiste robił wrażenie dość starego, żeby móc samemu go wybudować.

— Piękny wieczór — odezwał się w końcu Simon, kiedy stało się jasne, że wszelka inicjatywa rozmowy powinna była wyjść od niego.

— Ach — odparł starzec.

Wyciągnął zmurszałą i drżącą rękę nie po to, żeby się przywitać, lecz w kierunku kieliszków na stole.

— Co mogę panu podać? — spytał Simon.

— Ach.

Simon wybrał natchniony kompromis przyrządzając napój z wermutu słodkiego i wytrawnego po połowie i napełnił nim kieliszek.

— Ach — rzekła czcigodna mumia wypijając mały łyk i wylewając starannie resztę trunku na posadzkę tarasu.

— Co pan sądzi o ostatniej książce Dantego? — zaryzykował Simon.

— Ach — rzekł patriarcha głosem mędrca i oparł się wygodnie, by oddać się przyjemności żucia bezzębnymi dziąsłami, utkwivszy w Świętym mrugające i wilgotne kawerny oczu.

Możliwości zdawkowej pogawędki zdawały się wyczerpane i Simon zastanawiał się, czy nie warto by zrobić słodkiej miny do swego vis-à-vis, żeby się przekonać, czy to nie wywoła żywszej reakcji, gdy od powzięcia decyzji ocalił go powrót Giny ubranej tym razem w coś bardzo cienkiego i prostego, co w sposób prowokujący przylegało do zaokrągleń jej postaci, które z kliniczną dokładnością mógł odtworzyć z pamięci.

— Wuj naprzykrza się panu?

— Wcale nie — odparł Święty. — Tylko nie potrafię znaleźć tematu, który by go zainteresował. A może mój akcent mu przeszkadza?

— *Povero zio* — powiedziała Gina uśmiechając się i poklepując rękę starca. — Nie pamiętam czasów, kiedy nie był stary, ale lubił mnie bardzo, kiedy byłem dziewczynką. Opowiadał mi ciekawe historie, jak maszerował z Garibaldim w czasie jego ostatniej kampanii i zapomniałam o tym, żeby się martwić, kiedy mieli nas wyrzucać z domu.

— Ach, ach... — powiedział starzec wyprostowując się nieco, jak gdyby słowa te ożywiły

jakieś dawno pogrzebane wspomnienie, lecz była to przemijająca podnieta, bo osunął się z powrotem na oparcie, rezygnując ze swego błyskotliwego komentarza.

— Wuj to nie znaczy, że jest bratem Alessandra?

— Och, nie. Jest prawdziwym wujem Alessandra i donny Marii.

Jakby w odpowiedzi na dźwięk swego imienia pani domu ukazała się ponownie. Jeśli zmieniła swoją czarną suknię na wieczorowy model, to trzeba by wzroku krawcowej, która wypatrzyłaby różnicę, natomiast na szyi zawiesiła sobie złoty łańcuch i we włosy wetknęła grzebień wysadzany brylantami dla podkreślenia, że jest w oficjalnym obiadowym stroju.

— Niech pan nie zwraca uwagi na Lo Zio, signor Templar... — powiedziała z jeszcze jednym wypracowanym uśmiechem swej trupiej czaszki. — Mało słyszy, a rozumie jeszcze mniej, ale to dla niego przyjemność być razem z nami. Jeżeli pan skończył swój aperitif, to możemy pójść na obiad.

Weszła pierwsza do domu, do obszernego, słabo oświetlonego hallu, z którego ozdobne drewniane schody prowadziły w pustkę i ciemność i Simon nie zdziwiłby się, gdyby stamtąd wyleciały nietoperze. Gina popychała fotel, a Święty, pragnąc zdobyć jej' względy, pomagał jej. Sala jadalna była prawie takim samym siedliskiem duchów jak hali, oświetlona tylko płomykiem świec, który ukazywał ciemne portrety przodków spoglądających ze ścian.

— Mam nadzieję, że pan nie weźmie nam na złe menu obiadowego — powiedziała Gina.

— Nigdy nie miewamy gości i kucharka zna tylko proste wiejskie potrawy. Jestem pewna, że nie do takich pan przywykł.

— Na pewno będzie to przyjemna odmiana.

Jego optymizm nie był nieuzasadniony. Kuchnia domowa jest nazwą wypaczoną w niektórych częściach świata, zbyt często utożsamiana ze sporządzaniem posiłków z produktów zamrożonych i puszkowych, lecz we Włoszech wciąż jeszcze jest domową w

tradycyjnym pojęciu, tak że tu i ówdzie w restauracjach z szyldem *casalinga* można znaleźć proste dania wysokiej klasy. Ale prawdziwie autentyczne potrawy podawane są tylko w domach prywatnych krewnym i bliskim przyjaciołom, a cudzoziemiec rzadko dopuszczany bywa do tego wewnętrznego kręgu.

Włoska gospodyni w myśl dawnych zasad nie kupuje nic prefabrykowanego. Jeżeli potrzebny jest sos pomidorowy, wyciska się pomidory, a pestki usuwa. Delikatne ciasto z mieszaniny mąki i jajek, bez kropli wody, które zwija się w *carmelloni* i *cappelletti*, rozwałkowane jest ręcznie. Świeże zioła i przyprawy, wyrosłe w ogrodzie warzywnym, z pieczolowitą troską dodane, podnoszą smak sosu do poezji. Oczywiście na południu należy się liczyć z nieograniczonym stosowaniem czosnku i oliwy, lecz dla Simona, obdarzonego zdolnością doskonałego trawienia takich mocnych ingrediencji, nie było to wadą kuchni. Ponieważ wieczorny posiłek zwykle jest lekki, zaczął się od *olive schiacciate*, soczystej sałatki z oliwek, selerów i papryki. Po tym nastąpiły *involtini alla siciliana*, wyborne nadzienie w cienkim niemal jak pajęczyna cieście, duszone w sosie tak smakowitym, że tylko zachęcały do wytarcia talerza aż do ostatniej kropli okruchami czarnego, chrupiącego chleba domowego wypieku. Duża krążąca z rąk do rąk butla z młodym czerwonym winem własnej fabrykacji stanowiła bogaty i nienaganny akompaniament. Kiedy Simon stwierdził, że kieliszki wszystkich zostały z niej napełnione i że wszyscy nabierali sobie na talerze z tych samych półmisków z wyjątkiem *Lo Zio*, któremu nałożyła Gina, mógł odeprzeć od siebie wszelkie niepokojące wspomnienia o Borgiach i oddać się uciechom stołu, których mu nie poskąpiła gastronomia. Tworzyli dziwny kwartet wokół masywnego stołu poczerńiałego ze starości, a średniowieczna ponurość sali jadalnej jak również echo kroków służącej na nagiej posadzce nie przyczyniały się do podniesienia atmosfery nieskrępowania i gościnności. Skupiwszy całą swoją uwagę na Ginie i na jedzeniu, Simon był w stanie prowadzić jakąś

banalną, obojętną rozmowę, nie przestając się zastanawiać, dlaczego go zatrzymano, i nad tym, że kiedy przyczynę pozna, prawdopodobnie będzie to dla niego nader niemiłe i niebezpieczne.

— Wszystko było wspaniałe — skierował na zakończenie wyrazy uznania pod adresem donny Marii — czuję się winny, że narzuciłem się pani, ale nigdy nie będę tego żałował.

— Niech pan się nie śpieszy, napijemy się kawy w salonie, zobaczę, czy jest jakieś brandy, gdyby pan miał ochotę.

Wstając błysnęła swoim krokodylim uśmiechem; Simon, uodporniony, już się nie wzdrygnął i odpowiedział swoim.

— Może powinienem odmówić — rzekł — ale to mogłoby sugerować, że pani nie mówiła tego na serio i szczerze, a jestem pewien, że tak.

Kiedy znów pomagał Ginie pchać fotel na kółkach, co wytwarzało między nimi pewne ciche porozumienie, powiedziała:

— Nie wiem, jak pan to zrobił. Ale dotychczas nikt jej tak nie rozbroił jak pan. Brandy, teraz!

— Ach, brandy! — powtórzył Lo Zio podnosząc głowę jak myszołów i kręcąc nią wkoło..

— Powinna była pani dać mi szansę w tamtej restauracji — powiedział Święty. — Gdyby mi się udało wtedy namówić panią na pranzo, moglibyśmy spędzić razem całe popołudnie.

Salon oświetlały trzy żarówki elektryczne o skąpej ilości watów, tak że niewiele tu było jaśniej niż w jadalni. Meble były masywne i nieprzytulne, barokowa mieszanina nie ustalonych okresów, obite brokatem równie spłowiałym jak ten, z którego były zrobione ciężkie draperie. Donna Maria weszła z omszałą butelką, za nią służąca niosąc na tacy kawę.

— Będzie pan tak miły i otworzy, panie Templar. Jestem pewna, że pan umie lepiej się obchodzić z takimi starymi butelkami niż my, kobiety.

Simon manipulował korkociągiem delikatnie i z wprawą, lecz nie bez myśli, że może powierzono mu tę funkcję jako jeszcze jedną okazję do uspokojenia podejrzeń. Mógł się upewnić, że tę butelkę z całą jej patyną wieku trudniej było poddać jakimś oszukańczym zabiegom, niż flaszkę ginu, który pił przed obiadem. Z uznaniem odcyfrował nazwisko Jules Robin pod brudem, jaki pokrywał naddartą etykietę, i szczerze rozlał trunek do wszystkich kieliszków wydobytych z jakiejś ciemnej wnęki, nie omijając kieliszka Lo Zio, w którym uzewnętrzniły się pewne nieokreślone oznaki ludzkiego ożywienia, gdy wpatrywał się w butelkę zreumatyzowanymi oczyma.

— *Salute* — powiedział Simon upewniwszy się, że wszyscy piją, zanim sam naprawdę przełknął pierwszy łyk.

Koniak był wyborny, na pewno leżał w piwnicy od śmierci ojca Giny i nie wydawało się, aby cokolwiek zostało zrobione dla nadania mu trujących lub usypiających własności.

Gościnność ta nie była zatem niczym innym jak grą na zwłokę, w czasie której Al

Destamio mógł zebrać kilku komandosów i wysłać ich do rodzinnej rezydencji w celu porwania Świętego czy też dyskretnego uśmiercenia go.

Jakiegolwiek były przyczyny, nabrał pewności, że Gina jest poza tym wszystkim. Spojrzał znów na jej promienną twarz, rozjaśnioną spontaniczną radością przebywania w tego rodzaju towarzystwie, do którego nigdy prawie jej nie dopuszczano, i postanowił nie zaniedbać nic dla wypróbowania, jak daleko mogło się posunąć to zdumiewająco życzliwe przyjęcie.

— Cieszę się na jutrzejsze zwiedzanie, nawet choćbym miał to robić z zawodowym przewodnikiem — rzekł zwracając się do donny Marii. — Ale teraz, kiedy pani już mnie trochę poznała, może pani zmieni zdanie i pozwoli Ginie mi towarzyszyć?

Obserwator nie zorientowany w całej sytuacji mógłby przypuścić, że donna Maria usiłuje niepostrzeżenie połknąć żywego karalucha, który przez jej nieostrożność dostał się do ust z

łykiem brandy.

— Może zareagowałam zbyt pośpiesznie — powiedziała. — Ponieważ pan jest tak bliskim przyjacielem Ala, właściwie nie ma podstaw, abym się sprzeciwiała. Co pana najbardziej interesuje?

Wywiązała się dyskusja na temat sycylijskich zabytków, tym razem bez udziału Giny, której oczy stały się lekko szkliste, a wargi rozchyliły się, bądź na skutek zachwytu, bądź obawy, czy jej wtrącanie się do rozmowy nie wpłynęłoby po raz wtóry na zmianę decyzji ciotki.

Kieliszek Simona znów napełniono, natomiast brutalnie odmówiono staruszkowi, który zasmakowawszy w pierwszym łyku, żałośnie wyciągnął rękę po następny. Potem jednak nie było już po co zostawać, chyba żeby spytać, czy pani domu ma wolny pokój, żeby gościa przenocować.

— Zatem do jutra, o dziesiątej, Gino — rzekł Simon wstając. — Powiem Alessandrowi, jacy państwo byli uprzejmi.

Ostatnia uwaga wypowiedziana z myślą o tyranie rządzącym w tym domu, najpierw spotkała się z reakcją Lo Zio, który nieprzywykły do takich libacji, musiał odczuwać jakieś ich skutki.

— Ach, Alessandro — powiedział, jak gdyby jakiś pajęczy przełącznik wprawił w drganie przewody jego mózgu. — Mówiłem mu, ostrzegałem go. Mówiłem mu, żeby nie jechał do Rzymu.

— Późno już, Lo Zio, dawno powinienes być w łóżku — rzekła pośpiesznie donna Maria.

Zawróciła fotel tak nieoczekiwanie, że głowa starca zatrzęsała się niby balon na sznurku. Na wezwanie, które zabrzmiało niby szczeknięcie psa, wbiegła służąca i szybko odwróciła fotel wraz z jego pomrukującą zawartością.

— *Buona notte, signore* — powiedziała donna Maria z jeszcze jednym spazmem spracowanych mięśni twarzy, podobnym do grymasu kota z rasy sycylijsko-cheshire i wrażenie to pozostało, nawet kiedy już zamknęły się za nią frontowe drzwi.

Simon przeszedł krótką przestrzeń do bramy wjazdowej z nerwami naprężonymi jak struny skrzypiec, ze słuchem i wzrokiem wyostrzonym tak, że przeszywał każdy cień. Ale nie było żadnego odgłosu stąpania, żadnego ruchu, który zapowiadałby napaść czatujących zbirów, żadnego trzasku czy strzału oznajmiającego spóźnioną kulę. Otworzył furtkę na oścież i skoczył daleko szybkimi ruchami kota, obliczonymi na zmylenie napastników, którzy mogliby czyhać na zewnątrz z zasadzką, lecz atak nie nastąpił. Nad wzgórzami wstawał księżyc prawie w pełni, ukazując opustoszałą drogę, na której stał tylko jego wóz w miejscu, gdzie go zostawił, a jedynym odgłosem było natarczywe brzęczenie chmary nocnych owadów. Ogarnięty jakimś niewyraźnym uczuciem odwrócił się, zamknął furtkę, i poszedł do auta zataczając szeroki łuk od strony drogi, na wypadek, gdyby ktoś się zaczął tam, gdzie nie można było się spodziewać czyjejś obecności, ale nikogo nie było.

A więc nie zatrzymano go po to, żeby zyskać na czasie i zorganizować napad, jak się zdawało...

Niemniej instynkt człowieka wyjętego spod prawa, kogoś, kto nosił swe życie we własnych rękach tak często, że jego refleksy dostosowały się do takich sytuacji jak do warunków naturalnych, nie dał się uśpić tylko dlatego, że przesłanki logiczne zdawały się przeczyć konieczności posłużenia się nim w tej chwili. A jeśli ta konieczność istniała, niebezpieczeństwo było większe niż zwykle i należało znaleźć we wnioskach usterkę tłumaczącą niezgodność wniosków z intuicją.

Siadając za kierownicą szukał stacyjki. Znalazł ją i włożył kluczyk, lecz gdy znów podniósł głowę nad tablicę rozdzielczą przed włączeniem silnika, wzrok jego padł na lśniąca

powierzchnię maski, dostrzegając plamę, która nie pasowała zupełnie do wypolerowanego z taką czułością lakieru.

Światło księżyca ukazało wyraźny odcisk zatłuszczonej dłoni.

4

Simon wyjął kluczyk bardzo ostrożnie, wysiadł z powrotem na drogę i stanął przy masce, żeby obejrzeć ją z bliska. Zdawało się jednak, że tłusty ślad zniknął. Pochylił się tak, że twarzą prawie dotknął metalu, spojrzał w kierunku chłodnicy i znów w odblasku księżyca ukazała się mętna smuga.

Zjeżyły mu się włosy na karku, kiedy uświadomił sobie, jak niewiele brakowało, aby nie zrobił tego odkrycia. Gdyby wyszedł kilka minut wcześniej lub później, blask księżyca nie padłby na maskę pod takim właśnie kątem, który uwidoczniał ślad ręki. Albo gdyby nie nastroił się na najwyższy stopień czujności, wciąż jeszcze nie myślałby o tym. Teraz jednak przypomniał sobie, z jaką czułością właściciel warsztatu wycierał maskę po zademonstrowaniu mu silnika i wiedział na pewno, że tego śladu nie było, kiedy wyjeżdżał. Po drodze nigdzie się nie zatrzymywał, tak że nie było okazji, aby ktokolwiek mógł się zbliżyć do wozu nim zaparkował tutaj. A zatem ślad powstał tutaj po jego przyjeździe, w czasie gdy korzystał z gościnności donny Marii.

Z największą ostrożnością dotknął zamknięcia maski i podniósł ją. Latarka, której rzadko kiedy nie miał przy sobie, ujawniła, że kolosalnych rozmiarów silnik był na miejscu, lecz z nową częścią dodatkową, na której widok zdumiałby się signor Bugatti. Pokażny wałek z czegoś, co wyglądało jak kit, przyczepiony był do tyłu silnika i ściśle do niego przylegał. W tej substancji tkwił wąski cylinder podobny do wiecznego ołówka, od którego odprowadzono dwa druciki niknące później w ogólnej plątaniu przewodów elektrycznych.

Pewnymi ruchami chirurga Święty wyciągnął metalową rurkę, potem delikatnie odczepił

po kolei oba druciki od ich niewidzialnych podłączeń. Pozbawiona detonatora bomba plastikowa stała się nieszkodliwa jak kit, do którego była tak bardzo podobna.

— Tym razem prawie ci się udało, Al — szepnął cicho. — A jeśli by się tak stało, to tylko siebie musiałbym winić. Nie doceniłem cię. Ale to się już nie powtórzy.

Na materiale plastikowym były doskonale widoczne odciski palców pirotechnika, który będąc pewien, że go nie skompromitują, dotykał wszystkiego z całym zaufaniem co do skutków eksplozji. Uważając, żeby ich nie uszkodzić, Simon oderwał plastikowy wałek od silnika i ulokował w bezpiecznym miejscu, aby się nie przesunął w czasie jazdy.

Uruchomił korbą samochód i pojechał wolno z powrotem do Palermo, pogrążony w myślach, którym wtórował niecierpliwy silnik basowymi tonami.

Teraz łatwo było zrozumieć, co przedtem zdawało się zagadką. Za pierwszym razem donna Maria oddaliła się z tarasu po to, żeby zatelefonować do Ala Destamia na Capri i zapytać o wiarygodność rzekomej przyjaźni.

Nietrudno wyobrazić sobie reakcję Ala. Wiedział już o pierwszej nieudanej próbie zamachu i wiadomość o tym, że Święty miał czelność pojechać prosto do rezydencji Destamiów i potrafił wprosić się do wnętrza, zamiast czym prędzej wsiąść w samolot i czmychnąć gdzieś na antypody, w dziwny sposób musiała wpłynąć na wydzielenie się w nim adrenaliny. Zaproszony został na obiad z jego polecenia, żeby Destamio mógł zyskać na czasie i posłać innego oprawcę, który tym razem skuteczniej i raz na zawsze wybawi go z kłopotów.

Wywód ten dodawał jeszcze grozy wielkiemu udziałowi donny Marii. Dzięki obiadowi i swej kongenialności krokodyla wystawiła go na cel niby lizak w strzelnicy. Oto dlaczego mogła sobie pozwolić na taką przychylność i tak szybko wyrazić zgodę, aby Gina dotrzymała mu towarzystwa nazajutrz; ku swemu zadowoleniu była pewna, że Święty nie przyjdzie się

upomnieć o dotrzymanie obietnicy. Tylko jedno interesujące pytanie pozostało bez odpowiedzi — czy wiedziała, w jaki sposób zamierzano zapewnić jego nieobecność?

Simon wjechał przez hotelową bramę do garażu i wprowadził wóz na puste stanowisko.

Kiedy grzmot silnika ucichł, Święty uświadomił sobie, że jego oburzenie wzrosło.

Wystarczyło już, że ciągle godzono w niego z ukrycia, że stanowił cel jakiejś

niezrozumiałej wendety. Ale teraz potwory te gotowe zniszczyć historyczny okaz, jakim był ten samochód, przez podłożenie bomby, ujawniły bezdenne głębie swej podłości.

Imperatywem wynikającym z tej sytuacji było nie oszczędzić żadnego dodatkowego wysiłku, aby Al Destamio spędził najbardziej niespokojną noc, jaką tylko można było mu zorganizować. Nawet za cenę wysiłku podjęcia niezwyklej próby uzyskania międzymiastowego połączenia telefonicznego, mimo przeszkód, jakimi były godzina i starożytny aparat znajdujący się na miejscu.

Telefon w pokoju Simona był wyraźnie martwy i dopiero po wielokrotnym stukaniu w przycisk i kilku solidnych potrząsaniach udało się przywrócić mu pozory życia. Ciche buczenie wkrótce zostało przerwane głosem ziewającego urzędnika z recepcji, który nie krył swego oburzenia, że mu się przeszkadza.

— Chciałbym zamówić Capri — rzekł Święty.

— W nocy to niełatwa sprawa, signore. Gdyby pan zaczekał do rana?

— Będzie za późno. Chcę zamówić teraz.

— Sissignore — zasyczał urzędnik tonem obrażonej godności.

Potem nastąpiła seria trzasków podobnych do odgłosu, jaki wydaje szorstka lina ocierająca się o szybę, po czym zapanowała głucha cisza. W oddali słychać było niewyraźny szum elektronicznego wodospadu, któremu Simon zawtórował krzykiem, dopóki inny głos nie wydobył się z głębin. Nocny dyżurny w Palermo nie pałał większym niż urzędnik hotelowy

entuzjazmem do nawiązania łączności telefonicznej o tak niecywilizowanej godzinie. Zbyt późno Simon zdał sobie sprawę z rozmiarów podjętego wysiłku, ale teraz już nie zamierzał się cofnąć.

Z ponurą uprzejmością udzielał odpowiedzi na zbędne pytania o niezliczoną ilość niepotrzebnych do niczego informacji, z których nazwisko, miejsce zamieszkania osoby wzywanej oraz jego własne jak i numer paszportu były tylko początkiem. Wreszcie telefonistka zmęczyła się pierwsza i zgodziła się spróbować rzeczy niemożliwej.

Linia była wolna, mimo to łączenie następowało z pośpiechem nie większym niż przemarsz słoń Hannibala przez Alpy.

Pierwszą przeszkodą zdawała się być woda otaczająca wyspę Sycylię — Choć mogła być tylko w jego wyobraźni, Simon odnosił żywe wrażenie, że słyszy syk piany i rozbijające się fale, podczas gdy głos telefonistki torował sobie drogę po kablu zanurzonego w wodzie, ze ślepym uporem walcząc o połączenie z lądem stałym. Wrażenie zostało potwierdzone, kiedy telefonistka ze stałego lądu odezwała się w końcu i wodne odgłosy ucichły ustępując miejsca szmerowi jałowych szeptów.

Przez kilka minut telefonistka z Palermo i ta ze stałego lądu, stanowiąca nowe ogniwo w łańcuchu, wymieniały urzędowe formalności pomieszane z pustą gadaniną i w końcu niechętnie poruszyły temat zamówionej przez Simona rozmowy. Doszły do wspólnego przekonania, że chociaż to bezcelowe, warto przynajmniej dla rozrywki spróbować, czy da się uzyskać dalsze połączenie. Obie telefonistki ogarnął pusty śmiech na myśl o tym, niemniej połączyły przewody, gdyż dał się słyszeć okropny dudniący łoskot.

Simon zapalił jedynego papierosa, jaki mu pozostał, zgniótł puste opakowanie i usadowił się tak wygodnie, jak to było możliwe. Brzęczenie w słuchawce zaczęło stawać się dokuczliwe, przyłożył więc ją do drugiego ucha.

Wystąpiły dalsze złowieszcze trzaski o zmiennej barwie i nasileniu i po długiej chwili

znów przebił się głos telefonistki.

— Przykro mi, ale nie udało się uzyskać połączenia z Neapolem. Czy chciałby pan skreślić rozmowę?

— Nie chciałbym skreślić rozmowy. — Simon był nieugięty. — Nie widzę przyczyny, dla której nie mogłaby pani połączyć się z Neapolem. Byłem tam dziś rano i miasto przecież musi teraz też tam być, chyba że Wezuwiusz znów wybuchł.

— Nic o tym nie wiem. Ale wszystkie linie do Neapolu są zajęte.

— Niech pani jeszcze spróbuje — zachęcał Simon. — Może właśnie w tej chwili ktoś skończył rozmawiać albo się nie dodzwonił. Niech pani nie ustaje.

Telefonistka wymruczała coś, czego nie dało się zrozumieć, a Simon uznał, że prawdopodobnie lepiej było tego nie dosłyszeć, po czym tło trzasków i nieludzkich jęków znów powróciło. Lecz po następnym nieskończeniu długim okresie czekania wytrwałość została nagrodzona nowym głosem, który oznajmił: „Napoli”. Łączenie się z Capri nie przebiegło gorzej niż poprzednie fazy i poprzez głośniejszy hałas na linii, z emocją usprawiedliwioną osiągniętym sukcesem, Simon w końcu usłyszał sygnał telefonu Destamia.

— Signore jest zajęty — odpowiedziano mu. — Nie można mu przeszkadzać. Musi pan zadzwonić rano. Po tym wszystkim, co udało mu się zdziałać, Święty nie miał zamiaru zrezygnować.

— Nie obchodzi mnie, jak dalece jest zajęty — powiedział chłodno. — Proszę mu powiedzieć, że telefon jest z Sycylii i że mam wiadomości, które będzie chciał usłyszeć.

Nastąpił gwałtowny trzask, jak gdyby cały aparat uderzył o marmurową płytę. Przez chwilę Simon myślał, że służący doraźnie rozwiązał problem odwieszając słuchawkę, ale nie zrobił tego i wkrótce inny głos odezwał się chrapliwym tonem, którego nawet zniekształcenie

przez telefon nie zdołało całkowicie zagłuszyć.

— *Parla, ascolto.*

— Alessandro, drogi, stary przyjacielu, wiedziałem, że mój telefon cię ucieszy nawet o tej porze.

— Kto mówi?

— Simon Templar, Al, ty tłusta bryła rozgotowanego makaronu. Po prostu dzwonię, żeby ci powiedzieć, że twoi operetkowi mordercy znów sfuszerowali i że nie chcę; żeby jeszcze próbowali to robić. Chcę, żebyś ich odwołał, przyjacielu.

— Nie wiem, o czym mówisz, Święty — w szorstkim głosie zadźwięczała intensywniejsza nuta wzburzenia, kiedy ustąpił tożsamość rozmówcy. — Może ty dziś wieczorem za dużo wina wypiełeś? Skąd dzwonisz?

— Z mego hotelu w Palermo, który z łatwością znajdziesz, jestem tego pewien. Ale nie nasyłaj więcej twoich fagasów na mnie. Już mnie to nudzi. Fajerwerk, który wsadzili do mego auta, gdy donna Maria tak gościnnie mnie przyjmowała, nie zapalił się. Za to w czasie mojej wizyty dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy, które połączę z tym, co wiedziałem już przedtem. I chciałem ci powiedzieć, że wszystkie te informacje spisałem na papierze i złożyłem tam, skąd dostaną się w ręce o wiele mniej przychylnie niż ujarzmiony przez ciebie maresciallo, jeśli tylko mi się coś stanie. A więc, Al, powiedz swoim hultajom, żeby się odczepili.

— Nie rozumiem! Czyś ty oszalał? — Destamio wrzeszczał niemal histerycznie.. — Czego ty chcesz ode mnie?

— Dowiesz się — odparł Święty usłużnie. — I mam nadzieję, że twój rachunek bankowy to wytrzyma. Tymczasem przyjemnych snów...

Położył delikatnie słuchawkę na widełkach, po czym wrzucił cały aparat do kosza ze

śmieciami, gdzie brzęczał i terkotał wściekle, aż w końcu umilkł.

I jakby w odpowiedzi rozległo się lekkie pukanie do drzwi.

Otwierając je Święty zastosował wszelkie środki ostrożności. Ciągle jeszcze było możliwe, — że któryś z ludzi Destamia, działając w myśl ogólnych instrukcji, mógł na niego czyhać — z pewnością musiało to potrwać, nim zostaną wydane odmiennie polecenia, nawet jeśli mafia przeniknęła również i do telefonów. Dopóki nie upłynął czas potrzebny, aby się rozeszły, Simon miał się na baczności.

Wszedł Marco Ponti i z lekkim zdumieniem spojrzał na rewolwer wycelowany w jego brzuch. Potem spokojnie kopnął drzwi, które zamknęły się za nim.

— Trochę to niegościnnie — zauważył. — I nielegalnie, o ile nie ma pan włoskiego pozwolenia na broń.

— Miałem zamiar pana o to prosić przy następnym spotkaniu — powiedział Święty z niewinną miną chowając rewolwer, aby znikł z oczu i z pamięci — ale nie oczekiwałem pańskich odwiedzin o takiej godzinie, amico.

— Nie przychodzę w celach towarzyskich. Chciałem wiedzieć, jak wypadła pańska wizyta. I dowiedziałem się czegoś, co może być cenną informacją dla pana.

— Chciałbym zapalić jednego z pańskich papierosów, kiedy pan będzie mówił. Może to mieć pewien związek z tym, co panu powiem.

— Niezbyt na to liczę — rzekł Ponti rzucając na stół paczkę nazionali. — Pan mi podał nazwisko, a ja, jako dobry policjant, sprawdziłem rejestry. Chociaż może pan mnie wyśmiej, i ja sam czasem śmieję się ze stosów rejestrów, jakie przechowujemy, zdarza się, że znajdujemy grudkę złota w tym żużlu. Szukałem nazwiska, które pan wspomniał, zamordowanego urzędnika bankowego, Dino Cartelli. Nie znalazłem żadnych danych o nim prócz faktów dotyczących jego śmierci. Znalazłem natomiast w kartotece innego Cartelli,

jego starszego brata, Ernesto, którego zamordowali faszyci.

Simon zmarszczył brwi.

— Tutaj ja się gubię. Dlaczego to ma być cenna wiadomość?

— We wczesnych początkach swojej władzy duce zorganizował kampanię zmierzającą do zlikwidowania mafii, może na zasadzie teorii, że w kraju jest miejsce tylko dla jednej organizacji przestępców i chciał, żeby to była jego organizacja. Tak więc na razie wykończył niektóre drobne płotki a innych powiesił w klatkach na pośmiewisko. Później oczywiście mafia złączyła z nim swoje siły, pociągnął swój do swego, ale to już inna historia. W każdym razie w jednej z tych wczesnych akcji Ernesto Cartelli zmierzył się z czarnymi koszulami, a oni jak się okazało, strzelali lepiej.

— Czy pan przez to chce powiedzieć — Simon powoli rozwijał swoją myśl — że jeśli Ernesto był w mafii, to jego brat Dino też mógł być?

— To prawie pewne — chociaż oczywiście nie można tego udowodnić. Ale mafia jest zamkniętą społecznością, do której bardzo trudno się dostać, i kiedy ktoś jest jej członkiem, zwykle to oznacza, że jego bliscy krewni, mężczyźni, również do niej należą.

Oczy Świątego zwężiły się, kiedy pogrążony w myślach, z roztargnieniem i głęboko zaciągał się mocnym włoskim papierosem — i wkrótce pożałował swojej gadatliwości.

— A więc mafia wraca na scenę — rzekł. — Al Destamio jest w niej, teraz wydaje się, że Dino Cartelli prawdopodobnie był w niej — czy obaj są, czy nie, tą samą osobą; i mają mnie na początku listy ludzi, których należy się pozbyć. Wiedziałem, że pana zainteresuje fakt, że dziś wieczorem znów próbowali mnie sprzątnąć.

— Nie w domu Destamia?

— Przed samym domem. Gdyby to się udało, wyleciałoby im nawet parę szyb.

Simon opowiedział o swojej makabrycznej przygodzie i szczęśliwym odkryciu, które jej

nie zakończyło.

— A na plastiku zostały wyraźne odciski palców, dotychczas jeszcze nie tknięte — dodał na zakończenie.

— To wspaniała wiadomość. — Ponti był zachwycony. — Mafia zwykle potrafi wykręcić się ze wszystkiego dostarczając zastępcy fałszywych świadków, ale z odciskami palców rzecz się ma inaczej. To nam przynajmniej powie, kto podłożył bombę i stąd trafimy być może do kogoś innego.

— Byłem pewien, że pan się ucieszy tym, że udało mi się wymknąć śmierci — powiedział Simon z ironią.

— Mój drogi przyjacielu, cieszę się nad wyraz. Życzę panu wielu takich opresji, z których wyjdzie pan cało i za każdym razem z dowodem rzeczowym. Oczywiście zabrał pan to z sobą?

Simon krzywo się uśmiechnął i podrzucił kluczyki od samochodu.

— Znajdzie pan wszystko w bagażniku. Proszę zostawić kluczyki pod przednim siedzeniem, to dość bezpieczne miejsce. Myślę, że Alessandro nie zmarnuje czasu, żeby obmyślić następne posunięcie.

— Mam nadzieję, że to nie potrwa długo — powiedział detektyw — ale kiedy tylko pan znów zechce skontaktować się ze mną, proszę, oto mój numer telefonu. — Napisał numer na stronicy swego notesu, wyrwał ją i podał Simonowi. — To nie jest kwestura, ale miejsce, gdzie może pan z zaufaniem powierzyć każde polecenie i gdzie zawsze znajdą mnie bardzo szybko. Dobranoc i powodzenia.

— Wzajemnie — odrzekł Simon.

Zamknął drzwi i znów zasunął zasuwkę, tylko dla zasady, potem położył się i zasnął spokojnie jak dziecko.

Był to udany dzień i pełen wrażeń, a jutrzejszy zapowiadał się jeszcze bardziej atrakcyjnie.

W radosnym przekonaniu utrzymywało go to, że świat jest pięknym miejscem, w którym można mieć wiele przyjemności.

ROZDZIAŁ 4

Jak Święty poszedł na cmentarz

i don Pasquale wystąpił z propozycją

1

Punktualnie o dziesiątej Simon oznajmił swoje przybycie przed mury posiadłości Destamiów donośnym odgłosem klaksonu, którego echo rozniosło się po sąsiednich wzgórzach. Odpowiedziało mu tu i ówdzie szczekanie psów i stado gołębi załopotało nad głową, nim zapowiedział swą wizytę w sposób bardziej konwencjonalny, przez naciśnięcie dzwonka przy wejściu.

Nie przypuszczał, aby istniało poważne niebezpieczeństwo, że Destamio poświęci swój rodowy portal umieszczając w jego samochodzie jeszcze jeden ładunek wybuchowy, lecz pojęcia nie miał, co go czekało dalej. Czy jakiś pluton eliminacyjny o charakterze bardziej osobistym będzie go oczekiwał, aby powitanie stało się ostatnim powitaniem, czy też Destamio odrzucił myśl, że Święty będzie miał tupet wrócić i upomnieć się o swoje spotkanie z Giną? Czy donna Maria będzie telefonować jak oszalała, żeby zapytać, co ma teraz robić, podczas gdy Ginę pośpiesznie zamkną w jakimś miejscu, które mogłoby być wersją średniowiecznego więzienia w tej rezydencji? Albo czy też dom w nieodgadniony sposób pozostanie głuchy i ślepy na jego przybycie, traktując go jak niepożądanego domokrażcę, dopóki nie zrezygnuje i nie odejdzie? Był tylko jeden sposób, żeby się przekonać: pójść tam, zadzwonić i zobaczyć, co się stanie.

Furtka w bramie otworzyła się i w słonecznym blasku wyszła Gina wdzięcznym,

tanecznym krokiem, a Simon, z twarzą rozjaśnioną uśmiechem, trzymał otwarte dla niej drzwiczki od samochodu.

Cokolwiek miało zdarzyć się dalej, przygoda nie utknęła w martwym punkcie.

— To jest o wiele więcej, niż naprawdę się spodziewałem — powiedział, gdy zajęła miejsce na skórzanym siedzeniu i wielki samochód ruszył z impetem pioruna.

— Dlaczego? — spytała.

— Bałem się, że donna Maria zmieni zdanie i nie puści pani ze mną albo zmusi panią do rezygnacji.

— Dlaczego miałyby to zrobić? Nie ma nic złego w tym, żebym się widywała z panem, prawda?

Mówiła to z uśmiechem, i lekki akcent powściągliwości w jej głosie dał mu do zrozumienia bardzo wyraźnie nie tylko, że ona odgrywa tu pewną rolę, lecz że nie jest nią zachwycona. Fałsz był tak dostrzegalny jak jej wczorajsza szczerłość. W tej chwili jednak Simon nie był skłonny wyjawic, że jej wysiłek już poszedł na marne.

— Czyż to byłoby możliwe — odpowiedział łagodnie — jeśli żadne z nas nie ma nic złego na myśli?

Powstrzymał się od podkreślenia tej rozmyślnej dwuznaczności i patrzył na nią, żeby zaobserwować wrażenie, jakie to na niej robi, ale jej milczenie powiedziało mu, że musi się nad tym zastanowić. Przyjemność oczekiwania na jej następne posunięcie tym radośniejszą czyniła nadzieję zapowiadającego się jak najatrakcyjniej dnia.

— Sycylia, piękna Sycylia! — deklamował, zanim przerwa w rozmowie mogła stać się krępująca. Wyciągnął ręce, jakby chcąc objąć zatopiony w słońcu przepych sadów i wzgórz.

— Tu się krzyżowały śródziemnomorskie szlaki, Grecy walczyli z Fenicjanami, a Rzymianie z Grekami, tutaj światło chrześcijaństwa przyćmiła groźba Wandalów, Gotów, Bizancjum i

Arabów... Widzi pani, wykułem już to z broszur...

— Czy pan naprawdę nazywa się Simon Templar? — spytała nagle.

— Tak. Proszę pozwolić mi odgadnąć, dlaczego pani o to pyta. Zafascynowana historią nie może pani oderwać myśli od templariuszy, nieobcych w tych stronach rycerzy o wątpliwej wzniosłości celów. Zastanawia się i pani, czy nie pochodzę w prostej linii od jednego z nich. I Myślę, że to zależy od punktu, w którym pani przeciągnie linię. Nigdy nie badałem dokładnie wszystkich gniazd na drzewie genealogicznym mojej rodziny, ale...

— Czy pan jest Święty?

Simon westchnął.

— A więc odkryła pani tajemnicę, która mnie obciąża. Miałem nadzieję, że ukryję ją, pozwalając pani myśleć, że jestem zwykłym handlowcem, komiwojażerem, który jeździ z kraju do kraju i sprzedaje długopisy. Nie śniło mi się, że ta moja nie najlepsza reputacja przeniknie mury pani alpejskiego klasztoru.

— Nie byłam tak dalece odcięta od świata — odrzekła z pewną goryczą — zawsze czytałam gazety, ale po prostu początkowo nie skojarzyłam sobie pana z tym, co o panu pisano. Co pan tu robi?

— Zwiedzam. Czy nie rozmawialiśmy o tym wczoraj? Ludzie, jak się wydaje, nigdy mi nie wierzą, ale mogę z ręką na sercu powiedzieć, że przyjechałem do Włoch tylko po to, żeby popatrzeć tu i tam, wypić i zjeść, jak każdy inny turysta.

— Ale kiedy pan jest w swoim kraju, to naprawdę nie jeździ pan i nie sprzedaje długopisów?

Niewiele kobiet może poszczycić się tym, że potrafiły powstrzymać Świętego od stosownej repliki, a Gina mogła być pierwszą, która zrobiła to niechęć. Jej pytanie było jednak zadane całkiem poważnie, jak się upewnił szybkim spojrzeniem z ukosa. Jej klasztorne

lektury były nieco mniej katolickie niż sądził, a luki nie były uzupełnione najświeższymi wiadomościami.

— Nie — odpowiedział niepewnie. — Prawdę mówiąc, nie pracuję nigdzie tak na serio, bo nie lubię zabierać pracy komuś, kto może jej potrzebować.

Teraz z kolei ona zastanowiła się nad odpowiedzią, po czym zapytała:

— Dokąd pan jedzie? Przypuszczałam, że pan mi zaproponuje, żebym panu pokazała zabytki warte zwiedzenia, ale zdaje się, że pan zna drogę.

— Przy śniadaniu studiowałem mapę i przewodnik — powiedział — myślałem, że to się na coś przyda, jeżeli jagnię samo trafi do pierwszego ofiarnego ołtarza.

— Nie wiem, czy takie są w okolicach Palermo — powiedziała z powagą — ocalało bardzo niewiele świątyń pogańskich, a już na pewno nie ołtarze.

— Cóż, zamiast tego zrobimy sobie krótki Spacer — rzekł z rezygnacją Święty.

Wjechał na bezpłatny parking, gdzie zdarto z niego zwyczajowy okup za dopilnowanie, aby nikt nie uprowadził jego auta albo nie pozbawił go którejś z części dających się odłączyć.

— San Giovanni degli Eremiti! — zawołała Gina klaszcząc w ręce z entuzjazmem. — To chyba najbardziej romantyczny stary kościół tutaj. Sięga czasów Normanów. Jaki pan jest dobrze zorientowany, że trafił pan.

— To naturalny wzajemny pociąg jednego zabytku do drugiego — rzekł Święty podnosząc spojrzenie ku starym murom, których kruszące się szramy dawały świadectwo niezliczonym bitwom toczonym wokół nich. — Chyba musimy to dokładnie obejrzeć!

Pozwolił się prowadzić przez ginący przepych kolumn i portyków, co nieomylnie było pozostałością meczetu, wokół którego” oszczędni krzyżowcy wybudowali ich własne miejsce kultu. Kiedy na koniec dotarli do uroczego ogródka klasztornego, opadł na ławkę w cienie altanie i pociągnął Ginę, żeby usiadła przy nim.

— To była cudowna wycieczka i nigdy nie wyrażę dostatecznie mojej wdzięczności za to, że pani mi pokazała starożytne zabytki Palermo.

— Ale my dopiero zaczęliśmy — zaprotestowała. — Jest o wiele więcej kościołów, katedra, muzeum...

— Tego właśnie się obawiałem. Wbrew memu imieniu — nazwisku zawsze wolałem pozostawić kościoły i katedry bardziej zasłużonym świętym. Ale powiedzieliśmy drogiej starej cioci, że będziemy zwiedzać, i nawet teraz pani może jej spojrzeć w oczy i uroczyście zgodnie z prawdą przysiąc, że to zrobiliśmy. Tak że dotrzymawszy słowa co do joty, możemy zwrócić się ku temu, co ma większy związek z rzeczywistością tego klimatu niż włóczenie się po ruinach, gdzie nie ma czym oddychać. Uczciwie mówiąc, gdyby nie ja, czy wybrałaby się pani dziś na zwiedzanie?

— Nie, ale...

— Żadne „ale”, „nie” całkiem wystarczy. To znaczy, że ja narzucam pani coś, czego pani nigdy by sobie nie wybrała i nie ścierpię, że miałbym być częścią tej przykrości. A teraz, czy nie wolałaby pani raczej popływać?

— No, może tak. Ale nie pomyślałam, żeby zabrać ze sobą jakiś strój plażowy...

— I nie może pani wrócić po to do domu, żeby nie narazić się ciotuni. Drobiazg. Każda kobieta, która tak fantastycznie wygląda w bikini jak pani, powinna mieć co dzień nowe. — Simon wstał. — Chodźmy i proszę się przygotować na szaleństwo zakupów garderobianych, ulubione zajęcie pań.

Jeszcze inne argumenty byłyby tylko stratą czasu, tak więc bugatti został uruchomiony i w kilka chwil później znów pędził po szosie. W pobliskim kąpielisku Romagnolo znaleźli sklepik przy plaży posiadający w sprzedaży minimum niezbędnych kostiumów kąpielowych w przeciągu czasu krótszym, zdawałoby się, niż ten, w jakim zanika obraz w filmie, Święty

stał na plaży w kąpielówkach, przyglądając się Ginie, jak wychodziła ze swej kabiny w czymś, co było najbliższym upodobnieniem do prostego kostiumu Ewy, na jaki pozwalały panujące obyczaje.

— Nie widziałam, żeby pan coś kupował — zauważyła zaskoczona.

— Nie musiałem — odpowiedział nie spieszony. — Miałem to w samochodzie, po prostu na wszelki wypadek, gdybyśmy przypadkowo zdecydowali się na zmianę programu. A teraz chodźmy do wody ochłodzić się, nim pani nie przyprawi połowy plażowiczów tego lido o atak serca.

Pływali i spryskiwali z siebie kurz i lepkość upalnego poranka, dopóki nie poczuli się odświeżeni i pokrzepieni porcją chłodu, żeby znów pławić się w słońcu, przez chwilę, jak się zdawało, radośnie witany. Kiedy wyszli na brzeg, biało ubrany kelner skłonił im się, podając kartę menu.

— *Ecco la lista delle vivende, signore* — powiedział. — Jestem pewien, że państwo już zdecydowali się na posiłek w najlepszej restauracji na plaży.

Simon zdążył zauważyć kilka restauracji atrakcyjnie zacienionych i zrozumiał, że te, których kierownictwo było bardziej przedsiębiorcze, nie zamierzały pozostawić przypadkowi wyborowi ewentualnych klientów. Trzeba było być zatwardziałym sknerą, żeby oprzeć się takiej inicjatywie.

— Co polecacie? — spytał.

— Wszystko jest dobre, ale langusta najlepsza. Proszę zaczekać, pokażę panu.

Kelner oddalił się pośpiesznie, by wrócić po kilku minutach z drucianym koszem, w którym kilka żywych *aragoste* walczyło i słabło, na próżno się buntując przeciwko swemu losowi.

— Myślę, że mogłyby się znudzić, gdyby się tu dość długo mieszkało — rzekł Simon —

ale jeszcze jestem daleki od tego. A pani, Gino?

— W kuchni, jaką prowadzi donna Maria, nie ma ekstrawagancji — powiedziała — tak że to dla mnie wielka pokusa.

— Zatem wykorzystamy okazję. — I Simon zaczął układać menu.

Kelner przyjął zamówienie i odszedł, obiecując posłać po nich, kiedy wszystko będzie gotowe; rozesłali wynajęte ręczniki na piasku i położyli się na nich w błogim rozleniwieniu.

— W takich chwilach — rzekł Święty — często zastanawiam się, kim był ten bałwan, który pierwszy głosił, że praca jest czymś wzniosłym, co daje zadowolenie. Albo to naprawdę był genialny facet, który wymyślił sposób zachęcania naiwniaków, żeby wykonywali niewdzięczne prace i polubili je?

— Ale pan musi mieć jakieś zajęcie? — spytała po chwili.

— Zdarza się to tak rzadko, jak to możliwe.

— Mówił nam pan o prowadzeniu wspólnych interesów ze stryjem Alessandro.

— Czy wyglądam na takiego, co może mieć z nim wspólne interesy?

— Nie — powiedziała u naciskiem i od razu otworzyła usta z przerażenia. — Mam na myśli...

Skrzywił się.

— Miała pani na myśli dokładnie to, co pani powiedziała. Nigdy naprawdę nie przekonałem pani, że jestem częścią zwykłego świata handlowców, ponieważ pani więcej zapamiętała z tego, co pani czytała czy słyszała o pewnych moich przygodach, które w ramach pani edukacji należałoby uznać za niezbyt prawomyślne. Pomimo to widocznie pani wie, że prywatne łajdactwa stryja Ala są znacznie gorsze niż cokolwiek, w co może być wmieszany stosunkowo tak szacowny awanturnik jak ja.

— Wcale tego nie powiedziałam — wybuchnęła — wiem, co wszyscy mówią, że zrobił

pieniądze na przemyśle alkoholu, na jakichś machlojkach czy na czymś innym, co tam macie w Stanach, i wiem, że miał kłopoty z policją z powodu podatków czy czegoś takiego. O tym wszystkim pisała prasa, kiedy byłam w szkole, i inne dziewczęta dokuczały mi śmiertelnie, bo mam to samo nazwisko. Nie miałam odwagi przyznać się, że to mój krewny. Potem opowiadał mi, że wszyscy najprzystojniejsi ludzie utrzymywali z nim stosunki, tylko Amerykanie są tacy hipokryci i po prostu natknął się na niewłaściwych polityków. Zawsze był dla nas taki dobry...

— Tak, i kiedy rozmawiał z panią przez telefon wczoraj późnym wieczorem albo dziś wcześnie rano i powiedział, że zamierzam wyrządzić mu jakąś krzywdę i poprosił, żeby pani wykorzystwała swoje spotkanie jako próbę wydobycia ze mnie, co się tylko da o mnie i o moich zamiarach, pani uznała za swój obowiązek przyjąć to polecenie.

Przez chwilę oczy jej rozbłyły instynktowną groźbą, że jeszcze raz zaprzeczy z większym oburzeniem; ale płomień został zgaszony zdradziecką wilgocią, której wzbierania nie mogła powstrzymać. Wargi jej zadrżały i nagle ukryła twarz w dłoniach.

Simon ze współczuciem poklepał ją po ramieniu,

— Niech pani się tak nie przejmuje — rzekł — po prostu nie ma pani tyle doświadczenia w panowaniu nad sobą, co Mata Hari.

— Pan jest potworem — łkała.

— Nie, nie jestem. Jestem miłym, przyjaźnie usposobionym facetem, który pięknej dziewczynie nie lubi niczego odmawiać. Na dowód tego jakoś odpowiem na wszystkie pani pytania.

Miękki atłas pod jego ręką zadrżał jeszcze jednym niemym wstrząsem, rozpraszając uwagę i działając podniecająco, lecz Simon, który zmierzał tylko do jednego celu', mówił dalej:

— Nie, nie jestem policjantem. Nie, nie pracuję dla FBI ani żadnej agencji, żadnego rządu.

Tak, w stosunku do pani stryja Alessandra mam najgorsze intencje. Myślę, że to bardzo zły człowiek i że ma na sumieniu wiele morderstw, nie licząc drobniejszych przestępstw, lecz jest jedna zbrodnia, co do której jestem pewien, że on ponosi za nią odpowiedzialność, i mam zamiar dopilnować, żeby zapłacił za nią w taki czy inny sposób. O ile nie uda mu się zamordować mnie najpierw, co próbował już zrobić szereg razy.

Usiadła gwałtownie i Simonowi przyszło na myśl, że tylko ktoś bardzo młody może uroczo wyglądać z zaczerwienionymi oczami i policzkami we łzach.

— Dosyć — powiedziała — lepiej niech mnie pan teraz odwiezie do domu.

— Nie przed posiłkiem. Mogłaby pani żyć ze świadomością, że skazała pani jedną z tych langust na próżno na śmierć?

— Spodziewam się, że pan zje obie.

— Z jakiej racji miałbym się narażać na niestrawność? Dlatego, że pani nie chce wysłuchać prawdy?

— Nie mogę pana wysłuchać. To byłoby niełojalnie. Mówi pan o mojej rodzinie, nazywając stryja Alessandra mordercą. Chcę wrócić do domu.

— Czy nie uważa pani, że byłoby lepiej — powiedział Święty rozmyślnie — gdyby Al Destamio nie był wcale pani stryjem?

Strzał był celniejszy niż się spodziewał. Gwałtowna reakcja Giny przebiegła całą gamę zwykłych objawów wstrząsu, od wytrzeszczonych oczu i opadniętej dolnej szczęki do kataleptycznego zeszywnienia, na które nie były w stanie podziałać żadne bodźce. Po tak widocznej reakcji nie mogło już być powrotu do udawania czy wyniosłości.

— A więc pan wie — szepnęła w końcu.

— Nie mogę posunąć się aż tak daleko — rzekł szczerze. — Podejrzewam. Jeszcze nie mogę tego udowodnić. Ale myślę, że to zrobię. Potrzebuję pomocy. I uważam, że pani może

mi ją dać. Teraz to tak, jakby mi pani powiedziała, że pani podejrzewała to samo, prawda?

Nie spuszczał z niej spojrzenia swych niby magiczne kryształy niebieskich oczu, wyzywających ją do próby oszukania ich. Ale tym razem nie uczyniła żadnego wysiłku, żeby przeciwstawić się ich mocy.

— Tak — przyznała. — Od dawna. Ale bałam się w to uwierzyć, ponieważ zdawałam sobie sprawę, jak bardzo pragnęłam, żeby to była prawda. I to wydawało mi się jakieś okropne...

— Ale gdyby się okazało, że mieliśmy rację — ciągnął, a subtelne ujednoczenie ich interesów w połączonym „my” było tak gładkie, że prawdopodobnie nawet tego nie zauważyła — dla pani byłoby to początkiem nowego życia.

— Tak.

— No to w czym tkwi problem? Al prosi panią, żeby pani się wmieszała w coś, co jak pani się obawia, jest paskudną sprawą. Ma pani podejrzenia, którymi nie może podzielić się z policją, gdyż boi się pani własnej pomyłki i tego, co to mogłoby oznaczać dla pani nazwiska. Nie jestem z policji, ale mam bzika na punkcie sprawiedliwości. Uważam, że jestem dla pani wyraźną odpowiedzią zesłaną wprost z nieba.

— Uważam, że pan jest cudowny — powiedziała i pochyliwszy się, gorąco ucałowała go.

Simon odniósł silne wrażenie, że jej pobyt w klasztorze nie zahamował w sposób nieodwracalny jej śródziemnomorskich instynktów.

— *La pasta e pronta* — oznajmił zbyt usłużny kelner z idealną punktualnością.

2

Sala jadalna była niczym więcej jak werandą zacienioną matami z trzciny, wychodzącą na plażę i morze, a kuchnia i cała część gospodarcza mieściła się w stiukowym budynku z tyłu.

Piwnicę zastępowała oszklona, ogromnych rozmiarów lodówka, z której wynoszono wino o

temperaturze górskiego potoku, w jakiej powinno się je pić w tym klimacie, zwłaszcza jeśli chodzi o krzepki gatunek sycylijski. Sam obiad, którego przyrządzenie wymagało szlachetnego trudu, aby jakość dań nie odbiegała od zapowiadanej, usprawiedliwiało przerwanie niemal wszystkiego prócz tego, co zostało przerwane za pośrednictwem kelnera. Ale za to Święty miał okazję wysłuchać do końca spowiedzi Giny w nastroju nieco mniej burzliwym.

— To jest uczucie... które narastało przez lata. Początkowo wydawało się tak nieprawdopodobne, że próbowałam śmiać się z niego. Ale drobne rzeczy złożyły się na wielką, od której nie mogłam odepchnąć myśli. Teraz, gdy to rozpamiętuję, wszystko musiało zacząć się wtedy, kiedy stryj Alessandro był taki chory w Rzymie. Mówiłam panu, że tę część mego życia pamiętam słabo, bo byłam jeszcze bardzo mała. Wiem, że miał raka, i myślałam, że oni powiedzieli, że to nieuleczalne, ale teraz donna Maria mówi, że się pomyliłam, to wcale nie był rak i stryj wyzdrowiał. Czy to możliwe?

— Nie jest niemożliwe. Lekarze pomylili się. Poza tym coś było, co pani może nazwać leczeniem — operacja, naświetlanie albo nawet to, co nazywają samoistną recesją, przez co należy rozumieć, że lekarze nie wiedzą, dlaczego wyzdrowiał, ale wyzdrowiał.

— Nie zdarza się to chyba zbyt często?

— Niezbyt często, kiedy już przypadek uzna się za nieuleczalny, a pacjent wyglądał tak zdrowo jak Al kilka dni temu.

— Zaintrygowało mnie też, że w rodzinnych albumach nie ma żadnych fotografii stryja Alessandra z jego młodych lat. Kiedy zapytałam donny Marii, powiedziała, że w młodości był bardzo przesądny co do fotografowania się i nigdy nie pozwoliłby zrobić sobie zdjęć.

— Może ktoś go ostrzegł, że kiedy go sfotografują, to z numerem poniżej — zauważył Simon.

— A potem dziewczyna, z którą zwykle zabierano mnie na spacer, ponieważ jej matka przyjaźniła się od dawna z donną Marią, i która zawsze wynajduje najgorsze rzeczy o wszystkich, no i zwykle trzeba jej przyznawać rację, powiedziała kiedyś, że kuracja stryja Alessandra polegała bardziej na leczeniu umysłu niż ciała, skoro tak dobrze poszły jego interesy w Ameryce, a tutaj we Włoszech w ogóle nic nie działał, tylko zmarnował większość rodzinnego majątku.

— Doprawdy?

— Och, tak. Nawet Lo Zio, kiedy jeszcze nie miał trudności z mową, opowiedział mi, jaki stryj był głupi i jak jego różne zwariowane pomysły doprowadziły do utraty pieniędzy. A ja nie mogłam uwierzyć, że stał się innym człowiekiem.

Simon pokiwał głową.

— O ile nie jest innym człowiekiem.

— Ale jak to możliwe? Chyba że Lo Zio...

— Którego umysł, powiedzmy sobie, nie jest tak bystry ostatnio.

— I donna Maria ...

— Tak, ona musiała w tym maczać palce. — Święty bez uczucia litości wytrzymał jej spojrzenie. — Proszę nie próbować mi wmówić, że pani nie może sobie wyobrazić, aby taka miła, kochana, starsza dama mogła być wmieszana w coś nieuczciwego.

Nie uczyniła żadnego wysiłku, żeby odeprzeć wyzwanie. Zdawało się, że w jakiś sposób nagle wydorosłała. Spytała tylko:

— Dlaczego?

— Skoro już wiemy o tym — rzekł — będziemy mieli mnóstwo odpowiedzi.

— Pan chce, żebym miała do pana zaufanie — odezwała się po chwili — ale wciąż jeszcze nie opowiedział mi pan wiele o sobie, tylko to, czym pan nie jest. Jeżeli pan nie jest

detektywem, to jak do tego doszło, że zainteresował się pan stryjem Alessandro?

Zawahał się przez chwilę, bardziej po to, żeby uporządkować swoje wspomnienia, niż po to, żeby zdecydować, czy się podzielić nimi z nią, czy nie. W końcu, nawet jeśli była Dalilą, tak niezwykle nie wzbudzającą podejrzeń, zdolną do kręctw i podwójnej gry znacznie bardziej niż można by jej to przypisać, i jej cały ostatni występ był tylko jeszcze jedną sztuczką dla pozyskania jego zaufania, bardzo niewiele miałby jej do powiedzenia z tego, co byłoby nowością dla Ala Destamia czy mogłoby pomóc mafii w zniweczeniu jego poszukiwań.

Opowiedział jej więc całą historię, od przypadkowego spotkania z nieżyjącym Jamesem Eustonem do plastikowej bomby, którą rozbroił poprzedniej nocy, nie wspominając tylko o swej prywatnej rozmowie z Marco Pontim przy obiedzie i o tym, że bomba z odciskami palców znajduje się w posiadaniu detektywa, bo nawet gdyby ona szczerze była po jego stronie, te szczegóły mogłyby bez szkody dla niego zostać wyłudzone lub wymuszone. Pod koniec słuchała znów z rozszerzonymi oczyma i otwartymi ustami.

— Ledwo mogę w to uwierzyć... Bomba i właśnie przed naszym domem, kiedy jedliśmy obiad?

— Bardzo rozsądna pora na takie rzeczy. Trudno podkładać bombę niepostrzeżenie w aucie, kiedy ktoś w nim siedzi i jedzie z szybkością sześćdziesięciu mil na godzinę.

Cała rozmowa nie miała tej ciągłości, jaka wynika z tekstu, gdyż rozłożona była na kilka dań, z przerwami koniecznymi dla próbowania, popijania, żucia, wchłaniania i zastanawiania się, jak również zakłócana przez kelnera, który usługiwał, zmieniał talerze i dopraszał się uznania.

Później, po jeszcze jednej z tych przerw dzielonych między ocenę gastronomii i odrębne drogi własnych myśli, Gina powiedziała:

— Zastanawiałam się kiedyś nad sposobem wyjaśnienia, czy stryj Alessandro i mój stryj to rzeczywiście ten sam człowiek, ale tak naprawdę to nigdy nie było mnie na to stać.

— Jeżeli tylko o to chodzi, nie ma problemu. Ludzie zawsze się skarżyli, że mam mocne nerwy. Niech mi wolno będzie nadwyżkę odstąpić pani. Co trzeba zrobić?

— To rzeczywiście jest proste. Jeżeli mój stryj nie żyje, a ten człowiek jest oszustem, to prawdziwy stryj jest pochowany w grobowcu rodzinnym. Po prostu trzeba grobowiec otworzyć i zajrzeć.

Święty zmarszczył brwi.

— Czy to automatycznie wynika jedno z drugiego? Czy nie byłoby bardziej prawdopodobne, że oni go pochowali gdzie indziej, pod innym nazwiskiem?

— Och, nie! Nie mogę uwierzyć, żeby się posunęli aż tak daleko. Pan nie wie, do jakiego stopnia na Sycylii przestrzega się tradycji we wszystkim, a szczególnie w rodzinie tak starej jak moja. Nawet jeżeli donna Maria i Lo Zio pozwolili temu Alessandrowi Destamio podawać się za mego stryja dla pieniędzy albo dla jakiegoś innego powodu (a nie mógłby tego zrobić bez ich pomocy), nie nie zmusiłoby ich, aby zgodzili się pochować mego prawdziwego stryja pod fałszywym nazwiskiem i poza grobowcem, gdzie chowano wszystkich członków rodu Destamiów od trzystu lat. Byłoby to prawie świętokradztwem.

Simon zastanawiał się nad tym, manewrując delikatnie nożem i widelcem przy ostatnim smakowitym kąsku. Z punktu widzenia psychologicznego było to możliwe. I mafia z łatwością mogłaby to zaaranżować dla zaspokojenia ortodoksyjnych skrupułów zainteresowanych bliskich krewnych — z lekarzem, który by pod przymusem wystawił fałszywe świadectwo zgonu, i księdzem należącym do mafii, który by odprawił pogrzeb o północy.

To było możliwe. A zarazem zdawało się w tej chwili najlepszym sposobem dokonania

następnego posunięcia.

— Czy pani uczestniczyłaby w naruszeniu spokoju przodków śpiących snem wiecznym w mauzoleum? A przynajmniej pokazała mi, gdzie to jest i przyknęła na to oko?

— Pojadę z panem.

Posiłek dobiegł końca, ukoronowany na deser świeżymi żółtymi brzoskwiniami w ich szczytowej porze cudownie słodkiej dojrzałości, po czym Gina poprosiła o kawę, a Święty odmówił, woląc poprzestać na czystym smaku owocu i końcowym kieliszku wina.

— Kiedy pani będzie miała ochotę wstać od stołu — powiedział — myślę, że może byśmy się ubrali i wyruszyli na inspekcję tego lokaliku? Proszę wybaczyć to wyrażenie. Tak czy owak nie możemy od razu pływać niesamowicie objedzeni.

Tak więc po chwili znów dojechali z powrotem prawie do samego Palermo, skręcając według wskazówek Giny, przy czym Święty notował każdy zakręt na mapie naszkicowanej w mózgu, którą mógłby bez wahania odtworzyć, kiedy tylko zaszłaby tego potrzeba, w dzień czy w nocy. W świetle dziennym zamajaczyła kępa wysmukłych cyprysów, które stanowią znak rozpoznawczy wszystkich cmentarzy we Włoszech, zawczasu zapowiadając bliskość celu, a kiedy niemal już byli na miejscu, żałobny kondukt, który wynurzył się z zakurzonej bocznej drogi, uzupełnił identyfikację, ale jednocześnie zablokował praktycznie dalszą drogę.

Karawan — w przeciwieństwie do ulubionych przez amerykańskich przedsiębiorców pogrzebowych cadillaków — podobny z sylwetki do jamnika, był wspaniałym średniowiecznym wehikułem, wznoszącym się dobrych dziesięć stóp od ziemi, z dekoracją wyrzeźbionych kwiatów i aniołków, tworzących obramowanie wielkich szyb rozmiaru witryn sklepowych, które we wnętrzu ukazywały wyraźnie trumnę tonącą w powodzi kwiatów.

Ciągnęły go dwa powłóczące nogami czarne konie w uprzęży odpowiednio dobranej, a ich głowy pochylone były pod ciężarem ogromnych piór tej samej ponurej barwy.

Za nimi włókł się korowód żałobników. Pierwsze szły kobiety, identycznie przystrojone w spłowiałe czarne suknie i w czarnych chustkach na głowach, niosąc kwiaty na długich łądygach albo świece. Dla nich była to wielka okazja do wyjścia z domu, ale żadna z nich nie miała suchych oczu. Potem szli mężczyźni — kilku w czarnych odświętnych ubraniach; niewątpliwie najbliższa rodzina, podczas gdy reszta zachowała większą swobodę, występując bez marynarki, a niektórzy do tego stroju dodali pełen szacunku akcent w postaci czarnych opasek na ramieniu. Sporej liczbie tych ostatnich nie udzielił się posępny nastrój ceremonii i gawędzili z ożywieniem, jak gdyby dołączyli do orszaku tylko z chwilowego braku innej atrakcji, czy też że obowiązki towarzyskie wymagały ich obecności, lecz bez niepohamowanego okazywania żalu.

Simon zatrzymał wóz na brzegu drogi i powiedział:

— Równie dobrze moglibyśmy stąd pójść na piechotę zamiast wlec się za nimi.

Pomógł Ginie wysiąść, po czym z łatwością dogonili orszak żałobny bez gorszącego pośpiechu i prześliznęli się obok niego przez bramę cmentarną. Simon przechodząc przyjrzał się jej dokładnie i zauważył, że nie było żadnego zamka: wydawało się mało prawdopodobne, aby zabezpieczano ją w jakiś inny sposób, co najwyżej mogła być zamknięta w innych porach przed zbłąkanymi psami.

— Nasz grobowiec jest tam — pokazała Gina.

Nie tyle był to grobowiec, co mauzoleum, które zajmowało cały duży narożnik cmentarza, budowla z granitu i marmuru tak imponująca, że Simon początkowo wziął ją za rodzaj kaplicy. Wejście stanowiły drzwi ze sztab z brązu, które bardzo dobrze mogłyby służyć jako brama więzienna, — za nią to, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak wąski korytarz, wiodło prosto przez środek grobowca do niewielkiego ołtarza na przeciwległym krańcu, a za nim znajdował się witraż takich rozmiarów, żeby przepuścić minimum odpowiedniego światła.

Dopiero po jednej czy dwóch sekundach, kiedy oczy jego przyzwyczyły się do półmroku, zdał sobie sprawę, że przejście było w rzeczywistości tylko ciasną przestrzenią do poruszania się pomiędzy rzędami stłoczonych sarkofagów, poustawianych jeden na drugim, jak warstwy dużych cegieł, i sięgających miejscami aż do sufitu.

— Zdaje się, że trochę tu ciasno — zauważył. — Nie powiedziałbym, że starczy tu miejsca jeszcze na kilka dobrych generacji. Czy pani ma tu zastrzeżony dla siebie kącik, czy też kto pierwszy, ten lepszy?

— Nie rozumiem takich żartów — powiedziała sztywno; było to przypomnienie, że wbrew wszystkiemu, co ich zbliżyło, zawsze będzie istniał między nimi dystans.

Zwrócił swoją uwagę ku zamkowi w drzwiach z brązu, w którym otwór na klucz był dość duży, aby mógł się tam zmieścić jego palec.

— Kto ma klucz? — spytał. — Donna Maria?

— Mam nadzieję, że tak. Ale nie wiem, gdzie go szukać. Mogłabym spróbować.

— Obawiam się, że to trwałoby zbyt długo. Ale niech pani sobie tym nie zawraca głowy.

Teraz, kiedy już obejrzałem zamek, wiem dokładnie, co mi będzie potrzebne, żeby go otworzyć. Niestety nie mam tych narzędzi, w kieszeni. A poza tym nie wydaje mi się, żeby to był najwłaściwszy moment na rozpoczęcie włamania. — Wskazał na rozproszony koniec orszaku żałobnego, którego zainteresowanie dość nierówno podzielone było między ceremonie przy grobie i uderzający kontrastem żywy powab Giny w jej wyzywająco obcisłej bawełnianej sukience. — Pojedźmy tymczasem z powrotem, do sklepu, gdzie będę mógł kupić potrzebne rzeczy.

Po załatwieniu sprawunku zaproponował znów pływanie dla ochłody. Ostrożność nakazywała powrót na cmentarz w nocy, kiedy ryzyko zwrócenia niepożądaney uwagi byłoby praktycznie wyeliminowane, a tymczasem Simon chciał odciągnąć Ginę od zbytniego

pogrążenia się myślami w tym, co mieli zdziałać. Ale słońce miało jeszcze spory skrawek nieba do przebycia przed zachodem, kiedy powiedziała:

— Jeżeli nie wrócimy do grobowca teraz, będzie pan musiał odwiedzić mnie do domu.

— Nie chcę tam jechać nim się ściemni — rzekł. — Myślałem, że może przedtem moglibyśmy wstąpić gdzieś na aperitif, a może i na wczesną kolację.

Potrząsnęła głową.

— Nie mogę zjeść z panem kolacji — powiedziała. — Jeżeli nie wrócę do domu przed zmrokiem, donna Maria wybuchnie. I na pewno już nigdy nie pozwoli mi wyjść z panem, nawet gdyby stryj Alessandro poprosił o to.

Simon zastanowił się nad tym przez chwilę i dziwnie nie przejął się dalszymi problemami, jakie mogłyby z tego wyniknąć w tym kraju Romea i Julii. O ile bardzo pragnąłby dłużej jeszcze przebywać z Giną, o tyle wyprawa na spenetrowanie grobowca nie byłaby jego własnym wyborem okazji spędzenia czasu w jej towarzystwie.

— Myślę, że pani ma rację — rzekł. — I wiem, że nie ma pani ochoty wspólnie ze mną zabawić się w wampirów. Proszę się ubrać i przekonamy ciotunię, że nie ma powodu, aby rozleciała się w kawałki.

W drodze powrotnej do domu była raczej milcząca, lecz po chwili odezwała się:

— Co mam im powiedzieć, czego się dowiedziałam o panu?

— Wszystko, co pani opowiedziałem w czasie *pranzo*, jeżeli pani chce. Ale oczywiście nie o naszym planie przeszukania grobowca.

— No a co do pańskich zamiarów?

— Niech pani powie, że nie mogła ich pani rozszyfrować. Niech pani powie, że dałem do zrozumienia, że mam jakiś niezwykły plan w zanadru, ale odmówiłem rozmowy na ten temat. Tak; świetnie, może pani powiedzieć, że mogłaby pani mnie unieszkodliwić, jeśli tylko

miałaby pani trochę więcej czasu, żeby zająć się mną i żebyśmy się jutro umówili na dalsze zwiedzanie. Wtedy może pani być pewna, że nie tylko pozwolą, ale będą o to panią prosili. Bugatti stanął przed nieprzyjazną bramą; Simon obszedł samochód dokoła i podał jej rękę, żeby mogła łatwiej wysiąść, i trzymał ją jeszcze, kiedy jego pomoc nie była już potrzebna. — Zatem do jutra — powiedziała i skupione spojrzenie jej ciemnych oczu utkwilo w jego twarzy, jak gdyby chciała zapamiętać ją dokładnie.

Ale gdy się nachylił, żeby ją pocałować, cofnęła się lekko, szybko uwalniając rękę i śpiesząc do furki, od której odwróciła się aby rzucić mu jeszcze jeden ze swych urzekających uśmiechów, nim zniknęła.

Pomyślał, że zdobycie Giny Destamio mogłoby być czymś podobnym do przejazdu przez Alpy na rowerze o sześciokątnych kołach ścieżką, którą biegają kozice...

Niemniej, mimo rozpamiętywania i wybiegania myślą naprzód podczas aperitifów i kolacji, którą musiał delectować się samotnie, jej obraz nie odstępował Simona, dopóki nie odsunął go na dalszy plan w tej samej chwili, gdy zdecydował, że cmentarz jest już wystarczająco opustoszałym i bezpiecznym miejscem i należy przerwać jego wieczny spokój.

Wówczas oddał się wyłącznie sprawom zawodowym. A co do tego, to wszelkie podobieństwo jego misji do tematów powieści lub filmów z dreszczykiem było czysto przypadkowe. Dla niego mauzoleum było po prostu jeszcze jednym obiektem do włamania, zapowiadającego się jako dużo łatwiejsze niż inne, jakich wiele już niegdyś dokonał.

Minął bramę cmentarną i objechał narożnik, nim zaparkował samochód, i po cichu wrócił pieszo. Księżyc, który tak mu dopomógł ubiegłej nocy, pojawił się znów, rzucając być może więcej światła, niż on by sobie życzył, lecz w zamian za to utrudniając zarazem całkowite ukrycie się każdemu ewentualnemu napastnikowi. Jednakże w okolicy, w najbardziej dosłownym znaczeniu nie było widać żadnej innej żywej duszy i jedynym odgłosem był

szelest liści w niezdecydowanym podmuchu.

Brama z kutego żelaza była zamknięta, lecz nie na klucz, jak to już uprzednio zbadał, i otwarła się z lekkim chrzęstem. Idąc do mauzoleum Destamiów, odruchowo trzymał się w bezpiecznej odległości od grobów i kamieni nagrobkowych wystarczająco dużych, aby mógł się za nimi zaciąć człowiek, i Simon, minąwszy je, cienie za nimi przenikał wzrokiem kota; lecz ta powierzchowna przezorność wydawała się równie zbyteczna, jak spojrzenia rzucone w tył przez jedno lub drugie ramię podczas krótkich, nieregularnych przerw, jakie robił manipulując przy zamku zabezpieczającym kratę grobowca. Uległ jego wprawnym ruchom w czasie krótszym niż trzy minuty i Simon spojrzawszy za siebie ostrożnie po raz ostatni, wszedł do wnętrza i znalazł się w przejściu między rzędami spiętrzonych, kamiennych sarkofagów; tutaj po raz pierwszy musiał wyjąć latarkę, żeby zacząć odcyfrowywanie napisów.

W tej samej chwili uczył silny ból z tyłu głowy i rozsunęła się ogarniająca go iskrząca ciemność.

3

Dalekie, rytmiczne wstrząsy niby jakieś potężne pulsowanie w głębi ziemi łomotały i narastały. Nieokreślony czas upłynął, nim Simon uświadomił sobie, że dudniącym bębniem była jego własna głowa i że każdemu uderzeniu towarzyszyła nowa fala śmiertelnej męki. Powracającą świadomością ujarzmił ból i dopiero po walce, jakiej nie da się ująć w żaden wymiar, zapanował nad nim, dostatecznie, aby być zdolnym do odbierania innych wrażeń. Twarz jego była przyciśnięta do czegoś chropowatego i zakurzonego, o kozim zapachu, a kiedy spróbował poruszyć głowę i zmienić pozycję, zdał sobie sprawę, że ma ręce związane z tyłu. Potrzeba było dodatkowego wysiłku woli, żeby się zmusić do spokojnego leżenia, podczas gdy cząstka sił wstępowała na nowo w jego ciało i pajęczyny rozsnuwały się leniwie

wyzwalając mózg.

Boleśnie oczywiste było, że został uderzony w głowę, jak byle jaki prywatny detektyw w taniej powieści sensacyjnej; a co gorsze był to dowód, że jeżeli taka rzecz się zdarzyła, to ktoś musiał przejrzeć jego zamiary. Ciągle jeszcze był przekonany, że od dawna ma już za sobą etap, kiedy każdy mógł podejść go z tyłu i uderzyć, nawet jeśli minimalnie miał się na bacności, tak jak to było na cmentarzu. A teraz z opóźnieniem zaświtała mu myśl, że zawiódł go prosty fakt konieczności dobrania się do zamka kraty grobowca, tak że mimo woli uszła jego uwagi możliwość wejścia tam kogoś przed nim i zamknięcia się od wewnątrz. Kogoś, kto mógł wczołgać się na któryś rząd trumien i czekać cierpliwie, aż on będzie przechodził poniżej...

Teraz nasunęło się pytanie: w jaki sposób zasadzka mogła zostać zaplanowana z taką dokładnością co do jego spodziewanego przybycia?

Drzwi otworzyły się w pobliżu i rozległ się odgłos ciężkiego stąpania na kaflach posadzki, po czym kroki zatrzymały się obok niego.

— Al — zaryzykował Święty — jeżeli tak bardzo chciałeś mnie zobaczyć, to dlaczego po prostu nie przysłałeś mi zwykłego zaproszenia?

Znajomy chrapliwy pomruk potwierdził jego domysły.

Kosztowało go wiele wysiłku, żeby się podnieść, gdyż każdy ruch wywoływał na nowo dudnienie młotów mechanicznych wewnątrz czaszki, zdołał przekręcić się tak, że twarz nie dotykała już brudnego posłania. To, co się ukazało jego oczom, bynajmniej nie było warte tej męki. Znajdował się w niewielkim pomieszczeniu o ścianach bielonych wapnem, oświetlonym jedną nagą żarówką, z jednymi drzwiami i oknem zasłoniętym poplamioną, za krótką firanką. Nie było tu żadnych mebli z wyjątkiem składanego łóżka, na którym leżał.

Znaczną część tego ponurego otoczenia przesłaniała postać Ala Destamia, majaczącego nad

nim niby galaretowata góra groźby.

— Nie trać czasu na żarty — ryknęła góra. — Zaczynaj mówić, co chcę wiedzieć, to może nie oberwiesz więcej niż dostałeś.

Simon zdobył się na siedzącą pozycję, oparty o ścianę, i tylko cieniutka strużka potu na jego czole świadczyła, ile trudu go to kosztowało. Destamio dostrzegł tylko szydery uśmiech i wściekłość chwyciła go za gardło.

— Będziesz mówił, czy będziesz rozrabiał?

— Kocham mówić — rzekł łagodnie Święty. — Nikt nigdy nie zarzucał mi, że mam związany język. O czym chciałbyś pogawędzić, Al? Albo może powinienem zacząć od pogratulowania ci sposobu, w jaki mnie tu sprowadziłeś — gdziekolwiek jestem. Dobrych kilka lat minęło od czasu, kiedy pozwoliłem się tak podejść. Ale to, że twój chłoptas zamknął się wewnątrz krypty i czekał na mnie z łomem, to był naprawdę chytry manewr. Muszę go sobie zapamiętać.

— Będziesz miał szczęście, jeżeli dość długo pożyjesz, jeżeli w ogóle cokolwiek będziesz pamiętać.

— Cóż, zawsze szczęście mi dopisywało, AL To konieczne, jeśli się nie jest takim mistrzem jak ty — słowa zostały przerwane w momencie, gdy Destamio zamachnął się ręką rozmiarów łopaty i grzmotnął Świętego w głowę tak, że ten przechylił się na bok ze skórą na policzku rozciętą jego pierścionkiem.

— Żadnych żartów, Święty, już ci powiedziałem. Bądź grzeczny i odpowiadaj jak należy i nie rób trudności we własnym interesie.

Simon potrząsnął głową, usiłując zahamować łupanie wewnątrz czaszki, wywołane nowym otrzymanym ciosem.

— Miałem szczerzy zamiar, Al — odrzekł jak najrozsądniejszym tonem, choć lód w jego

niebieskich oczach zmroziłby każdego mniej wrażliwego niż stojący przed nim mafioso. —

Naprawdę genialnie to przewidziałeś, że moim najbliższym posunięciem będzie sprawdzenie nazwisk w twojej rodzinnej kostnicy. Albo Gina panu powiedziała?

— Ona wiedziała?

Święty był gotów odciąć sobie język. Teraz, jeśli Gina go nie zdradziła, on zdradził ją.

Okazało się, że uległ zamroczeniu w większym stopniu, niż sobie z tego zdawał sprawę.

— Nie o to mi chodzi — próbował naprawić swój błąd. — Pytam po prostu, czy sam do tego doszedłeś, czy ona ci pomogła? Ona jest dość sprytna, żeby wpaść na to, sądząc ze sposobu, w jaki wyciskała ze mnie, co się da, przez cały dzień. Ale nie powiedziałem jej, bo nie jestem taki tuman, żebym się nie domyślał, po co ona to robi.

Z nieodgadnionym wyrazem twarzy Destamio wpatrywał się w Simona. Przy całym swoim ociążalym sposobie bycia gangster był szybki jak bicz; w najlepszym wypadku to była tylko loteria: czy da się przekonać Simonowi, który usiłował naprawić swoje potknięcie.

— Chcę wiedzieć dużo więcej niż to, czego jej nie powiedziałeś — rzekł Destamio. — Co to było, co chciałeś wyśpiewać glinom, czym mnie straszyleś, bo myślałeś, że będę znów próbował cię zwinąć? I jak chcesz to teraz zrobić?

— To proste — odrzekł Simon. — Wszystko jest zapisane i znajduje się w zaklejonej kopercie, która zostanie przekazana we właściwe miejsce, jeśli osoba mająca to pod swoją opieką nie będzie otrzymywała ode mnie wiadomości co pewien regularny okres. Wiem, że to jest jedna ze sztuczek praktykowanych od dawna, ale wciąż bardzo skuteczna. I nie myśl, że możesz mnie zmusić, żebym zatelefonował do tej osoby z wiadomością, że ze mną wszystko jest w porządku, bo jeśli nie posłużę się umówionym kodem, tam będą wiedzieli, że ktoś wykręca mi ramię.

— Myślę, że blagujesz — rzekł Destamio lodowatym tonem. — Ale to nie ma znaczenia.

Zanim z tobą skończę, powiesz mi, kto ma tę kopertę i jaki jest kod.

— Tak myślisz?

Destamio wytrzymał nieruchome, spokojne spojrzenie Świętego przez kilka sekund, po czym z jakiegoś źródła w okolicy jego przepony wydobył się chrapliwy chichot niby głuchy pomruk trzęsienia ziemi, rozwierając szparę jego bezwargich ust.

— Nie wmówisz mi, że jesteś twardy. Widziałem mnóstwo facetów załatwionych na różne sposoby i mało który z nich nic nie wyśpiewał. Ale nie musimy już dziś tak postępować.

Mamy naukowe metody, żeby cię rozluźnić, i co więcej, będziemy wiedzieli, czy mówisz prawdę. Ponieważ więc nie muszę nic obiecywać, nie muszę niczego dotrzymywać, tak jak gdybym cię traktował po dawnemu. Mogę ci powiedzieć, że po prostu damy ci mały zastrzyk w ramię i potem, jak już wygarniesz wszystko, Sam palnę ci w łeb. Podszedł do drzwi i zawołał:

— *Entra, dottore.*

Simon Templar poznał uczucie zamierającego serca, i nie tylko w przenośni. Al Destamio z pewnością nie błagował. W tych czasach oświecenia wymyślne narzędzia średniowiecznych tortur nie były już dłużej potrzebne, ani nawet ich nowoczesne usprawnienia za pomocą prądu elektrycznego: do żyły wstrzykuje się leki wywołujące stan odprężenia i euforii, w którym ofiara recytuje jak z nut wszystkie najcenniejsze sekrety. Nawet Święty przy całej swej odwadze i determinacji nie byłby w stanie oprzeć się przemocy środków chemicznych. Z grymasem idioty mówiłby prawdę i tylko prawdę, a kiedy tak by się stało, niech Bóg ma go w swej opiece.

Mężczyzna, który wszedł, był krępy i pulchny, lecz w niczym nie przypominał Destamia.

Był młodszy, podbródek miał świeżo ogolony i przypudrowany, ręce miękkie i różowe; jego dwurzędowe ubranie było ciemnogrnatowe, a odcień czerni butów, mimo że spiczasto

zakończonych, nawet jeszcze ciemniejszy od konserwatywnego. Wyraz lekko świńskich rysów jego twarzy był mądry i uroczysty, jak przystało na kogoś, kto w swoim zawodzie pamięta o tym, że człowiek jest śmiertelny; niepotrzebny był mu uniwersalny symbol czarnej torby, jednakże nosił ją z sobą dla uzewnętrznienia swej tożsamości.

— Czy to jest pacjent? — spytał jakby to była najzwyklejsza wizyta domowa.

— To jaj jeśli chce pan przepisać mi coś na lekki wstrząs, to do zakropienia tego przydałby się chłodny longdrink — powiedział Simon. — Jeżeli pan się wynajął w innym celu, to musi pan być na usługach hipokryzji, a nie Hipokratesa.

Wyraz twarzy doktora nie uległ zmianie, kiedy stawiał swoją teczkę na podłodze i otwierał ją.

— Czy ma pan jakieś uczulenia? — spytał obojętnie, lecz świadomy zabiegu. — Zdarza się, że sodium pentothal ma uboczne działanie, ale tak samo i skopolamina. Czasem trudno zdecydować, które z nich jest lepsze.

— Najbardziej jestem uczulony na szarlatanów — odrzekł Święty. — Ale nie chcę być niehonorowy. Może pan jest znakomitością od koni.

— *Affretate, dottore* — niecierpliwił się Destamio.

Żaden z nich nie zmącił spokoju lekarza. Nie spiesząc się wyjął ampulkę z przezroczystym płynem i strzykawkę, napełnił ją i podniósłszy w górę przystąpił do zwykłej czynności wypuszczenia niewielkiej ilości płynu, aby usunąć pęcherzyki powietrza, które się dostało do wewnątrz. Wydawało się to zbędną przezornością wobec zapowiedzianego przez Destamia programu, który zapewniał lepsze skutki, niż jakiś przypadkowo powstały skrzep.

Święty przekręcił swoją pięść, wypróbowując pęta, które ją krępowały. Był to kawałek cienkiej liny, z wiekiem zwiotczałej, elastycznej i dającej się rozciągać, co mógł wykorzystać, i aby to zrobić musiałby nadać swym ramionom pewne położenie znane kaskaderom dla

uzyskania maksimum równowagi oparcia i zmobilizować całą siłę swych niezwykłych mięśni. Wiedział, że w końcu potrafi się uwolnić, ale to będzie wymagało kilku minut zwłoki. Nóg mu nie związano, i gdy doktor zbliżał się, Simon wyężył wszystkie siły i obliczył odległość potrzebną na złośliwe kopnięcie, które, jeśli trafiłoby w cel, niewątpliwie spowodowałoby przerwę w dokonaniu zabiegu. Szlachetnymi środkami albo podłymi, bez względu na to, jak podłymi, musiał zdobyć ten drogocenny czas... Został mu dany w cudowny sposób przez człowieka, który mógł być wszystkim innym, tylko nie wysłannikiem Opatrzności, a który w tej właśnie chwili szeroko otworzył drzwi i wytrajkotał coś w narzeczu do Destamia. Simon nie zrozumiał ani słowa, lecz na osobie, do której to było skierowane, wywarło natychmiastowe wrażenie. Destamio obrócił się i wycedziwszy przez zęby jedno przekleństwo poszedł ku drzwiom swoim kaczym chodem z groteskową szybkością.

— Niech pan zaczeka, aż wrócę — rzucił przez plecy wychodząc.

Simon przyglądał się doktorowi, kiedy ten ostrożnie włożył strzykawkę do swej torby i podszedł do okna. Odsunął na bok brudną firankę i otworzył je, a wówczas Simon bez żadnej przeszkody mógł spojrzeć na nocne niebo. Brak sztab był jakby symbolem; Simon uczył nagły przypływ nadziei. Za jego plecami ramiona wykręcały się i naprężały w rozpaczliwym, lecz zdyscyplinowanym pośpiechu, gdy czynił wszystko co możliwe, żeby wykorzystać zesłany przez niebo ratunek, unikając jednocześnie dostatecznie gwałtownego szamotania się, które mogłoby go zdradzić.

— Co tam takiego niezwykłego się stało, dottore — spytał, nie tyle oczekując odpowiedzi, ile dla pokrycia drobnych odgłosów towarzyszących jego łamańcom.

— To don Pasquale — rzekł doktor odwrócony tyłem do Simona, w dalszym ciągu wdychając świeże powietrze. — Jest bardzo stary i bardzo chory i oprócz mnie są tutaj dwaj *medici* po to, aby jeszcze raz udowodnić, że nauka' może przynieść ulgę starości, ale nigdy jej

nie uleczy.

— Musi pan wybaczyć moją ignorancję, ale kim jest don Pasquale? I dlaczego takie szczególne zamieszanie robi się wokół jego osoby?

Doktor odwrócił się i popatrzył na niego z zaciekawieniem.

— Pana ignorancja jest w istocie zdumiewająca, jak na człowieka, który posiada informacje, jak się wydaje, bardzo pożądane przez mafię. Don Pasquale stoi na czele organizacji, a kiedy umrze, będą musieli wybrać nowego przywódcę. Oto dlaczego wszyscy inni „dono — wie” są tutaj.

— Sępy zbierają się... — Simon starał się swoim wyrazem twarzy nie okazywać żadnego wysiłku, podczas gdy jego mięśnie natężyły się i gięły jak drut. — I przypuszczam, że mój tłusty przyjaciel don Alessandro chciałby dostać tę posiadłość.

— Wątpię, czy zostanie wybrany. Zbyt długo nie było go w kraju. Tutaj, na południu, trzymamy się raczej w obrębie prowincji i jesteśmy trochę podejrzliwi w stosunku do wszystkiego, co zagraniczne.

— Co, zdaje się, nigdy nie powstrzymało was od eksportowania misjonarzy waszej mafii do mniej wyspiarskich krajów, takich jak Stany Zjednoczone. Myślę, że organizacja mile powita na szczycie nowego zbira z międzynarodowym doświadczeniem.

Doktor obojętnie wzruszył ramionami. Albo był zbyt dyskretny, żeby dać się wciągnąć w dalszą dyskusję, albo szczerze niezainteresowany, do jakich celów Święty mógł tu służyć.

Nadal patrzył na Simona tak bezosobowo, jak gdyby oglądał atlas anatomiczny, i Święty szaleńczo ponaglał swoją pomysłowość, aby zastosować jakiś inny gambit dla odwrócenia uwagi od ruchów, które ciągle musiał wykonywać.

Po chwili odwrócili się obaj na dźwięk otwierających się drzwi. Ukazał się w nich posłaniec, ten sam, który odwołał Destamia.

— Ty — zwrócił się do Simona w zrozumiałym włoskim języku. — Chodź ze mną.

— Il signor Destamio chce, żeby on był tutaj, bo ma się leczyć — przeciwstawił się doktor bez jakiegokolwiek wyrazu.

— Trzeba to będzie odłożyć — rzekł mężczyzna krótko — i węzłowato. — To don Pasquale posyła po niego.

3

Po tym wyjaśnieniu doktor znów wyraźnie stracił zainteresowanie i zajął się zamknięciem swojej torby, podczas gdy posłaniec ściągnął Simona z legowiska, pomagając mu stanąć na nogi. Święty ze swej strony podporządkował się nowym rozkazom z najwyższą uległością nie tylko dlatego, że trzeba by niezwyklej apatii, aby oprzeć się tak intrygującemu wezwaniu, lecz również aby nie dać żadnego powodu swemu strażnikowi do sprawdzenia więzów na jego rękach.

Pętle rozluźniły się, lecz potrzeba było jeszcze kilku minut do uwolnienia się z nich.

Przeszli przez zatechły korytarz bielony wapnem z jeszcze jednymi zamkniętymi drzwiami, później po kilku kamiennych schodach do ogromnej kuchni, skąd przez jeszcze jeden krótki korytarz i jeszcze jedne drzwi weszli do obszernej barokowej sali z bogactwem dywanów, obrazów, zbroi i ciężkiej, ozdobnej boazerii. Wówczas Simon uświadomił sobie, że komórka, gdzie odzyskał świadomość, była tylko obskurnym składzikiem w piwnicy budynku, który słusznie można było nazwać *palazzo*. Roiło się tu od mężczyzn w czarnych, obcisłych garniturach, wypchanych pod pachami, na wszystkich twarzach malował się wyraz wrodzonej nieżyczliwości. Zbyteczny był dalszy dowód, że przeniknął do samego serca wrogiego obozu, choć w sposób niezupełnie taki, jaki byłby sam wybrał.

Posłaniec pchnął go ku pałacowym schodom, które prowadziły ze środka sali. Weszli po nich na galerię, skąd Simon został pokierowany przez na wpół otwarte dębowe drzwi do

przedpokoju. Za nimi znajdowały się zamknięte drzwi, równie imponujące, do których posłaniec delikatnie zastukał. Nie było żadnej odpowiedzi z wewnątrz, lecz on nie zdawał się oczekiwać żadnej, gdyż lekko nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Sam został za nimi, a Simon popchnięty przez niego, znalazł się wewnątrz pokoju.

Była to sypialnia, proporcjami odpowiadająca pokojom, które widział poprzednio, o ścianach pokrytych ciemnoczerwonym brokatem i załadowana wielkimi i ohydnyymi meblami poczerniałymi ze starości. Okna szczelnie zamknięte przed niezdrowymi waporami nocy również skutecznie zatrzymywały na wpół stęchłe, na wpół antyseptyczne zapachy pokoju chorego. Przy łożu z szerokim baldachimem stał emaliowany metalowy stolik zastawiony butelkami o aptecznym wyglądzie i środkami leczniczymi, wokół którego krzatali się dwaj mężczyźni o takim samym nieomylnie profesjonalnym wyglądzie jak medico sprowadzony do klitki Simona, jeden z nich chudy i siwy, drugi niski, z hiszpańską bródką.

Pozostali mężczyźni zgrupowani dokoła łoża byli starsi i roztaczali subtelną atmosferę indywidualnego autorytetu, pomimo szacunku, jaki okazywali centralnej postaci tego obrazu. Było ich czterech, w wieku dobrze powyżej pięćdziesiątki. Być może najstarszym był Al Destamio. Tęgi mężczyzna o gładkiej twarzy, w okularach, mógł uchodzić za szefa przedsiębiorstwa o charakterze kosmopolitycznym, inny miał okrutne spojrzenie i figurę zapaśnika, a gęste wąsy nadawały mu wygląd pseudowojskowy. Najmłodszy, nerwicowiec, sądząc przynajmniej po wrażeniu, jakie robił, był niemal tak wysoki i cienki w pasie jak Święty, lecz miał potężnych rozmiarów nos, którego słusznie mógłby mu pozazdrościć andyjski kondor. Stwierdziwszy w lusterku, że w żaden sposób nie uda mu się zmniejszyć swego narządu powonienia, jego właściciel obnosił go jak wyzwanie, które wprawiłoby w zachwyty Cyrana de Bergerac.

To był najbliższy krąg — parowie z własnego prawa, Zgromadzeni przy łożu śmierci

króla, żeby złożyć mu hołd i współuczestniczyć między sobą o sukcesję.

Odwrocili się, by spojrzeć na Świętego jednym zgranym ruchem, jak złączone drutem marionetki, zostawiając wolną drogę do łoża.

U szczytu swojej władzy leżący tam człowiek musiał być olbrzymem sądząc po szerokości jego budowy. Lecz jakaś okrutna choroba pochwyciła go w swe szpony niszcząc tkankę po tkance, przykuwając do łoża, w którym niebawem miał umrzeć. To było widoczne: wystąpiły oznaki zbliżającej się nieuchronnie śmierci. Skóra niegdyś napięta przez mięśnie teraz zwisała w luźnych fałdach na szyi. Pod wpadniętymi oczami zjawily się czarne plamy jakby od sadzy, a siwe włosy, rzadkie i bez życia, opadły na szpakowate brwi. W tak ciężkiej chorobie nie opuścił go jednak zwyczaj rozkazywania. Oczy jego płonęły ogniem szaleństwa lub męczeństwa; w głosie, chociaż osłabionym, dźwięczał ton operowego basu.

— *Veni qui.*

Nie była to prośba ani nawet rozkaz, tylko wypowiedziana słowami pewność spotkania się z posłuchem. W ten sposób w przeszłości musieli zwracać się do ludzi absolutni władcy, panowie życia i śmierci swych poddanych, a don Pasquale był jednym z ostatnich spadkobierców tego rodzaju władzy.

Ale Simon pamiętał, że nie było to godne szacunku królestwo, którego był najwyższym zwierzchnikiem, lecz pozbawiona skrupułów tajemna społeczność, nie uznająca żadnej zbrodni za zbyt ohydną, o ile przynosiła wystarczający zysk. Simon, z zasady nonszalancki, uznał królewsko — katedralną atmosferę tego zgromadzenia za zbyt niewłaściwą. Podszedł do łoża od strony nóg, tak jak mu powiedziano, lecz z pewnym lekkim śladem pewności siebie, która zdawała się sprawiać wrażenie, że ręce ma złożone na plecach z własnej woli, a nie związane z tyłu, i pełen cynizmu szyderyczy uśmiech wykrzywił jego usta.

— *Ciao, Pasquale* — powiedział wesoło jak kolega do kolegi.

Mógł wyczuć, jak wodzowie stojący po obu stronach władcy zadrżeli i zeszywnieli na taką obrazę majestatu, lecz człowiek podparty poduszkami zdawał się w ogóle nie zwracać uwagi, może dlatego, że nie mógł w pełni zaufać swemu słuchowi, czy też że dla jego ugruntowanej najwyższej władzy znaczyło to nie więcej niż jak gdyby jakiś urwis dłubał palcem w nosie.

— A więc ty jesteś tym, którego nazywają Święty. Narobiłeś nam kłopotów już dawniej.

— Miło mi, że w dostatecznej mierze, abyś to mógł zauważyć — rzekł Simon. — Ale nie pamiętam przy jakiej okazji. Co wtedy robiłeś?

Ponieważ don Pasquale zwracał się do niego poufałym „ty”, używanym tylko w stosunku do niżej postawionych w hierarchii lub bliskich, Simon nie widział powodu, żeby nie odpowiedzieć w ten sam sposób.

— Pokrzyżowałeś plany Unciella, który był jednym z naszych. Mieliśmy oddanego nam człowieka w policji w Rzymie, inspektora Bueno, którego straciliśmy przez ciebie.

— Teraz to wraca do mnie — rzekł Święty. — Miałem nieszczęście natknąć się na podejrzaną gliny. Co się przydarzyło temu biednemu łapówkarzowi?

— Miał kłopoty w więzieniu. Walka na noże. Nie żyje.

Don Pasquale wciąż jeszcze miał pamięć komputera. Wszystkie nici światowej sieci przestępstw prowadziły z powrotem do niego i dzierzył je w swym ręku, gdyż znał dokładną długość i moc każdej z nich. Ponad dziesięć lat upłynęło od tamtego incydentu w Rzymie, lecz on nie zapomniał żadnego szczegółu.

— Alessandro, co Święty znów nabroił?

— Próbuje mi narobić kłopotów — rzekł Destamio. — Deptał mi po piętach, szpiegował mnie, pojechał do mojej rodziny, wypytywał, groził mi szantażem. Muszę się dowiedzieć, co on wie, i kto jeszcze o tym wie, a potem go sprzątnąć.

— Zgoda, ale po co go tu sprowadziłeś?

— Myślałem, że to najbezpieczniejsze miejsce, a poza tym sam nie chciałem być gdzie indziej w tej chwili...

— Jakie informacje mógł mieć Święty, żeby szantażować Alessandra?

Wmiesział się nowy głos i Destamio wyraźnie podskoczył na jego dźwięk. Należał do mężczyzny z majestatycznym nosem, którego Simon już intuicyjnie określił jako najbardziej dynamicznego członka rady.

— Nic takiego, Cyrano, w ogóle nic takiego — głos Destamio chrypiał nieco bardziej niż zwykle. — Lecz chcę wiedzieć, na jakiej podstawie on uważa, że może mnie wpakować w tarapaty, i z kim pracuje, żebym mógł zająć się tym wszystkim.

Mężczyzna zwany Cyrano — prawdopodobnie było to przezwisko, a nie imię fortunnie wybrane przez jego rodziców — zwrócił swój fascynujący profil w stronę Destamio i rzeczywiście kichnął, jak gdyby cała jego moc percepcji usytuowana była w tym nieprawdopodobnym organie powonienia.

— Jeśli nie może być niebezpieczny, to czego się boisz, Alessandro — nalegał nielitościwie. — Czym tu trzeba się zająć?

— Basta — przerwał don Pasquale nim jeszcze Destamio doszedł do głosu. — Możecie poczekać z waszymi porachunkami, aż umrę. Do tego czasu ja decyduję.

Jego wargi ledwo się poruszały, a na wybladłej twarzy nie było żadnego znaku ożywienia czy podniecenia. Tylko oczy były nieugięte żywe i szybko znów spojrzały na Świętego ze skupieniem niemal fizycznie wyczuwalnym.

— Od dawna chciałem się z tobą widzieć, Simon Templar — odezwał się nadal w poprawnej włoszczyźnie, w języku, jak się zdawało, używanym jako pomost łączący różnice dialektów, które z konieczności istniały wśród pewnej liczby obecnych i które mogły czynić

Sycylijczyka tak niezrozumiałym dla mieszkańca Kalabrii, jak dla każdego cudzoziemca. —

Nikt z tych, co rzucili wyzwanie mafii, nie pozostał potem przy życiu tak długo jak ty.

Powinieneś być zniknąć, nim wyjechałeś z Rzymu po tym spotkaniu z Unciello. Tutaj znów stajesz nam na drodze. Powinieneś być powiedzieć Alessandrowi, żeby nie zwlekał dłużej i skończył z tobą. Tymczasem usłyszałem i dowiedziałem się o tobie dużo więcej. Nie jestem pewien, czy to nieuniknione, żebyś był naszym wrogiem. Opierając się na naszej potędze mógłbyś stać się o wiele bogatszy niż jesteś. Z twoim sprytem i odwagą my moglibyśmy stać się jeszcze silniejsi.

Pokój zaległa śmiertelna cisza. Nawet przy końcu swych rządów don Pasquale pozostał bezspornym autokratą — krata dzięki samej sile woli i tradycji. Satrapowie wokół niego byli wciąż tylko jego porucznikami i mieli pozostać podwładnymi, dopóki jego odejście nie rozpęta nowej walki o najwyższą władzę.

— Czy masz na myśli — Simon zapytał powoli — że po tym wszystkim ofiarowałeś mi szansę dołączenia do was?

— To nie jest niemożliwe — rzekł don Pasquale. — Takie rzeczy zdarzają się na świecie. Nawet wielkie narody, które były śmiertelnie sobie wrogie, zostały sojusznikami.

Święty zawahał się chwilę, analizując, jaki użytek mógłby zrobić z tak fantastycznej propozycji i jak długo mógłby prowadzić taką grę. Przez mózg błyskawicznie przebiegło mu mnóstwo różnych możliwości.

Lecz po raz pierwszy w życiu brząz maski jego twarzy stał się nie większą osłoną niż powłoka przezroczystego szkła przed utkwionym w niej badawczym spojrzeniem. — Ale nie — don Pasquale przemówił jeszcze nim Święty mógł sformułować odpowiedź — ty myślisz tylko o tym, jak mógłbyś to wykorzystać, wybrnąć z sytuacji, w której się znalazłeś. Dlatego musiałem cię zobaczyć, sam usłyszeć twoją odpowiedź. *L'audienza e finita.*

W jego głosie nie drgało żadne uczucie, kiedy dla oznajmienia, że audiencja jest skończona, użył tych samych słów, jakie wypowiedziałby król lub papież.

Al Destamio schwycił Świętego i pchnął go ku drzwiom z gorliwością, która mogła wydać się niezwykła, a don Pasquale odezwał się znowu:

— Zaczekaj chwilę, Alessandro.

Destamio szturchnął Świętego tak, że ten wpadł na posłańca czekającego za drzwiami, i warknął: — Zabierz go z powrotem na dół i zamknij!

Masywne drzwi zatrzasnęły się; eskortujący Simona człowiek schwycił go za łokieć i siłą przeprowadził przez przedpokój, galerię i ciągnął po wspaniałych schodach tak brutalnie, że Święty musiał użyć całej swojej zręczności, żeby zachować równowagę i nie stoczyć się ze stopni twarzą w dół.

Terroryzowany Simon przeszedł przez kuchnię, po schodach i korytarzem do pomieszczenia w piwnicy, z którego go wyprowadzono. W tych szczególnych chwilach niemal błogosławił to sadystyczne traktowanie, bowiem pod pozorem, oporu stawianego w naturalny sposób, zdolny był walczyć energiczniej i bardziej dokładnie z liną krępującą jego ręce.

Ostatnie brutalne szturchnięcie kolanem strażnika wrzuciło go do komórki. Drzwi zamknęły się za nim i klucz zazgrzytał w zamku.

Znów znalazł się sam, gdyż doktor nie czekał; ale wiedział, że to nie potrwa długo.

Jakąkolwiek była sprawa, którą umierający don Pasquale chciał załatwić z Destamiem, nie zajęłaby więcej niż krótką chwilę, po czym Destamio z jeszcze większym pośpiechem przystąpiłby do wykonania swego planu.

Lecz sam, nie obserwowany przez nikogo, Święty mógł wykonywać skręty i walczyć z liną; i już był na dobrej drodze...

W czasie krótszym niż trzy minuty miał już jedną rękę wolną, a na drugiej lina zwisała luźno.

Jeszcze nim opadła na podłogę, jednym susem przyskoczył bezszelestnie do okna.

Do tej pory nie miał żadnych danych co do tego, jak długo był nieprzytomny po uderzeniu w głowę w mauzoleum, a związane z tyłu ręce uniemożliwiały mu spojrzenie na zegarek. Ale teraz, mając żarówkę elektryczną za sobą, zobaczył, że niebo nie jest już ciemne, lecz poszarzałe pierwszą niejasną zapowiedzią świtu. I ten nikły przebłysk światłości wystarczał, żeby ukazać mu, dlaczego jego porywacze zostawili okno otwarte, nie zabezpieczone kratą.

Palazzo uczone było samego skraju przepaści. Okno, przez które wyjrzał, znajdowało się w gładkiej ścianie, bez jakiegokolwiek innego otworu na piętnaście stóp z jednej i drugiej strony. Poniżej ściana zespolona była z pionową skałą, wykorzystaną jako fundamenty.

Jeszcze niżej skała prostopadle opadała w nieprzeniknioną ciemność.

ROZDZIAŁ 5

Jak Simon Templar spacerował

w słońcu i pił z różnych butelek

1

Marynarka Świętego znikła, a kieszenie spodni оголоcono ze wszystkiego prócz garstki drobnych pieniędzy pozostawionych jakby na ironię. Wziął monetę pięciolirową i rzucił przez okno z odległości wyciągniętego ramienia. Znikła w ciemnej otchłani, lecz tak długo, jak wyteżał słuch, nie doszedł do niego odgłos uderzenia o dno. Cokolwiek znajdowało się pod oknem, musiało być bardzo daleko.

Drzwi jednak nie dawały szansy. Były solidnie zrobione z grubych desek połączonych sworzniami i okutych żelaznymi listwami; do zamka prawdopodobnie byłoby łatwo się dostać odpowiednimi narzędziami, lecz nie miał przy sobie ani też nie było w pustej komórce

niczego, czym mógłby się posłużyć. Okno mogło się wydawać rodzajem rosyjskiej ruletki, z pięcioma nabojami w bębenu, tym niemniej była to jedyna możliwa droga wyjścia. A zostać tu oznaczało pewną śmierć.

Nie tracąc dalszej chwili cennego czasu Simon ściągnął koc z łóżka i zaczął go drzeć na nadające się do użytku pasy. Związane razem ze sznurem, którym był skrepowany, dawały mu linę długości około trzydziestu stóp nader niepewnej wytrzymałości. Często czytywał jak inni o tym stosowanym sposobie, lecz miał równie mało okazji jak inni, żeby go wypraktykować. Nie można było wypróbować inaczej niż ciągnąc z całej siły, co nie wykazywało żadnej wewnętrznej słabości. Nim upłynęło dziesięć minut od zamknięcia go, jeden koniec liny był już przywiązany do ramy łóżka, a samo łóżko oparte o ścianę pod oknem tak, aby tę zaimprovizowaną linę ratunkową na jak największej długości opuścić w dół.

Usiadł na parapecie, nogi zwiesił nad próżnią i jak to było możliwe oceniał sytuację. Mimo iż detale przepaści poniżej przysłonięte jeszcze były poranną mgłą, niebo zaczynało się szybko rozjaśniać ukazując w coraz to szerszym zasięgu cechy topograficzne terenu.

Skąła, na której wznosił się dom, tworzyła część jednej strony wąskiej doliny, wzdłuż której rozłożyło się niewielkie osiedle z wysokim dachem kościoła wyrastającym ponad białe domy. Poza miasteczkiem znów wznosiły się wzgórza, a dalej widoczne były nawet wysokie szczyty sięgające nieba. Po lewej stronie poprzez rozpraszającą się mgłę mógł dostrzec cienką wstęgę drogi, wijącą się w górę wzdłuż przeciwległego zbocza; po prawej droga zdawała się schodzić od miasteczka w dół. Trzymając się jedną ręką i wychylając jak tylko mógł najdalej, nagrodzony został widokiem odbłasku słońca odbijającego się daleko w wodzie. A więc droga na prawo prowadziła ku morzu i to będzie kierunek jego ucieczki. Nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie się znajduje, lecz wiedział, że wewnątrz Sycylii wypełniają

niemał całkowicie łańcuchy górskie i że główne drogi biegną wzdłuż wybrzeży tej trójkątnej wyspy łącząc duże miasta, wszystkie położone nad morzem.

Za drzwiami znów usłyszał kroki i metaliczny dźwięk klucza w zamku. Jeżeli zamierzał w ogóle stąd zwiać, była to na pewno ostatnia szansa odlotu.

Wykonał skręt, zsunął się z parapetu i zawisł, trzymając się tylko końcami palców.

Następnie uchwycił się jedną ręką liny zrobionej z koca i stopniowo przenosił ciężar swego ciała sprawdzając jej wytrzymałość, aż cały zawisł na niej. Stara tkanina rozciągnęła się, ale nie puściła; teraz najpilniejszym zadaniem Simona było obciążanie jej tak krótko jak to tylko możliwe.

Obsuwał się, przenosząc rękę za ręką prawie tak szybko jak to robią akrobaci w cyrku, miarkując tylko, aby unikać gwałtowniejszych szarpnięć i wstrząsów, które mogłyby obciążyć tę namiastkę liny ratunkowej ponad jej wątpliwy punkt wytrzymałości.

Był w połowie drogi w dół, gdy w oknie nad nim, ukazała się rozdziawiona gęba, i już o dwa jardy niżej, zanim zdołała ona wyrazić swe zaskoczenie słowami:

— *Che cosa fai?*

Urażając, że ktokolwiek pytał o to, co on robi, w tych okolicznościach nie mógł na serio oczekiwać odpowiedzi, Simon zignorował pytanie i jeszcze większą uwagę skoncentrował na swoich gimnastycznych wyczynach. Patrzył więc w dół w chwili, gdy tamten wyjął rewolwer, i pierwszym sygnałem, jaki do niego dotarł, był huk wystrzału i zamierający jęk kuli odbitej rykoszetem od ściany w pobliżu jego głowy. Trzeba było żelaznych nerwów i samodyscypliny, aby nie zakłócić spokojnego rytmu opuszczania się, a może też był bardziej zaniepokojony wytrzymałością liny niż kwalifikacjami strzeleckimi człowieka na górze.

Po chwili usłyszał z góry głos Ala Destamia, który prowadził głośnie sprzeczkę ze strzelcem. Odniósł wrażenie, że Al nie życzy sobie dalszej strzelaniny, dla przyczyn, które

Święty mógł docenić, ale które napotkały gwałtowny sprzeciw tego podrzędnego mafiosa zachwyconego takim strzelaniem i wzbraniającego się przed pozbawieniem go tej przyjemności. Podczas ich sprzeczki Simon zjechał kilka stóp niżej i znalazł się na samym końcu liny.

Trzymając się jej odruchowo zaciśniętą pięścią, zobaczył, że jego stopy są jeszcze o dobry metr od krańca ściany, wspartej na fundamencie odległym o niecały metr od krawędzi skały. Poniżej tej krawędzi ściana skalna opadała skośnie w dół pod kątem 80° ku sadowi, na wysokości, jak się zdawało, dostatecznej, aby otworzyć spadochron, który jakże pragnął mieć w tej chwili.

Zwłaszcza że kłótnia przy oknie nad nim najwidoczniej została zakończona kompromisem, gdyż zaczęto gwałtownie wstrząsać i ciągnąć wątłą nić, na której był zawieszony.

Nie miał żadnego innego wyboru niż zaryzykować raz jeszcze.

Rozwarł dłoń i skoczył...

Wylądował lekko na czubki palców, zgiąwszy kolana, aby złagodzić możliwie najmocniejsze nawet lądowanie. Odłamki i żwir stoczyły się w dół po skarpie, ale skała była solidnym fundamentem. Odpoczął tu chwilę przytulony do gładkiej ściany budynku, zazdroszcząc ośmiornicom przyssawek w ich długich mackach.

Najbliższy narożnik domu znajdował się co najmniej dwadzieścia stóp po jego prawej ręce i Święty zaczął się ostrożnie przesuwac w tym kierunku. W oknie na górze zapanowała nagle cisza i nie trzeba było zbyt wielkiej wyobraźni, żeby widzieć, jak Destamio i inni schodzą inną drogą, żeby go spotkać na dole. Istniała jednak poważna szansa, że będzie mógł dotrzeć do boku budynku, zanim oni znajdą się w tym samym punkcie. Gdy raz już będzie poza tą zawrotną półką skalną, zaimprovizuje swój następny krok zależnie od możliwości, jakie się otworzą. Jego plan nie sięgał dalej niż do tego miejsca, i mógł uważać za względnie pomyślne

to, że się tu znalazł.

Słusznie tak myślał, ponieważ nie było mu dane nigdy dojść do narożnika budynku.

Jeszcze jeden ze strażników mafii, który najwidoczniej był już przedtem na zewnątrz, gdy usłyszał strzały, ruszył, aby zbadać ten i, niezwykle poranny ruch. Jego głowa wyjrzała zza narożnika, w którego kierunku Simon przesuwał się cał po calu swą niebezpieczną drogą.

— *Buon giorno* — powiedział Święty z największą uprzejmością — czy to jest droga do łazienki? Reakcja była w pełni tak oczywista i przesadna jak gag ze „spóźnionym zapłonem” w niemych filmach.

Opadająca szczeka strażnika rozwarła jego usta nadając im kształt oszołomienia w postaci litery „O” i ukazując ciekawy zestaw złotych zębów na przemian z poczerniałymi pieńkami ich mniej uprzywilejowanych towarzyszy, których jeszcze nie zrekonstruowano w złocie.

— *Che cosa fai?*

— *Ebbene* — odpowiedział, klękając ostrożnie na jedno kolano; drugą nogę opuścił poniżej krawędzi skały, szukając wielkim palcem oparcia. — Były skargi na fundamenty tego zamku. Nie chcemy, żeby koniec don Pasquala nastąpił szybciej przez to, że pokój, w którym leży chory, zapada się pod nim. Dlatego wezwano mnie do zbadania podmurówki. Jestem skłonny podejrzewać owady minujące. Czy to wydaje się panu prawdopodobne?

Opinia jego słuchacza — który jak na wpół zahipnotyzowany stał w tępym osłupieniu, podczas gdy Święty opuścił się pod występ skalny, tylko podbródek wysuwając nad jego poziom — nie została wypowiedziana, gdyż nagle został on szarpnięty do tyłu i zastąpiony przez człowieka, który strzelał z okna w górze.

— Wracaj! — krzyknął z nieco idiotycznym optymizmem, próbując zmierzyć się do strzału.

— Przykro mi, ale mój związek zawodowy pozwala mi tylko schodzić w dół. Jeżeli pan

chce, żebym szedł pod górę, musi pan się postarać o windę.

Morderczy zapal strzelca nie osłabł na skutek tej rozsądnej odpowiedzi, lecz napotkał dodatkowe trudności, wynikające z układu sytuacyjnego. Przepaść zaczynała się u jego stóp, a podstawa budynku prawie stykała się z jej krawędzią po prawej stronie. Gdyby to było z przeciwnej, albo gdyby był mańkutem, nic prostszego jak wysunąć głowę i rękę z rewolwerem za róg domu i strzelić. Lecz należąc do większości posługującej się prawą ręką nie miał sposobu wygodnego celowania, gdyż nie było miejsca na zrobienie kroku poza krawędź, do czego musiałby przynajmniej jedną nogę oprzeć na murze. Próbował oddać kilka strzałów bez pomocy lewitacji, lecz mając rękę w nadgarstku niezręcznie wygiętą do tyłu, pudłował, a odrzut broni niemal strącił go z niepewnej podstawy na skraju przepaści. Podczas gdy on walczył z tymi szczególnymi trudnościami, człowiek, na którego polował, systematycznie zsuwał się po pionowej ścianie z nadspodziewanym mistrzostwem, które zyskałoby mu uznanie nawet zdobywców Eigeru. A kiedy strzelec uzmysłowił sobie, że może skuteczniej będzie położyć się płasko na brzuchu, wysunąwszy się do połowy klatki piersiowej nad przepaścią, gotów z tej pozycji strzelać nawet lewą ręką, jeśli zajdzie potrzeba, do żywego dopiekło mu uczucie frustracji, jakiej doznał widząc, że jego cel zdołał tymczasem zsunąć się za dostatecznych rozmiarów wypukłość na zdawałoby się płaskiej skale i znalazł się cały poza zasięgiem jego wzroku.

Kiedy jego niedoszły morderca mógł wyszukiwać w swym umyśle powody tłumaczące wymknięcie mu się Simona, ten ostatni daleki był od uczucia, że jest wolny i bezpieczny. Uprawiał trochę wspinaczki górskiej, tak jak próbował wszystkich innych niebezpiecznych sportów w swoim czasie i miał wyrobione mięśnie i sprawność fizyczną, czego mogło mu pozazdrościć wielu zawodowców, lecz nigdy nie twierdził, że jest wybornym alpinistą.

Wysokooktanowa adrenalina była podstawowym paliwem napędzającym Świętego

przywartego jak mucha do prawie prostopadłej ściany.

Palcami nóg szukał nierówności, dających najmniejszą choćby krawędź do podparcia się, palcami rąk czepiał wyłobień i szczelin, które tylko przez stulecia działania atmosfery mogły zostać wyżarte w tym nieprzyjaznym kamieniu.

Nie mając czasu do zastanawiania się nad precyzją i techniką, podejmował ryzykowne decyzje, na jakie nie ważyłby się żaden doświadczony alpinista. Ciężar swój powierzał występom, za które chwycił rękami nim wypróbował ich wytrzymałość. Jeden z nich osunął się, odłamek skały, który runął w dół między drzewa, pozostawił go przez jedną rozpaczliwą chwilę bez żadnego podtrzymania z wyjątkiem tarcia ciała przyciśniętego do ściany skalnej. Jednak nawet gdy się ześlizgiwał, ręce pośpiesznie szukały jakiejś szpary na pochyłości i znalazły szczelinę z boku. Cały ciężar jego ciała zawisł na czubkach palców, zakołysał się niby wahadło, a ścięgna nadgarstków trzasnęły głośno wskutek gwałtownego naprężenia.

Potem palce nóg drapiące skałę napotkały inny miniaturowy występ i Simon podjął na nowo swe haniebne szalone schodzenie.

Po nieskończeniu długim czasie coś otarło się o jego plecy, co, jak się przekonał, było obładowaną owocami gałęzią. Zrobiwszy szybki skręt uchwycił się jej, skoczył na ziemię i zaczął biec wśród drzew.

Daleko w górze, poprzez czyste powietrze, usłyszał warkot rozrusznika i ryk silnika samochodowego. Ktoś tam na górze w końcu sobie uświadomił, że mogą być lepsze drogi odcięcia go od kierunku jego przeznaczenia niż w punkcie początkowym.

Pobiegł.

Połać odkrytej łąki oddzielała sady, i kiedy ją przebiegał, wysoko z tyłu nad nim rozległy się jakieś gwałtowne echa i coś gwizdnęło mu koło ucha i z łoskotem upadło na darń. Przyjął to ze spokojem, który w niemałej mierze zawdzięczał chłodnej ocenie, że z tej odległości broń

ręczna była mniej więcej tak niebezpieczna, jak gwałtownie rzucony kamień. W

poważniejszym stopniu groziło mu co innego, czym można było się przejąć: jak przez mgłę usłyszał wycie przeciążonego silnika i ogromna czarna limuzyna, dziwnie przypominająca filmy o okresie prohibicji w Ameryce, z łoskotem wpadła na drogę biegnącą w dół skały w pobliżu domu i skręcała ku wiosce. Jej zamiary były widoczne, sądząc po wariackiej szybkości, z jaką zjeżdżała, i sposobie, w jaki brała zakręty na samym brzegu drogi, wznosząc tumany pyłu i żwiru. Nawet mimo iż jego skalna eskapada była zakończona, ciągle jeszcze drogę mógł mieć odciętą...

Święty przyśpieszył kroku i właściwie spływał po łagodniejszym zboczu, przeskakując kamienne ogrodzenia, przeciwstawiając swoją własną szybkość i swobodę wyboru bardziej okrężnym drogom, którymi samochód zmuszony był jechać. Jak tylko dostał się pod osłonę następnego sadu, skręcił gwałtownie w prawo i ta zmiana kierunku czyniła go niewidocznym dla obserwujących jego ucieczkę ze szczytu skały. Limuzynę także przesłoniły teraz drzewa, lecz Simon mógł śledzić jej jazdę po odgłosie zmienianych biegów i pisku zdzieranych na zakrętach opon. Czynnikiem rozpaczliwej niepewności było to, w którym miejscu przetną się jego ścieżka i droga.

Ból z tyłu czaszki, gdzie został uderzony, dawno już minął lub też wyparły go ze świadomości bardziej imperatywne nakazy dla jego uwagi. Przed nim wyrosło nowe ogrodzenie, zrobione z takich samych kamiennych odłamków, układanych bez zaprawy murarskiej, i znów przeskoczył przez nie, jakby biorąc udział w biegu przez płotki, nie zatrzymując się, żeby zobaczyć, co się za nim znajduje. Popełniał nieostrożność, lecz nie miał wyboru: odgłosy nadjeżdżającego samochodu były zbyt bliskie, żeby mógł sobie pozwolić na swobodne rozeznanie sytuacji. Kiedy znalazł się za odgradzeniem, odkrył, że grunt opadał tu o sześć stóp w dół, w miejscu, gdzie przechodziła droga, powodując spadek terenu. Zeskoczył

bez trudu, siłą rozpędu dotykając rękami żwiru, lecz natychmiast znów się poderwał.

Rzuciwszy szybkie spojrzenie dookoła zauważył dach czarnego samochodu ponad szczytami kilku młodych I drzew oliwkowych, jakieś sto jardów w górę pochyłości. Tylko ukształtowanie terenu i zakręt o 360°, który musieli pokonać, przeszkodziły pasażerom samochodu dostrzec go.

Przy ocenie szybkości zbliżającego się pojazdu ten korzystny układ przedstawiał sobą perspektywę zyskania dodatkowych kilku sekund. Odbijając się jak piłka gumowa Simon przeskoczył przez drogę dwoma jeszcze większymi susami i dał nurka głową w dół za niższe ogrodzenie po przeciwnej stronie. Wylądował na plecach, turlając się jak spadochroniarz, i przywarł płasko do ziemi.

Niemal w chwilę później samochód śmignął na zakręcie, ostro zahamował i stanął tuż za miejscem, w którym Simon przebiegł przez drogę. Było to tak blisko, że żwir spod kół posypał się na ogrodzenie, a kurz zawisł nad głową Simona.

Gdyby był opóźniony o ułamek sekundy, schwytano by go na drodze; gdyby jego karkołomny bieg w dół trwał dziesięć sekund dłużej, złapano by go w sadach, które mafiosi właśnie przeszukiwali.

Podnosząc się z niesłychaną ostrożnością, dopóki nie można było wyjrzeć za płot tuż przy nim, zobaczył, jak czterech poszukiwaczy wdrapywało się na wyższe ogrodzenie, żeby rozbiec się pomiędzy drzewami. Kierowca, który prowadził limuzynę po skalnej drodze w dół z szybkością wystrzelonego pocisku, wciąż siedział za kierownicą, a niewiele dalej znajdowały się, całe w plamach od potu, plecy samego Ala Destamia, wykrzykującego rozkazy do idącej przodem bandy jego drabów. Wszyscy przejawiali swoją aktywność w kierunku zakrętów w górę, widocznie w pełni przeświadczeni, że w tym punkcie musieli dobrze wyprzedzić Świętego, a zatem nie należy go szukać poniżej.

Pokusa uderzenia z tyłu była prawie nie do przewidzenia i gdyby chodziło tylko o Destamia lub jego kierowcę, Święty w porywie szlachetności prawdopodobnie by się jej nie oparł. Lecz obaj razem, nieco oddaleni od siebie, przedstawiali zbyt wielkie ryzyko, że każdy chwyt zastosowany wobec jednego mógł drugiemu dać szansę podniesienia alarmu, który przekreśliłby wszystkie łatwe, z góry powzięte koncepcje tropicieli spodziewających się, że Święty wpadnie im w ręce schodząc od strony skały. Niechętnie przyznał, że był to przypadek, w którym rozważania oparte o zdrowy rozsądek winny wziąć górę nad powierzchownymi powabami efektownej sławy.

Odwrócił się, raczej smętnie rozpamiętując bardziej młodzieńczy okres swego życia, kiedy to postąpiłby inaczej, i cicho zapuścił się między krzewy winnicy, w której wylądował.

2

Mógł sobie pozwolić na krótki wypoczynek, podczas gdy ścigający daremnie przeczesywali zbocza powyżej, gdzie, jak sobie wyobrażali, osaczyli go. Z góry zakładając taką koncepcję, upłynęłoby od pół godziny do godziny na utwierdzenie się w przekonaniu, że Święty przemknął się obok, a nie przyczaił się w jakiejś nie odkrytej przez nich jamie. Wówczas musiano by przekazać wiadomość o tym kwaterze głównej, celem podjęcia poszukiwań na szerszą skalę. Byłaby to ogólna akcja, do której wciągnięto by całą mafię i wszystkich jej sympatyków obejmujących większość ludności wyspy. Ręce wszystkich zwróciłyby się przeciwko niemu; Simon zdawał sobie z tego sprawę.

Myśli stawały się bardziej krzepiące w miarę jak wydłużał swoje kroki. Nie dać się schwytać w szpony mafii może być najtrudniejszym zadaniem w jego karierze, podobnej do szachownicy; ale jeżeli wymknie się z tego potrzasku, to potrafi dać sobie radę ze wszystkim. Dużymi krokami przechodził przez tarasowo położone winnice, jedna za drugą, kierując się ku osiedlu w dolinie. *Contadini* na peryferiach już się obudzili i spulchniali ziemię swoich

poetek średniowiecznymi motykami. Zdawali się obojętnie patrzeć na Simona przechodzącego obok, jak gdyby egzystencja w samym cieniu mafii uprawniała ich do obserwacji tylko wtedy, kiedy im szczególnie to przykazano. Widok mężczyzny idącego szybkim krokiem z kierunku, gdzie znajdowała się siedziba mafii, nie wywołał żadnej reakcji poza pośpiesznym odwróceniem wzroku; będą pamiętać jego przejście, jeśli właściwe koła zapytają później, lecz teraz ani nie będą przeszkadzali, ani nie udzielą pomocy.

Simon usunął ich z myśli niby pionki w tej rozpaczliwej grze i nie zatrzymał się ani nie zrobił okrążeń z ich powodu, dopóki nie doszedł do pierwszych budynków miasteczka, gdzie przystanął na krótko, żeby zrobić tyle, ile mógł, dla nadania sobie nieco przyzwoitszego wyglądu.

Jeden rękaw koszuli był nie do naprawienia, rozdarty prawie przez całą długość. Oddarł mankiet i użył go jako opaski, za którą zawinął resztki rękawa. Kiedy zawinął drugi rękaw, żeby oba wyglądały jednakowo, rozdarcie na pierwszym stało się ledwo dostrzegalne. Otarł ręce z brudu, otrzepał spodnie z pyłu tak jak potrafił i przeczesał włosy palcami drgnawszy lekko, kiedy dotknęły wzgórka na potylicy, i robiąc w myśli następny zapis obciążający rachunek Ala Destamia, do wyrównania w momencie końcowych rozliczeń. Po czym tak gotów był do dalszej drogi jak kiedy indziej.

Bezimienne miasteczko, do którego miał wejść, budziło się już do życia i jak każdy mikroorganizm na południu było ruchliwsze w chłodzie poranka, aby smaczniej drzemać w czasie skwarne go popołudnia. Nim w końcu wkroczył w wąską uliczkę prowadzącą zapewne do głównej arterii, Simon obejrzał się w tył, żeby sprawdzić, czy pościg jeszcze nie podąża za nim, i został nagrodzony nieoczekiwanym i przykuwającym wzrok widokiem. Tutaj w dole miał szersze pole widzenia, obejmujące nie tylko więzienie, z którego niedawno uciekł, na zwisającej skale, lecz również wynurzającą się spoza niej górę, pomniejszającą ją, i

wierzchołek, z którego wzbijał się wzwyż cienki pióropusz dymu.

Każdy, kto ma nawet najbardziej powierzchowne pojęcie o wspaniałościach geologii, mógł rozpoznać cechy uspiętego wulkanu; a ponieważ tylko jeden taki znajduje się na Sycylii, zarazem najwyższy w Europie, jeden z największych na świecie, Simon wiedział, że góra, na którą spogląda, to musi być Etna. I poza przypadkowym zainteresowaniem wulkanami, jakie wzbudziła, spełniła ważną funkcję zorientowania Simona co do miejsca, w którym się znajdował.

Dla uzmysłowania sobie mapy Sycylii, jak to zrobił Święty, można by pomyśleć o kawałku pasztetu, przygotowanego do kopnięcia czubkiem buta, którego kształt ma półwysep włoski. Podobieństwo dotyczy jedynie zarysów i nie powinno doprowadzić do żadnej symbolicznej kolizji. Górny bok tego kawałka pasztetu jest właściwie prosty i biegnie od kierunku wschodniego do zachodniego. Wulkan Etna położony jest w samym wschodnim rogu trójkąta. Ponieważ Święty patrzył w tę stronę, a słońce wstawało za górą, wystarczyłaby najprymitywniejsza znajomość geografii lub nawet to, co wie każdy harcerz, żeby Święty sobie uświadomił, że droga biegnąca w dół z miasteczka, do którego wchodził, musi prowadzić na północ i łączyć się z autostradą wiodącą wzdłuż wybrzeża gdzieś między Messyną a Palermo. Dla osób bardziej wymagających ten wniosek mógł się wydawać bardzo daleki od ustalenia dokładnego położenia, lecz Simon uznał te dane za pewnik.

Z głównego placu miasteczka miał wyraźny widok na drogę w dolinie, która je przecinała i biegła dalej w kierunku niewidocznego teraz morza. Wiedział, że ten pas połatanego macadamu był przynętą syreny i że tam czekała go tylko śmierć. Choć droga robiła wrażenie pustej, to przede wszystkim ona byłaby strzeżona, zamknięta albo zastawiono by na niej pułapki. Członków mafii mogły nie obchodzić zbytnio sprawy Destamii, lecz mogliby strzec zazdrośnie własnych prerogatyw, którym Święty stawiał czoło z takim lekceważeniem. A więc

wszystkie ich środki, omotujące jak pajak całą okolicę, zostały zapewne zmobilizowane w jednym prostym celu ujęcia zbiega. I najoczywiściej najpierw obsadziliby główne szlaki. Po przeciwnej stronie placu, przed największym i może jedynym hotelem w miasteczku, grupa wcześniej wstających turystów ładowała swoje bagaże i dzieci do różnych samochodów. Dwie rodziny rozpromienionych Bawarczyków, w nieodzownych skórzanych spodenkach i z brzuchami, które były wynikiem konsumpcji piwa, najwidoczniej podróżujące razem jednakowymi garbusami Volkswagena; Francuz w średnim wieku z niezawodnym peugeotem i efektownym dziewczęciem, które w żaden sposób nie robiło wrażenia jego żony; ogromny combi, którego zbytecznie wydłużone błotniki i tylne światła wielkości pokrywek od pojemnika na śmiecie zdradzały transatlantyckie pochodzenie na długo przedtem niż można by odcyfrować na jego zakurzonej tablicy rejestracyjnej czerwono—czarną tożsamość sił amerykańskich w Europie. Krzykliwa pseudohawajska koszula, niby wdzianko ciężarnej kobiety luźno zwisająca na sfatygowane obcisłe spodnie właściciela łagodziła wyraz pewnej wojowniczości szczęki i stał spojrzenia, jakie cechują zawodowego sierżanta w czasie pokoju czy wojny.

Źdźbło otuchy wstąpiło w serce Simona. W postaci takiego faceta okazja może niezupełnie waliła w jego drzwi, ale przynajmniej mógł usłyszeć jej stukanie.

Począł, aż ostatnia walizka została wepchnięta na platformę auta o wielkości jak w ciężarówce i ostatni wrzeszczący brzdąc schwyty i usadowiony w środku, i podszedł do najbliższego od siebie okna w chwili, gdy kierowca wsiadł i uruchomił silnik.

— Nie znoszę autostopu — powiedział z właściwą mieszaniną amerykańskiej poufałości i rozkazującego tonu — ale czy mógłby mnie pan podrzucić kilka mil wzdłuż doliny?

Musiałem przyprowadzić mój wóz tutaj do warsztatu i będzie gotowy dopiero wieczorem.

Podczas gdy sierżant ze swoją głęboko zakorzenioną podejrzliwością wszystkich

zawodowych podoficerów tego stopnia wahał się, jego żona posunęła się robiąc miejsce na przednim siedzeniu.

— Oczywiście — rzekła podejmując za niego decyzję, jak wszystkie dobre żony amerykańskie. — To żaden kłopot.

Święty wsiadł i ruszyli. Wyobrażał sobie, jak w tym czasie Destamio wraz z pierwszą grupą pościgową debatuje nad tym, że może w ogóle go nie prześcignęli do punktu, w którym zatrzymali się na drodze.

— Co pan tu porabia? — zapytał uprzejmie sierżant po pewnym czasie.

— Spędzam wakacje u kuzynów — odpowiedział zdawkowo Simon wiedząc, że jego czarne włosy i ciemna cera mogły powierzchownie świadczyć o fikcyjnym posiadaniu włoskich przodków. — Mają gospodarstwo trochę dalej w dół drogi. Pierwszy raz jestem tutaj, moja rodzina wyemigrowała, nim się sprowadziłem.

— Skąd pan pochodzi?

— Z Nowego Jorku.

Wybór niewyszukany, lecz mógł być pewien, że nie potknie się na jakichś topograficznych szczegółach, i o dostatecznie obszernym zakresie, żeby nie dać się schwytać w pułapkę nazwisk na wzór pytania: „Czy zna pan Joe Blow?”

— Jesteśmy z Dallas, Texas. Nie bywamy często na przedmieściach.

Wszystko szło gładko i każdego ogarnęłaby pokusa, aby tę pomyślną okazję wykorzystać tak długo, jak będzie trwała jazda, lecz Święty doszedł do swego wieku głównie dlatego, że nie był po prostu kimś. Bardzo prędko jego prześladowcy rozszerzą zasięg swoich poszukiwań na miasteczko, gdzie wkrótce znajdą jakiegoś włóczęgę na placu, który widział, jak mężczyzna o wyglądzie odpowiadającym opisowi Simona wsiadał do nieomylnie amerykańskiego samochodu. Z szybkością kilku rozmów telefonicznych rozkaz zostanie

przekazany współbraciom wzdłuż wybrzeża i jeszcze nim samochód combi tam dojedzie, autostrada w obydwóch kierunkach ożywi się oczami, których uwagi nie umknie. Od tej chwili nie będzie miejsca, gdzie mógłby wysiąść z samochodu bez prawdopodobieństwa obserwowania go i ścigania, a pozostanie w nim oznaczałoby ryzyko narażenia Bogu ducha winnych pasażerów na niebezpieczeństwo związane z każdą hałaśliwą próbą pozbawienia go życia.

Obserwując drogę przed sobą i szukając bocznych traktów, które naprawdę mogłyby prowadzić do jakiegoś gospodarstwa, w końcu wypatrzył odpowiedni zakręt i rzekł: — To tutaj. Proszę nie podwozić mnie pod dom, i tak będzie pan musiał zakręcić, żeby stąd wyjechać. Stokrotne dzięki.

— Było nam bardzo miło.

Simon wysiadł i pokiwał na pożegnanie, kiedy samochód ruszył pędem.

Teraz, dopóki nie zatrzymają samochodu i nie wypytają kierowcy, sfera Destamia będzie częściowo zbита z tropu — chyba że ktoś wpadnie na to, że człowiek idący piechotą może udać się we wszystkich kierunkach, jeśli jest dość głupi, żeby wspinać się na zalaną słońcem górę, zamiast ją obejść. I to właśnie zamierzał zrobić Święty.

Lecz plan nie był dla niego tak szalony, jak mógłby się Wydawać mniej niezwykłemu uciekinierowi. W czasie poprzedniej bytności na Sycylii, jadąc z Messyny do Palermo zauważył sporo ludzi czekających na przystankach autobusowych przy autostradzie, którzy widocznie wysiedli z łodzi, albo mieszkali wśród przydrożnych skał, ponieważ nigdzie w pobliżu nie było widać ludzkich osiedli. Jego towarzysz, który znał wyspę, pokazał drogi pokryte pyłem, wijące się wśród wzgórz i wyjaśnił, że wyżej, w większości dolin, bliżej źródeł cennej wody, są ukryte wioski. Chociaż mogą być tylko o kilka mil odległe od siebie, żeby się dostać z jednej do drugiej, trzeba zejść ku morzu i potem zawrócić okrężną drogą,

lecz o wiele bardziej atrakcyjną w klimacie nie sprzyjającym wzmożonemu wysiłkowi fizycznemu. Dla Świętego jednakże zrobienie czegoś najbardziej nieoczekiwanego było ważniejsze niż oszczędność potu.

A pot, zwykłym językiem mówiąc, był czymś, czego i wymagała taka ekscentryczność, w obfitych ilościach. W miarę jak wznosił się wyżej, to samo czyniło słońce, tłumacząc tym, dlaczego Sycylia nigdy nie stała się letnią Mekką alpinistów. Brak naturalnych warunków i do istnienia tutaj tego sportu, jeśli chodzi o Simona, pogarszał fakt, że musiał walczyć nie tylko ze skutkami łagodnego wstrząsu, jakiego doznał, lecz również że był bez śniadania i od wczorajszego obiadu nie jadł nic ani nic nie pił.

Najlepszym dowodem jego odporności zarówno umysłowej jak i fizycznej było to, że ruszył krokiem, którego nie powstydziliby się turysta niedzielny na jakichś łagodnych wzniesieniach jesienią w Anglii, i utrzymał to tempo. Koszula jego była już przesiąknięta potem, kiedy tarasowate sady i winnice ustąpiły miejsca roślinom krzaczastym i kaktusom na nagim, poszarpanym zboczu góry; lecz słońce jeszcze usilniej starało się naśladować otwór wielkiego pieca. Bardziej dokuczliwa była pokusa skłaniająca myśli do skupienia się wokół zimnych napojów orzeźwiających, co tylko potęgowało mękę pragnienia. Organizm ludzki może obejść się bez jedzenia przez miesiąc, lecz ginie po kilku dniach bez wody. Simon nie miał zamiaru umierać, ale nigdy pragnienie mu tak nie dokuczało, jak w chwili kiedy dotarł na szczyt góry, do której zmierzał.

Było prawie południe i czuł, jakby mózg gotował mu się wewnątrz czaszki. Skały połyskiwały w słonecznym żarze, wywołane upałem złudne obrazy mąciły jego wzrok i krew tętniła w skroniach. Jeśli jednak wybrał właściwą krawędź, mógłby zejść w dolinę, która doprowadziłaby go do morza z całkiem innej strony i na całkiem inny obszar, niż ten, gdzie go szukali ludzie Destamia.

Jakiś szelest, niby liście poruszane wiatrem, doszedł do jego uszu, gdy okrążył wystający wzgórek nieco niżej na zboczu i znalazł się na wprost trzech przestraszonych kóz. Sierść miały zjedzoną przez mole, pokryte były kurzem i wychudzone do ostateczności, co było zrozumiałe, jeśli żywiły się jedynie wyschłą trawą porastającą to spalone słońcem zbocze. Dwie z nich to były samice z dużymi, ale nie rozdętymi wymionami i wyjaśnienie tego szczegółu zaświtało w jego mózgu chwilę j za późno, żeby cofnąć się pod osłonę grzbietu góry. Jednocześnie zobaczył pasterza kóz i spostrzegł, że ten go zauważył.

Przez milczącą chwilę patrzyli na siebie, pasterz równie zaskoczony jak i jego trzódka. Był to szczupły chłopak, tak pokryty kurzem i o tak nędznym wyglądzie jak i kozy, w wypłowiałej koszuli z rękawami oddartymi od pleców i spodniach reperowanych tyle razy, że trudno było powiedzieć, co jest materiałem, a co łątą. Pozwiazana supłami lina służyła mu za pasek i dopełniała jego garderoby; podeszwy bosych stóp musiały być tak twarde jak podkowy, żeby nie zważać na szorstką i wypaloną powierzchnię pastwisk, po której stapały. Odgarnął do tyłu strzechę nie ścinanych włosów, żeby lepiej przyjrzeć się niezwykłemu zjawisku, dziwniejszemu niż wszystkie inne w jego samotnym bytowaniu.

— *Buon giorno* — rzekł uspokajająco Święty. — Piękny dzień na chodzenie po górach.

— *Sissignore* — odrzekł grzecznie chłopak, aby nie obrażać oczywistego wariata. — Pan jest Anglikiem? — zaryzykował pytanie.

Simon skinął głową, uważając, że lepiej zgodzić się na to przypuszczenie, niż być uznanym za wściekłego psa. Dostrzegł skrawek cienia pod występem skalnym i usiadł tam, aby odpocząć chwilę.

— Nie było tak gorąco, kiedy wyszedłem — powiedział, pragnąc usprawiedliwić częściowo swój spacer urągający zdrowemu rozsądkowi.

— Panu musi się chcieć pić — rzekł pastuszek.

Coś w sposobie bycia Simona przewyciężyło jego pierwszy strach, zbliżył się do niego i usiadł obok.

— Mam wargi tak suche, że wątpię, czy mógłbym polizać znaczek.

— Chciałby się pan czegoś napić?

— Och, tak. Wypiłbym chyba ze sześć szklanek — rzekł Simon rzewnie — wysokich i żeby napój był zimny jak lód. Obojętne co by w nich było: sok pomarańczowy, piwo, cydr, wino, sok pomidorowy, nawet woda. Masz może lodówkę gdzieś niedaleko w jakiejś pieczarze?

— Może pan dostać trochę mojej wody, jeżeli pan chce.

Chłopak sięgnął za siebie i wy dostał skórzaną butelkę, którą miał zawieszoną na plecach na szarym sznurku, Wyciągnął korek z szyjki i podał Świętemu, który wziął ją do ręki niemy z osłupienia.

— A ja myślałem, że blagujesz... — Simon podniósł butelkę do ust i pozwolił, aby struga cieplej, kwaśnej, lecz życiodajnej wilgoci spłynęła po mu języku do gardła. W każdej innej chwili omal by nie zwymiotował, lecz w jego sytuacji płyn ten wydał mu się nektarem. Pił drobnymi łykami, żeby wysączyć z niego jak najwięcej wilgoci i aby mieć wrażenie przedłużania tej czynności bez rzeczywistego opróżniania butelki. Oddał ją jeszcze wypełnioną więcej niż do połowy i westchnął z wdzięcznością.

— *Mille grazie*. Być może ocaliłeś mi życie.

Jednak równie dobrze chłopak mógł się przyczynić do jego śmierci. Nie było sposobu, żeby zmusić chłopca do zapomnienia o spotkaniu inaczej, jak uderzeniem go w głowę i rzuceniem ciała w najbliższą przepaść, co byłoby nieco grubiańskim rewanżem za jego samarytański uczynek. W końcu przecież chłopak dowie się o poszukiwanym cudzoziemcu i potrafi wskazać, w jakim kierunku udał się Święty. Za jednym wybrykiem losu Simon utracił

wiele z tego, co z tak bolesnym trudem przychodziło mu zdobyć — a ile, to będzie zależało, jak szybko opowieść chłopca dotrze do któregoś ze ścigających go. Tak czy owak, było to tylko jeszcze jednym niebezpieczeństwem, z którym należało się liczyć.

3

Nie było już nic więcej do zyskania sterczeniem na tej skale niby unieruchomiony myszołów, i ponurym rozmyślaniem. Simon wstał i doceniwszy korzyści krótkiego wypoczynku i odświeżenia się, zrobił ruch ręką w kierunku stromej zbocza.

— Czy tam w dole jest wioska?

— Sissignore. Mieszkam tam. Chciałby pan, żeby pana zaprowadzić?

— Nie. Jeżeli będę szedł w dół, to trafię.

— Kiedy pan obejdzie to wzgórze z dwoma uschłymi drzewami z boku, zobaczy pan wioskę. Ja też zaraz muszę wracać.

— Czas już na mnie, i tak za długo byłem tu z tobą — rzekł pośpiesznie Święty. —

Dziękuję jeszcze raz i niech twoje kozy rozmnożą się jak króliki!

Odwrócił się i żwawo puścił się w dół po zboczu, aby oddalić się od chłopca, uniemożliwiając podjęcie dyskusji nim coś jeszcze mogło ją wywołać.

Zwolnił kroku dopiero gdy nabrał pewności, bez spoglądania za siebie, że pastuszek kóz został na miejscu, bezradnie wznosząc ramionami na tę arbitralność Anglosasów, i gdy spadzistość terenu ostrzegła go, że wykręcona kostka u nogi może w końcu okazać się równie«tragiczna w skutkach jak złamany kark. Musiał przedzierać się przez niebezpieczne pole usuwających się spod nóg kamieni, znajdujące się na bezpośrednim szlaku, który obrał sobie kierując się na dwa uschłe drzewa wskazane mu jako punkt orientacyjny, lecz wkrótce potem, kiedy minął je, wgramolił się na następny nagi garb, skąd powitał go widok usprawiedliwiający cały pot i znój jego wyczynu.

W brunatnym zagłębieniu pomiędzy wzgórzami, daleko w dole skupiły się pobielane budynki jeszcze jednej wioski i spomiędzy nich wybiegała droga ku rozszerzającemu się wąwozowi, pełnemu zakrętów, który w końcu docierał nigdzie indziej jak do wybrzeża.

Trudy jego przeprawy opłaciły się, takie miał wrażenie.

Zejscie z góry zdawało się być zjazdem na sankach w porównaniu z poprzedzającą je wspinaczką. Ludzi, których chodzenie pieszo ogranicza się do chodników, mogłoby to zdziwić, że zejścia w dół po stromiźnie musieliby się uczyć; jest ono prawie tak męczące, jak wspinanie się. To prawda, że Simon wypił szklankę wody, lecz na jej wypocenie miał przed sobą upał popołudnia, bardziej intensywny niż późnego poranka, jeśli to możliwe. Śniadanie jego składało się wyłącznie z powietrza i teraz gromadził więcej tego samego menu na lunch.

Gdyby był skłonny do roztkliwiania się nad samym sobą, mógłby zsumować, że usycha z pragnienia, słabnie z głodu, upada ze zmęczenia i jest spieczony do granic wyczerpania; lecz nigdy nie pozwalał sobie na takie uzalanie się. Przeciwnie, nowa nadzieja ożywiła jego kroki i pomogła mu zapomnieć o zmęczeniu.

Jednakże bardziej trzeźwa i obiektywna ocena zawierała ostrzeżenie, że nie może bez końca ciągnąć tylko siłą woli i nagromadzonymi rezerwami energii. Musi znaleźć w wiosce coś do picia i treściwy posiłek. Gdyby ją ominął, mógłby dotrzeć pieszo do wybrzeża, ale w takim stanie, że nie byłby zdolny uporać się ze sługami mafii, których prawdopodobnie spotkałby tam albo natknąłby się na nich na drodze. Ryzyko zwrócenia na siebie uwagi w wiosce byłoby zrównoważone takim pokrzepieniem ciała i ducha, jakie istniejące tam środki mogłyby mu zapewnić.

Gdy zbliżał się coraz bardziej cierpiąc wszystkie trudy wynajdowania drogi (bo tę cenę musiał zapłacić za odrzucenie propozycji pastuszka, który mu ją chciał pokazać), usłyszał echo bicia dzwonu w kościele, który na pewno tam się znajdował, oznajmiającego połowę

godziny, pół do pierwszej, jak to pokazał jego ręczny zegarek. Dziesięć minut później przypadkowo natknął się na dobrze wydeptaną ścieżkę, na którą gdyby wszedł wcześniej, dojście do tego miejsca prawdopodobnie kosztowałoby go o połowę wysiłku mniej, lecz która ułatwiła mu chociaż ostatni kwadrans męczącego marszu do położonych na samym skraju domów.

Ta zwłoka jednak mogła nie wyjść mu na złe, mogła też stworzyć warunki bardziej sprzyjające jego przybyciu. Była to chwila, gdy zgromadzeni pod swymi dachami mieszkańcy spożywali z powagą swoją *colazione*, południowy i najważniejszy posiłek wieśniaka tych stron, i zgodnie z rytuałem, nasyceni, powinni jeszcze poddawać swój przewód pokarmowy pracy soków trawiennych w czasie nie mniej świętej formalności sjesty. Nawet jeżeli wszyscy zostali już zaalarmowani, co samo w sobie wydawało się raczej niemożliwe, w takiej chwili liczba otwartych oczu, które by go dostrzegły, była najmniejsza.

Żałosne kamieniste tarasy, stanowiące ostatni etap jego wędrówki przed miasteczkiem, zeschnięte zboże i rzadkie karłowate drzewa, zawczasu przygotowały go na ubogi wygląd tego skupiska ludzkiego. Trudno sobie było wyobrazić, jak nawet taka skromna gmina mogła utrzymać się z tej wybidzonej okolicy, o ile ktoś się uprzednio nie zetknął z takim cudem ekologii na południu. Ale Święty wiedział, że w obrębie tego nędznego mikroorganizmu znajdzie wszystko, co zaspokoi podstawowe wymagania cywilizowanego człowieka.

Podobnie jak wszystkie wioski sycylijskie, których była prototypem, nie miała ulic szerszych niż na kilka stóp. Problemy ruchu motorowego wciąż jeszcze należały do jej szczęśliwej przyszłości. Kręte uliczki pomiędzy tymi domami, wzbraniającymi się przed bliźniaczym złączeniem ich z sąsiednimi, zbiegały się na placu, który z szacunkiem należy nazwać miejskim. Uznawszy obranie tej wyraźnej drogi za nieuniknione, Simon wkroczył na nią śmiało, jakby wiedząc dokładnie, dokąd zmierza, w uliczkę zaśmieconą odpadkami,

wtłoczoną między wysokie mury, z których zwisały zwiedłe kwiaty, i dotarł do centralnego *piazza*. Okna domów wychodzące na plac były szczelnie zasłonięte okiennicami, nadając scenerii atmosferę nieskończonej senny.

Simon zwolnił kroku, dostosowując tempo do otoczenia, w jakim się znalazł, i próbował uczynić swą obecność mniej rzucającą się w oczy, myśląc o jakimś obserwatorze, jednakże bez sugerowania, iż wchodzi tu ukradkiem w niecznych zamiarach. Lecz nie było żadnych oznak zainteresowania — jego osobą ani że jego zjawienie się czy istnienie w ogóle zostało zauważone. Przenikający wszystko upał tkwił tam jak żywa obecność w braku innego życia. Nic się nie poruszało z wyjątkiem much krążących nad wynędzniałym psem, który spał kamiennym snem w jakiejś cienistej sieni.

Nie było fontanny na środku placu, ale gdzieś w pobliżu musiał być miejski kran, studnia, albo przynajmniej koryto dla koni. Obszedł zachodnią i południową stronę tuż przy budynkach, aby wykorzystać ich cień, zastanawiając się, ile czasu upłynie, nim otworzą pierwszy sklep.

— Hej, Mac! Chcesz się ogolić i odświeżyć?

Niemal podskoczył na dźwięk głosu, jaki w płynnej angielszczyźnie, z ciężkim co prawdą akcentem, dobiegł go, gdy przechodził obok otwartych drzwi. Powyżej widniał niewprawną ręką wykonany napis głoszący: *Paruccheria*. Firanka z paciorków, południowoeuropejska prymitywna, lecz efektowna forma zasłony od much odgradzała wewnątrz od spojrzeń ludzkich i Święty sądził, że jakieś solidniejsze drzwi zostawiono otwarte tylko dla swobodnej cyrkulacji powietrza, podczas gdy fryzjer chrapał gdzieś w głębi, ale widocznie ów artysta już się obudził i ze swej kryjówki śledził, czy potencjalny klient nie przechodzi w takiej odległości, z której można by go nagabnąć.

Simon zatrzymał się, ręką przejechał po swej trzydziestosześciodzinnej brodzie i

udawał, że zastanawia się nad zaletami tego zaproszenia. W rzeczywistości liczył drobne pieniądze, jakie miał w kieszeni i rozważał, czy może sobie na to pozwolić. Zwłoka mniej więcej piętnastu minut nie robi jakiegś istotnej różnicy i może być czymś więcej niż odświeżeniem się dzięki przyływowi nowej energii, której źródłem mogłaby być chwila całkowitego odprężenia. Ogolenie nie tylko uczyni jego wygląd mniej podobnym do wyglądu nieszczęsnego uciekiniera, lecz poprawi nastrój psychiczny, tak że dorówna zewnętrznemu efektowi zabiegu fryzjera. Z pewnością będzie tam woda — sama myśl o tym niemal pchnęła go z siłą odrzutu do wnętrza zakładu — i mógłby też uzyskać sporo informacji... a może nawet dowiedzieć się czegoś bardziej światowego, nad czym warto by się zastanowić. Argumenty wirowały w jego głowie przez mikroułamek czasu potrzebnego, żeby je zestawić z sobą, i wybór został dokonany w granicach każdej zwykłej decyzji.

— Przekonałeś mnie, bracie — powiedział wchodząc.

Ogarnął go przyćmiony chłód, odwiecznie zaskakujące zjawisko spotykane wewnątrz grubościennego budownictwa, które zapoczątkowało swój własny system klimatyzacji, nim Carrier spróbował naśladować to w sposób mechaniczny. Na krótko oślepiony ciemnością wnętrza pozwolił się zaprowadzić na fotel fryzjerski, zajmwszy miejsce, w którym doznał prawdziwej rozkoszy, i zawiązać sobie pod szyją czystą serwetkę. Potem, gdy wzrok jego przyzwyczał się bardziej do półmroku, zauważył coś, co w pierwszej chwili poczytał za złudzenie, jakiemu uległy jego udręczone pragnieniem zmysły. Białe pudło ze styropianu stało pod ścianą, wypełnione kawałkami lodu, z których wystawały karbowane kapsle czterech butelek.

— Co pan tam trzyma w lodzie? — zapytał nabrzmiałym emocją głosem.

— Trochę piwa, Mac. Mam parę butelek, jakby ktoś chciał.

— Na sprzedaż?

— Oczywiście!

— Kupuję.

Fryzjer zrobił cztery kroki, żeby dojść do pojemnika, w którym lód zachrząścił w podniecający sposób przy wyciąganiu butelki, i cztery kroki z powrotem. Simonowi, który je liczył, każdy krok wydał się wiecznością. Jeszcze jeden wiek upłynął, nim kapsel odskoczył i dane mu było uchwycić chłodny, wilgotny kształt, który zdawał się doskonalszy niż kształt najcenniejszej wazy z epoki Ming.

— Salute — rzekł i opróżnił połowę jednym, pełnym zachwytu łykiem.

— Na zdrowie — powiedział fryzjer.

Simon wstrzymał się z następnym łykiem rozkoszując się pierwszą reakcją, jaką chłodny i smaczny płyn wywarł na jego organizm.

— Przypuszczam, że nie ma pan tu nic takiego, co mógłbym przekąsić? — powiedział. —

Zawsze jestem zdania, że piwo smakuje lepiej, kiedy się czymś zagryza.

— Mam dobre salami, jeśli to pan lubi.

— Przepadam za salami.

Fryzjer znikł za inną firanką z paciorków w głębi pomieszczenia i wrócił po chwili z „kilkoma sporymi plastrami na poobijanym talerzu. W tym czasie Simon skończył już swoją butelkę i wymownym gestem wskazał, że do popłukania kiełbasy potrzebna będzie jeszcze jedna.

— Co pana skłoniło do odezwania się do mnie po angielsku? — spytał zaciekawiony podczas otwierania drugiej butelki.

— Po sposobie, w jaki pan się rozglądał, widzę, że nigdy przedtem nie był pan w tym miasteczku — powiedział cicho fryzjer — zaczynam myśleć, kiedy pan miał ostatni raz obcinane włosy i jak pan jest ubrany i jak pan się porusza. Ludzie z różnych krajów mają

swój własny wyraz twarzy i sposób chodzenia. Ubierze pan Niemca w ubranie włoskie, to przecież nie będzie wyglądał jak Włoch. Pracowałem szesnaście lat w Chicago i napatrzyłem się na wszystkich.

Miał pod sześćdziesiątkę i ze swymi gładko ogolonymi, przypudrowanymi policzkami, i łysiejącą głową z kilkoma pasmami włosów starannie zaczesanymi w poprzek, sam przedstawiał sobą obraz fryzjera kosmopolity, który już wyszedł z mody. W jaki sposób i dlaczego wyruszył do Ameryki i wrócił do tej sycylijskiej biedy, Simon nie miałby szczególnej ochoty się dowiedzieć, lecz był pewien, że wkrótce usłyszy tę opowieść, jeśli prawdą jest to, co się mówi o rozmowności adeptów branży golarskiej.

Dopóki sam jeszcze zdolny był mówić, nim usta jego nie zostały zakneblowane pianą i potrzebą zachowania nieruchomej twarzy, Święty pomyślał, że warto spróbować zabezpieczyć się jakąś fałszywą historią o sobie.

— I tylko turysta mówiący po angielsku jest na tyle zwariowany, żeby iść cały czas pod górę tutaj, znad morza, w środku dnia takiego jak dzisiaj — powiedział.

Jeśli ta wersja chwyciłaby, mogłaby na krótko pozostawić go w spokoju i nie łączyć z kimś, kto przywędrował tu przez góry z przeciwnego kierunku. Być może rzeczywiście na bardzo krótko, lecz nie należało gardzić niczym, co mogłoby zmylić ślady.

Fryzjer zręcznie zmył kurz z twarzy Świętego i zastąpił go kojącym balsamem piany. Jego nieprzenikniony ponury wyraz twarzy mógł, jak się zdawało, maskować myśl, że ktoś, kto nie był skazany na stały pobyt w tym zapadłym kącie cywilizacji, nie powinien się skarżyć na przejściowe niewygodę jednodniowej tylko wycieczki, bez względu na trud, z jakim była połączona.

— Domyślam się, że pan bardzo lubi spacerować?

— Ktoś przekonał mnie, żeby zapuścić się w głąb lądu i poznać prawdziwą Sycylię, z

którą zwykły turysta się nie styka — odpowiedział Simon między jednym haustem a drugim z następnej butelki. — Niestety nie zapytałem o szczegóły co do ukształtowania i klimatu.

Cieszę się, że poznałem to miasteczko, ale nie mogę powiedzieć, że z przyjemnością myślę o powrocie tą samą drogą, którą przyszedłem. Czy trafia się tutaj jakaś taksówka, albo czy może jest ktoś, kto wynajmuje samochód?

— Nie, nic z tych rzeczy, Mac. — Fryzjer ostrzył swą brzytwę straszliwych rozmiarów. — Dwa razy dziennie jest autobus. Rano i wieczorem.

— O której?

— Zawsze o szóstej. Którąkolwiek z nich pan wybierze, nie pomyli się pan.

Daleki od żartobliwego nastroju fryzjer zdawał się coraz bardziej ponury, jeszcze przed zilustrowaniem bezdennej prymitywu tej wiejskiej okolicy, dokąd rzucił go zły los. Wielkim palcem dotknął szczęki Świętego, pociągając skórę, żeby ją naprężyć i z przygnębieniem przejechał po niej w dół swym staroświeckim ostrzem.

— Jest pan bardzo nierozsądny, że zadarł pan z tą mafią — rzekł nie zmieniając tonu.

Wiekopomne uznanie należy się Simonowi za potęgę jego panowania nad sobą, która sprawiła, że nie drgnął ani na ułamek milimetra w odpowiedzi na tę celną uwagę. Brzytwa w dalszym ciągu wykonywała swój ruch w dół zbierając szeroką wstążkę piany i zarostu, lecz skóra pozostawała gładka i nie okaleczona, podczas gdy najłżejsze drgnienie z jego strony zarejestrowałoby draśnięcie tak niezawodnie jak sejsmograf. Ostrze z delikatnością pióra opierało się o jego gardło — przez chwilę, która wydawała się bez końca, i fryzjer patrzył mu w oczy pośepnie, na co Simon odpowiedział nieruchomym spojrzeniem.

Następnie fryzjer wzruszył ramionami i odwrócił się, żeby wytrzeć pianę ze swego śmiercionośnego narzędzia o brzeg ponacinanej gumowej miseczki służącej do tego celu.

— Nie rozumiem pana — odrzekł Simon, żeby podtrzymać rozmowę.

— Tylko pan tak mówi. Siedziałem tu i wyglądałem na drogę, skąd ją widać aż do pierwszego zakrętu, pan nie przyszedł stamtąd. Nie, proszę pana, pan przyszedł od strony gór, z Mistretta, i na pewno pan narozrabiał; tam u nich.

Znów przystąpił do wykonywania swego zabiegu na drugim policzku, lecz tym razem Simonowi łatwiej było biernie czekać na dotknięcie brzytwą. Jeśli ten człowiek miał jakieś poważne zamiary natury rzeźniczej, to przecież nie pominąłby pierwszej i najlepszej okazji.

— Co się stało w Mistretta? — spytał Simon z powodzeniem naśladowując brzuchomówcę, bez posłużenia się którymś z zewnętrznych mięśni.

— Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Nie chcę skarżyć na mafię. Ale były telefony, do mnie, aż trzy, w tej nędznej dziurze, no i powiedzieli mi, co mam robić. Dowiedziałem się, jak pan wygląda, że mówi pan po angielsku i że wszyscy mają pana śledzić.

Dalsze udawanie nie miałoby sensu.

— Czy wiedzą, że tu przyszedłem?

— Nie. To taki ogólny alarm. Nie wiedzą, gdzie pan i jest i jeden drugiemu ma powiedzieć, żeby miał oczy otwarte.

— A więc nie taki Sherlock Holmes z pana, że mnie pan wyśledził.

— Niech pan mnie nie drażni. Chciałem usłyszeć, co pan powie, przekonać się, jaki z pana facet.

— Dlaczego nie poderznął mi pan gardła, kiedy pan miał okazję, i może dostałby pan nagrodę?

— Niech pan posłucha, nie muszę pana sam zabijać. Mogę tylko pozwolić panu odejść i potem zatelefonować. Niech mafia to zrobi. Będę siedział cicho i najpewniej załapię trochę drobnych. Niech pan mnie nie drażni.

— Przepraszam — rzekł Święty. — Ale musi pan przyznać, że każdy by się trochę

zdziwił, natrafiwszy w tych stronach na takiego życziwego gościa jak pan.

Fryzjer wytarł brzytwę i znów zaczął ją ostrzyć powolnymi plaśnięciami, i patrzył na lśniące ostrze pod światło padające przez drzwi.

— Nie jestem życziwy ani dla pana, ani dla mafii. Nic dla mnie nie zrobili lepszego niż ja sam. Pomagają zrobić forszę, pilnują cię, tak jak gangsterzy w Chicago. Tylko że w Chicago zarabiałem więcej, mogłem sobie na więcej pozwolić. Ja wiem swoje. Powinienem zostać tam, gdzie mi się dobrze powodziło, ale pomyślałem sobie, że tutaj będzie spokojniej, z ubezpieczeniem społecznym i z tym, co zaoszczędziłem, trochę popracują, żeby starczyło na komorne. Powinienem był się dobrze zastanowić.

— Wszystko to jednak nie tłumaczy, dlaczego mnie pan nie wydał.

— Niech pan posłucha. Kiedy do mnie zadzwonili, podali mi pana nazwisko, Simon

Templar. Prawdopodobnie tym wieśniakom nic to nie mówi. Ale ja bywałem w świecie.

Wiem, kim pan jest. Wiem, że pan dał w kość wielu oszustom. To mi się podoba. W jednej

chwili wydałbym pana, gdybym musiał wybierać moją głowę albo pańską. Ale nie

przeszkadza mi to, że mogę panu pomóc wydostać się z matni i nie mieszać się w to

wszystko. Nawet powiem panu, jak wyjść z miasteczka,

Nagle dał się słyszeć warkot nadjeżdżającego z doliny motocykla, który z rykiem rury

wydechowej wpadł na plac niby wielki szerszeń miotany czkawką. Fryzjer zamarł w bezruchu

nadsłuchując, a Święty zauważył, że krew odpływa z jego twarzy. Skuter, który jak burza

przybył o tej sennej porze dnia, najwyraźniej oznaczał niepokój, a niepokój mogła wywołać

tylko mafia. Podczas gdy fryzjer stał jak sparaliżowany, gama dźwięków odbierana przez

narząd słuchu ich obu powiększyła się o odgłos naciskanych hamulców, których działanie ze

szczytowym piskiem ustało przed zakładem, wróżąc niechybną dezyntegrację.

— Prędko! — szepnął Simon. — Mokry ręcznik!

W końcu pobudzony do akcji rozkazem, który łączył się na szczęście z ustalonymi refleksami przyzwyczajzeń zawodowych, fryzjer podbiegł do pudła służącego podwójnym celom i wyciągnął spod lodu i pozostałych butelek serwetkę nasiąkniętą wilgocią. Pośpiesznie związał ją pod szyją Simona i zakrył jego twarz z wielką zręcznością w chwili, gdy złowrogi odgłos kroków rozległ się na kamieniach i zasłona z paciorków zaszeleściła rozsunięta przez kogoś, kto zajrzał do wnętrza. Była to ciekawa sytuacja, być może bardziej przemawiająca do widzów niż uczestników. Błady strach padł na fryzjera, który mógł wszystko powiedzieć; w rzeczywistości, żeby zdradzić Świętego, nie musiał nic mówić, tylko pokazać klienta na fotelu. Nic nie zawdzięczał Simonowi i szczerze wyznał, że nie zawahałby się nad wyborem między sympatią a swoją własną skórą. Święty mógł tylko czekać, nic nie widząc i nie mogąc się bronić, lecz wiedział, że każdy ruch mógł przyspieszyć krytyczny moment. To nie tylko szarpało nerwy, lecz nie pozwoliło mu rozkoszować się ożywym chłodem wilgoci na twarzy.

Z konieczności tkwił tu w obojętnym bezruchu kosztem rezerw panowania nad sobą, które powinny były się wyczerpać przy zabiegach z brzytwą kilka minut temu, podczas gdy motocyklista chrzęszczącym, niezrozumiałym narzeczem zadawał pytania i rzucał rozkazy. Szczęśliwie nie wykroczyło to poza wytrzymałość nerwów Simona. Odpowiedzi fryzjera były krótkie, również niezrozumiałe, lecz w końcu firanka zaszeleściła znowu, kroki oddaliły się i ucichły na chodniku.

Ręcznik został zerwany z twarzy Simona z gwałtowną szybkością.

— Niech pan wychodzi — powiedział fryzjer chrapliwym głosem, który wydobył się z gardła ściśniętego strachem.

— Co on mówił? — spytał Simon schodząc spokojnie z fotela.

— Niech pan idzie stąd — fryzjer wskazał drzwi drżącym palcem. — To wysłannik mafii,

przyjechał zawiadomić wszystkich ludzi mafii w tym miasteczku. Przekonali się, że z Mistretta pan nie uciekł na wybrzeże, więc będą szukać w górach. Jeszcze nie wiedzą, że pan tu był, ale za kilka minut wszyscy powychodzą i będą się rozglądać wszędzie, tak że straci pan wszystkie szanse. Zabiją pana i jeżeli wykryją, że pan tu był, zabiją i mnie! Więc niech pan wychodzi!

Święty był już przy drzwiach, patrząc ostrożnie przez firankę.

— Jaka to droga, o której pan mówił, żeby wyjść z miasteczka?

— Fuori!

Tylko strach, aby nie usłyszano go na zewnątrz, złagodził w pisk to, co miało być wrzaskiem, lecz Simon wiedział, że wykorzystał resztki gościnności, jaką mu okazano. Jeśliby jej nadużył w ułamkowej części, trzęsący się ze strachu fryzjer z pewnością podniósłby alarm, żeby próbować odeprzeć od siebie wszelkie podejrzenia.

Jedyną pociechą było, że w swej szalonej gorliwości pozbycia się niepożądanego gościa, fryzjer nie miał czasu upomnieć się o zapłatę za piwo i salami, a nawet za golenie, ku zadowoleniu Świętego z zaoszczędzenia drobnych pieniędzy, jakie miał w kieszeni, na inną pilną potrzebę.

— W każdym razie dziękuję za wszystko, przyjacielu — powiedział i wyszedł na plac.

4

Oparty o krawężnik chodnika, nie strzeżony przez nikogo skuter był pokusą, lecz Simon Templar dojrzał do samochodów na długo przedtem, nim wprowadzono pojazdy tego typu i wykrycie, w jaki sposób się go zapala, zajęłoby mu niebezpiecznie długą chwilę. Nawet gdyby mu się to udało, ten środek lokomocji zapewniłby mu wszystko, tylko nie dyskrecję jazdy: hałas jadącego z pełną szybkością pomógłby ścigającym go bardziej niż sfera skrzydlatych ogarów. Z zalem zdecydował, że zalety tego pojazdu nie są dla niego.

Przeszedł przez plac do rogu, od którego główna droga1 schodziła w dół, bacząc pilnie, aby swym krokom nie nadać nawet podobieństwa pośpiechu, czuł się jednak jak słoń, który usiłuje przejść niepostrzeżenie przez osadę Eskimosów. Otwierały się pierwsze nieliczne okiennice, pierwsi nieliczni mieszkańcy, jeszcze senni, ukazywali się w drzwiach i Simon jasno sobie zdawał sprawę, że w każdej tak odizolowanej społeczności zjawienie się kogoś obcego stanowiło przedmiot obserwacji, rozważań i domysłów. W najlepszym wypadku mógł się spodziewać, że wezmą go za żadnego przygód turystę, który zboczył z wydeptanego szlaku, albo kogoś, kto przybył z innej prowincji w odwiedzinach do kuzynów i jeszcze nie został przedstawiony w miasteczku. Upłynęły pierwsze niebezpieczne sekundy i nie podniósł się żaden alarm, pozwalało to więc przypuszczać, że fryzjer w końcu zdecydował się milczeć; gdyby jeszcze teraz zaczął krzyżeć, wysłannik mafii mógłby sobie przypomnieć anonimową postać w fotelu, zasłoniętą ręcznikiem, i zastanowić się... A zatem Święty mógł wciąż mieć nadzieję, że prześliznie się przez pułapkę, nim ta się zatrzaśnie.

I kiedy każdy krok oddalał go od centrum miasteczka i ryzyka całkowitego okrążenia, duch w nim okrzepł i wziął górę nad ciałem, które wypoczęte i odświeżone w zakładzie fryzjerskim szybciej odzyskało siły, do tego stopnia, że gdy Święty zobaczył jakiegoś prostaka, ogromnego, z oczami jak paciorki, uporczywie przypatrującego mu się cały czas, jak mijał ostatnie domy, było to tylko wyzwaniem dla świętego zuchwalstwa, do którego uciekał się dawniej. Rozmyślnie, nie zbaczając z drogi, szedł ku temu spojrzeniu, dopóki nie drgnęło, zachwiane arogancją i poufałością zbliżającego się.

— Ciao — powiedział Święty protekcyjnie, z wyższością neapolitańskiego akcentu. —

Będzie tu za kilka minut. Ale nie gap się na niego tak, bo zawróci i ucieknie.

— No to co mam robić? — mruknął drab.

— Udawaj, że jesteś zajęty czymś innym. A kiedy przejdzie, zagwiżdż „Arrivederci

Roma” bardzo głośno. Usłyszymy i będziemy czekać na niego.

I poszedł dalej nawet nie dbając o to, aby przystanąć i spojrzeć w tył, czy rozkaz został przyjęty z należyтым zrozumieniem, chociaż uczył jakieś swędzenie w karku. Ale odniosło to skutek. Simon przerwał następny kordon i sposób, w jaki tego dokonał, było dowodem, że odzyskał dawną formę. Czuł, że jego morale znów się zaczyna podnosić.

Szedł teraz szybciej, ale tak, że z każdej odległości chód jego robił wrażenie spaceru, dzięki czemu zwracał na siebie mniejszą uwagę, lecz tym zwodniczo wydłużonym krokiem przemierzał przestrzeń w tempie, któremu, aby dorównać, większość ludzi musiałaby biec. Jednocześnie bez przerwy spoglądał na nagie grzbiety gór po obu stronach, czujny na pojawienie się każdego innego strażnika, który mógłby śledzić drogę z wysokości. Droga zakrętami schodziła równomiernie w dół, umożliwiając mu karkołomne tempo marszu mimo dokuczliwego skwaru, i utrzymywał je bez oszczędzania siebie, świadomy tego, że kanion, którym idzie, może być albo jego ocaleniem, albo śmiertelną pułapką.

Gdyby nie spotkał w górach pasterza kóz i potem nie musiał zatrzymać się w miasteczku, miałby możliwość większego wyboru. Może spędziłby noc w bezdrożach górskich i szedł dalej, aż do Cefalu, którego położenie byłby w stanie określić z wysokości jakiegoś szczytu, jeśli zmierzał we właściwym kierunku orientując się według Etny. Ale to było niemożliwe, gdyż widziano go w tamtym miasteczku. Jak dotąd, wyprzedzał pościg i udało mu się również przewidzieć przebieg akcji, lecz tę przewagę utraci z chwilą, gdy rozejdą się dalsze informacje i działalność zostanie skoordynowana. Jego jedyną nadzieją było dostać się na wybrzeże, nim zostanie kompletnie odcięty, i zmieszać się z tłumem, który wciąż jeszcze mógł być zdradziecki, lecz mógł stanowić lepszą ochronę niż skąpa roślinność na nagich wyżynach.

Z kierunku, w którym zmierzał, dochodził jakiś żalony pisk i Simon zwolnił tempo,

usiłując rozeznąć ten odgłos. Powtarzał się w regularnych odstępach, ale nie nasilał; jeżeli następowała jakaś zmiana, to słabnięcie w miarę jak Simon szedł wolniej. Przyśpieszył kroku ze zdwojoną energią i przerywany pisk stał się stopniowo głośniejszy, co wskazywało, że pochodzi od czegoś, co Simon dogania na drodze.

Ostrożność nakazywała trzymanie się w bezpiecznej odległości, lecz ciekawość była równie silnym bodźcem, zresztą nie mógł sobie pozwolić na zwalnianie kroku w nieskończoność z uwagi na jakąś bezimienną przeszkodę. Znów przyśpieszył i oto przeszkoda mignęła mu przed oczyma.

Wkrótce droga robiła dwa kolejne zakręty w kształcie podkowy, umożliwiając mu wyraźny widok na następny odcinek krzemionkowego szlaku na tym samym poziomie, skąd zobaczył, że wyprzedza go *carretera siciliana*, malowniczy wózek sycylijski, zaprzężony w muły, rozstawiony przez pięćdziesiąt milionów pocztówek. Rytmiczne trzeszczenie, które słyszał, pochodziło z jego nierówno nasmarowanych osi. Nie wiózł żadnego ładunku i z wyjątkiem kiwającego się woźnicy, żadnych pasażerów; za to jego boki zdobił taneczny korowód dziewcząt wiejskich i satyrów w wieńcach na głowach, tworząc scenę wyjętą z bachanalii, a splecione z sobą w zawiły wzór owoce i liście na szprychach jego wysokich kół eksplozją zasadniczych barw sprawiały oczom niemal ból.

Bez wahania Simon zszedł z drogi, spuścił się w parów i wybiegł na spotkanie toczącego się wózka.

Kiedy zrównał się z nim, zobaczył, że woźnica, wieśniak z siwymi bokobrodami, wydawał się drzemać z lejcami, które zwisały bezwładnie z jednej ręki i w kapeluszu nasuniętym na oczy, lecz podniósł głowę i spojrzał groźnie, gdy Simon znalazł się w pobliżu.

— *Buon giorno* — Simon wypowiedział utarty zwrot powitalny idąc znów spacerowym krokiem bez śladu zdyszania, żeby nie zdradzić się, że biegł.

— Nie powiedziałbyś, że dobry, gdybyś musiał słuchać, jak moja stara miele jęczorem od samego rana — powiedział z gniewnym wyrazem twarzy woźnica.

— *Cattiva giornata* — odrzekł Święty, zawsze układny w takich sytuacjach.

— *Hai ragione*. Taki dzień jest najgorszy. Napij się.

Wyciągnął spośród stosu łachmanów między jego stopami wilgotną butelką i podał ją Świętemu. W przeciwieństwie do skórzanego bukłaka pasterza kóz, butelka zawierała właściwy trunek, nawet dość chłodny, dzięki parowaniu mokrych gałganów, w jakie była zawinięta.

Święty z radością pociągnął jeszcze jeden długi łyk i zwrócił ją. Woźnica skorzystał z okazji i wypił sam, a ze sposobu, w jaki potrząsnął butelką w górę i w dół, było widoczne, że tego dnia nie pije po raz pierwszy. Święty nie mógł okazać braku wychowania i gdy butelka znów została mu podana, zmuszony był wychylić następny łyk cienkiego, lekko kwaśnego wina, idąc z jedną ręką opartą o wóz dla równowagi, podczas gdy cierpliwe źródło energii powoli toczyło się dalej.

— Dokąd idziesz? — spytał woźnica.

— Do Palermo — odrzekł Simon.

W jego zamiarach leżało, aby Al Destamio, jeśli ta wiadomość dotrze do niego, posadził go automatycznie, że zdąża w przeciwnym kierunku, do Messyny; a tymczasem on rzeczywiście życzył sobie dostać się do Palermo. Czekają tam zbyt wiele pozostawionych samym sobie, nie dokończonych spraw, wśród których Gina była nie najmniej pilną. Z daleka, z góry za parowem, na samym skraju zasięgu słuchu rozszedł się odgłos przypominający brzęczenie szerszenia, który nagle rozrósł się do warkotu silnika samolotowego, a potem huku młota pneumatycznego, który dostał ataku szału.

Nie było żadnym wysiłkiem dla pamięci Simona rozpoznać ten odgłos: zbyt niedawno go

słyszał, o ile nie były to dwa silniki spalinowe wydające z siebie równie nieznośny warkot.

Wysłannik nadjeżdżał od strony miasteczka. I po drodze prawdopodobnie rozmawiał z człowiekiem pikietującym peryferie.

— Trzymajmy się razem — powiedział Święty i zręcznie podskoczywszy znalazł się na siedzeniu obok oburzonego woźnicy.

— Kto cię prosił? — zapytał ten ostatni w gniewnym zamroczeniu. — Co tu robisz?

— Przysiadłem się do ciebie, żebyśmy mogli szybko pojechać do najbliższej *vinaio* i kupić jeszcze trochę tego znakomitego trunku, którym tak szczerze podzieliłeś się ze mną. A to jest na następną rundę.

Simon rzucił pieniądze, które wydobył ze swej kieszeni, na drewniane siedzenie. Suma była niewielka, lecz wystarczająca, aby kupić dwa czy trzy litry wina po niskich cenach lokalnych. Wieśniak spojrzął na pieniądze spod ciężkich powiek i zabrał je bez dalszego protestu. Nawet dał Simonowi jeszcze pociągnąć z butelki, nim ten o to poprosił.

Święty rozluźnił uścisk ręki, którą trzymał butelkę, i wsłuchiwał się pilnie w dudniący łoskot, niosący się echem po ścianach doliny.

— Pij — powiedział zachęcająco — ja cię wyręcę. Mówiąc to delikatnie wysunął lejce zwisające luźno w rękach tamtego. Dotychczasowy woźnica odwrócił się i otworzył usta, żeby znów wybuchnąć oburzeniem, lecz napotkał uśmiech tak anielsko niewinny i przyjazny, że zapomniał, o co mu chodziło, i posłuszny rozsądkowi wypił kolejny potężny łyk. Gdy głowę przechylił w tył, żeby wysączyć ostatnią kroplę z butelki, wózek podskoczył na dobrze wybranej koleinie, tak że spadł mu kapelusz. Simon podniósł go zgrabnie i nałożył sobie, zsunawszy aż na oczy. W jednej chwili jego ramiona opadły zwyciężone wysiłkiem i niedożywieniem, a lejce wysunęły się tak bezszelestnie spomiędzy palców, jak z palców poprzedniego woźnicy.

Czas i wykonanie były znakomite. Gdy skuter z ogłuszającym hukiem dopędził wózek i minął go, kierowca mógł dojrzeć tylko dwóch miejscowych wieśniaków, młodszego, który drzemał nad lejcami, i starego, który po omacku szukał czegoś, co wydawał się zgubić w tyle wozu.

Jednakże goniec nacisnął hamulec i stanął wzbijając kłęby kurzu, dokładnie w poprzek drogi przed nimi. Fakt, że nie groził im bronią, wciąż pozostawiał Simonowi nadzieję, że to tylko zwykła kontrola w celu zapytania woźniców, czy nie widzieli uciekiniera. Jego prymitywne przebranie ciągle mogło odnosić pożądany skutek, podkreślone jeszcze przez autentyczność miejscowego wieśniaka i wóz, na którym jechali.

— *Alt!* — zawołał goniec. — Chcę z wami pomówić.

Mimo upalnej temperatury miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, jakiej wymagał protokół jego bractwa, w której wnętrzu musiał odczuwać wszystkie efekty przenośnej łaźni tureckiej; lecz gdy zsunął swoje ciemne okulary, Simon uświadomił sobie, że już go widział, nawet chociaż byli oddzieleni od siebie zasłoną w zakładzie fryzjerskim. Był to jeden ze strażników o kamiennej twarzy, który nie zmrużywszy oka czuwał wokół marmurowych kolumn palazzo należącego do don Pasqualego, położonego ponad Mistretta.

W pełni świadomy wąskiego marginesu swego ocalenia Święty leniwie ściągnął lejce, żeby ponaglić muły i zbliżyć się jak najbardziej do strzelca — na wszelki wypadek...

— Co to za sposób rozmawiania — utyskiwał właściciel wózka, mrużąc oczy, niezadowolony, że zatrzymano go na drodze.

Wtedy dopiero, zwróciwszy się do swego pasażera, by usłyszeć potwierdzenie tych słów, zobaczył coś, co kompletnie odsunęło wszelkie bardziej skomplikowane afronty od jego zamroczonych myśli.

— Ukradłeś mój kapelusz, *ladrone!* — narzekał. Wyciągnął rękę, żeby odebrać swoje

nakrycie głowy, lecz zmałowane alkoholem jego poczucie celu w połączeniu z instynktowym odruchem Simona, pozwoliło mu tylko zrzucić z głowy tamtego kapelusz, który potoczył się prawie pod nogi przestraszonego motocyklisty. Ten podjechał do wozu, żeby nadać konwersacji tony mniej stentorowe.

Prawa ręka mafiosa sięgnęła do wnętrza marynarki po rzecz, którą powinien był wyjąć na samym początku.

Simon Templar był szybszy. Przesunął się na bok i przełożył nogę przez bok wózka nim tamten był w stanie wystrzelić, po czym rozległ się wyraźny i skuteczny odgłos kopnięcia, gdy czubek jego buta zetknął się dokładnie ze skronią strzelca.

Ten zwałił się bezgłośnie na ziemię i leżał twarzą w kurzu.

Simon schylił się, żeby uderzenie poprawić pięścią, jeszcze gdy jego przeciwnik padał, lecz żaden dalszy wysiłek nie był potrzebny. Motocyklista stracił całkowicie zainteresowanie swoją misją i nie wydawało się prawdopodobne, żeby je odzyskał przed upływem dłuższego czasu.

Święty szybko zabrał mu półautomatyczny pistolet i włożył go sobie pod koszulę, za pasek od spodni. Potem przeszukał pozostałe kieszenie i znalazł nóż sprężynowy oraz dobrze wypchany portfel.

Spojrzał w górę i zobaczył, że jego towarzysz zszedł z wózka i wpatrywał się z rosnącym zdumieniem po kolei we wszystko, co składało się na tę scenę.

— Co się dzieje? — dopytywał się zaniepokojony.

Simon stanął przed nowym problemem. Stary człowiek nie uniknie przypiekania go wkrótce przez mafię i prawdopodobnie czekają go ciężkie chwile, nim zdoła uwolnić się od posądzenia o współudział w ucieczce Świętego, chyba że będzie miał dowód, który przekona nawet zatwardziały, że był tylko jeszcze jedną nieszczęśliwą ofiarą na wydłużającej się ich

liście.

W portfelu przeważała znaczna ilość banknotów wartości pięciu tysięcy lirów, pośród innych, i Simon wyciągnął cztery z nich i wetknął pod worek z melonami, podczas gdy woźnica mu się przyglądał.

— Gdybym ci je dał teraz, mogliby cię obszukać i znaleźli by je — powiedział. — Nic o tym nie mów i zostaw je tam, dopóki nie wrócisz do domu. A kiedy będą cię wypytywać, pamiętaj, że wskoczyłem na wózek i zmusiłem cię, żebyś mi pozwolił tam zostać. Teraz przykro mi, że odpłacam ci się tak niewdzięcznie, ale to będzie mniejsza krzywda, niż gdyby mafia pomyślała, że mi pomogłeś.

— Co tam mówisz o mafii? — wymruczał stary chwiejąc się lekko.

— Spójrz na te ptaki na niebie — rzekł Święty przytrzymując go, i gdy ten podniósł głowę do góry, uderzył go w podbródek tak energicznie i zręcznie, jak potrafił.

Woźnica nie wydawszy głosu zapadł w następną spokojną drzemkę.

Po raz drugi skuter kusił Simona głównie dla swych możliwości pokonywania przestrzeni; i teraz miałby trochę czasu, żeby odkryć tajniki jego mechanizmu. Lecz tylko kapitalny remont mógł go uciszyć, a Simon ciągle tkwił w sytuacji, w której ukrywanie się przedstawiało większe korzyści niż szybkość.

Jednym strzałem przedziurawił zbiornik z benzyną, żeby wyłączyć skuter z dalszego pościgu, i znów ruszył w drogę biegiem, usiłując przewyciężyć upał.

Górska droga wiła się tworząc pętle niby torturowany wąż. Na zakrętach omijających skałę, na którą wejście było niemożliwe, lub jakąś inną przeszkodę natury geologicznej, zwykła ścieżka skraciała drogę idącymi pieszo. Święty wykorzystywał je wszystkie nie zwalniając kroku, mimo że niektóre schodziły w dół pod kątem czterdziestu pięciu stopni i każde poślizgnięcie mogło spowodować poważne okaleczenie.

Zbocza były poszarpane i nagie, rzadko porośnięte j tylko kaktusami i kolczastymi krzewami umacniającymi łupki ich powierzchni i dwukrotnie sam sobie skrócił drogę w poprzek zasypanego kamieniami łóżyska strumienia, wyłobionego w okresie mitycznych deszczów, rezygnując nawet z zejścia nieco bardziej wygodnym szlakiem wydeptanym przez jego poprzedników chodzących skrótami.

Był w połowie jednego z nich, gdy usłyszał wycie przeciążonego samochodu wjeżdżającego pod górę z doliny poniżej i bez pomocy swego daru jasnowidzenia mógł się domyślić, że żaden środek lokomocji o niewinnym turystycznym charakterze nie śpieszyłby się tak hałaśliwie do szarej *cittadine* u wylotu tego zagubionego wąwozu.

Na płaskim łóżysku potoku nie było żadnej osłony i natychmiast zauważono by go z każdego pojazdu przejeżdżającego przez kamienny most czterdzieści jardów dalej. Sam most był jedynym możliwym schronieniem, ale to oznaczało bieg w kierunku zbliżającego się auta, i pewność, że będzie jeszcze bardziej widoczny, jeżeli nie uda mu się wygrać wyścigu. Simon popędził z ponurą determinacją rozrzucając stopami luźno leżące kamienie, a przenikliwy warkot silnika jadącego auta stawał się coraz bardziej donośny. Zanurzył się w cień jedyne go łuku mostu za ledwie na jedno uderzenie serca wcześniej niż samochód zadudnił przejeżdżając po nim i z rykiem zaczął wspinać się na pochyłość. Simon pozwolił sobie na odczekanie pół minuty, aż znikł mu z oczu, a płuca przestały ciężko pracować. Potem wdrapał się na drogę ku górze.

Jego decyzja nieskorzystania ze skutera okazała się słuszna, nawet jeszcze wcześniej niż myślał.

Teraz przez przesmyk pomiędzy wzgórzami, jakie się nim rozciągały, zobaczył błogosławiony błękit Morza Śródziemnego, odległego mniej niż o milę.

Problem jednak polegał na tym, czy zdąży tam dostrzec, nim jego prześladowcy zawrócą i

znów go dościgną.

ROZDZIAŁ 6

Jak Święty brał udział w jeszcze jednym zebraniu

i jak Marco Ponti pośpieszyli z odsieczą!

1

Simon wiedział, jak daleko zaszedł od miejsca, w którym zostawił wózek, i mógł sobie wyliczyć, ile czasu potrwa, nim samochód znów tutaj dojedzie. Gdy biegł, oczyma wyobraźni widział hamowanie samochodu, oględziny ogłuszonego motocyklisty, przywracanie do świadomości i wypytywanie wieśniaka. W ten sposób na teoretycznym zegarze rozwoju wydarzeń rozgrywających się poza nim mógł ustawicznie mierzyć swoje szansę znalezienia się na wybrzeżu, nim pościg samochodowy zawróci — manewr sam w sobie nader czasochłonny na tej wąskiej drodze — i dopędzi go. I duch jego rósł z każdym krokiem, w miarę jak morze migotało coraz bliżej, a perspektywy zarysowujące się w jego umyśle nie były tak szalenie złowróżbne.

Nawet w kwiecie swojej kondycji sportowej musiał by zawodowcom ustąpić około czterech minut na milę, ale w biegu po pochyłości w dół, mógł być bliski ich wyniku. A na szosie będą autobusy, ciężarówki, a ponadto także kolej nadbrzeżna...

Po każdej złej karcie musi nastąpić zwrot, bodajże na krótko, o czym wie każdy gracz hazardowy; i gdy w końcu Święty dotarł do głównej drogi, przeciwnicy wciąż znajdowali się na wzgórzu, tylko teraz rozglądając się za miejscem, gdzie można by zawrócić ogromnych rozmiarów samochód. Wydawało mu się, że naprawdę zaczyna się jego kolej, bowiem o mniej niż stoi jardów na prawo hałaśliwie posuwał się w stronę Świętego przeciążony autobus z budzącym nadzieję napisem PALERMO, wskazującym miejsce przeznaczenia.

W tej chwili nie było widać żadnych innych środków lokomocji ani osobników, którzy by

mogli mieć broń w kieszeni po to, żeby go zatrzymać. Dalsze kroki ku ocaleniu wiodły przez jezdnię i nie wymagały dodatkowego wysiłku poza daniem znaku kierowcy — Hamulce zazgrzytały na znak protestu, autobus gwałtownie zakołysał się i przystanął. Simon wsiadł, drzwi za nim zatrzasnęły się i znów był w drodze.

Lecz gdy płacił za przejazd, zauważył, że jego osoba wywołała lekkie poruszenie wśród pasażerów. Był to miejscowy autobus i podróżni w większości robili wrażenie mieszkańców tej okolicy, gdyż wieźli z sobą swoje plony, potomstwo i zakupy. Może to była przyczyna ich zainteresowania: Święty jako obcy stanowił wyraźnie inny typ, a z braku lepszego zajęcia przyglądali mu się i snuli domysły na jego temat. Jednakże zdawało się, że istnieje jeszcze jakiś podkład wytworzonego napięcia oprócz tej zwykłej wieśniaczej ciekawości. O ile to nie była przesadna zarozumiałość z jego strony, miał wrażenie, jakby inni pasażerowie robili mu więcej miejsca niż sobie nawzajem, i czuł, że odsuwają się od niego tak daleko, jak na to pozwalał tłok w autobusie.

Biorąc pod uwagę woń czosnku i niczym nie przytłumionego potu, która wypełniała wnętrze w najrozmaitszych kombinacjach wraz z innymi nie dającymi się ustalić zapachami, byłoby trudno odgadnąć, co egzotycznego jest w tym, który on rozsiewa, i tego nie powielą działałby nawet najprawdziwszy Sycylijczyk. Może wrażliwość jego była nieuzasadniona, lecz wydarzenia dnia i minionej nocy podważyłyby zaufanie każdego w jego popularność czy urok towarzyski.

Próbował uśmiechnąć się w najbardziej niewinny i budzący sympatię sposób do jednej z kobiet w pobliżu niego, która wpatrywała się intensywnie w jego twarz, co sugerowało skrajną krótkowzroczność albo częściową hipnozę. W odpowiedzi zrobiła znak krzyża i wcisnęła się w otaczający ją tłum z wyrazem panicznego lęku.

Nie robił sobie żadnych złudzeń. Ktoś już go poznał i słowo szeptane rozchodziło się.

Fakt ten można było wyczytać z napiętych kształtów ich ciał, ich kamiennego zneruchomienia lub nerwowego niepokoju i sposobu, w jaki ich wzrok zatrzymywał się na nim i umykał, gdy on spoglądał w ich kierunku. Rysopis Świętego wyraźnie obiegił już całą okolicę z obietnicą nagrody za znalezienie go lub z pogrózkami kary za ukrywanie i w każdym tłumie prawdopodobnie był ktoś, kto o tym wiedział.

Nie wydawało się, aby w samym autobusie znajdowali się najemnicy mafii, lub że już przystąpili do akcji, lecz nie mógł też liczyć na sprzymierzeńców. Żaden z tych ludzi może nie próbowałby napaść na niego, ale też nie udzieliliby mu żadnej pomocy ani nie wypowiedziałyby słowa pociechy. Nawet gdyby nie byli sympatykami mafii, byli od tak dawna terroryzowani, że zrobiliby dokładnie wszystko, co kazałaby im organizacja.

Autobus wspinał się mozolnie pod górę i terkotał niedbale zjeżdżając w dół po zboczach, które wynagradzały jazdę pod górę. Z każdym kilometrem sytuacja stawała się bardziej napięta, lecz nie wynikało to z niezbyt pewnych środków transportu publicznego na Sycylii. Czasem autobus zatrzymywał się, żeby zabrać nowych pasażerów i dać wysiąść innym; i Simon doskonale wiedział, że gdy tylko ci, ostatni dorwą się do telefonów, druty będą huczały od wiadomości, że był widziany.

I na każdym przystanku następowało przegrupowanie osób siedzących i stojących, dopóki wokół niego nie znaleźli się sami mężczyźni, niespokojni, lecz posępni.

Zastanawiając się, jak jeszcze długo może trwać, nim któryś z nich ulegnie pokusie dostania nagrody, zrobił ruch ręką tak, aby znalazła się w pobliżu kolby rewolweru pod koszulą.

Gdyby atmosfera nabrzmiała do punktu zbyt bliskiego eksplozji, musiałby wysiąść przed Palermo. W każdym razie byłoby to rozsądne i ostrożne posunięcie. Nie miał pojęcia, ile czasu potrwa cała podróż, ale na pewno dostatecznie długo, żeby delegacja powitalna

zgrupowała się na końcowym przystanku. Aby rozwiązać równanie na wyjście cało z opresji, należało odgadnąć na ślepo niewiadomą czasu trwania jazdy autobusem, by zyskać maksimum mil od miejsca ucieczki, nim przekazane wzdłuż trasy ostrzeżenia zdołają zgromadzić komitet mający za zadanie zorganizować powitanie go na następnym przystanku. Największą uwagę skupił na podróżnych, którzy stłoczyli się ciasniej, bliscy uduszenia, w swym pragnieniu pozostania poza obrębem zarażenia się od niego, lecz również był na tyle przezorny, że zachował pewną część swej świadomości dla świata zewnętrznego, przez który przejeżdżali. Nie obchodziły go miejsca godne uwagi, jeśli chodzi o scenerię, lecz wszystkie inne pojazdy, których pasażerowie mogli szczególnie interesować się tym pojazdem, w którym on jechał. I nagle ta obserwacja okazała się przydatna. Duża limuzyna amerykańska z wyciem klaksonu wyjechała zza autobusu, jakby zamierzając go wyprzedzić, lecz tylko zrównała się z nim, podczas gdy twarze jadących o smagłej cerze starannie lustrowały wnętrze.

Usiłując nie wykonywać żadnego rzucającego się w oczy ruchu, Simon przesunął się dalej w przeciwnym kierunku, na zgiętych kolanach i z pochylonym kręgosłupem, żeby ująć sobie wzrostu, i starał się tak ustawić, aby głowy innych podróżnych znalazły się pomiędzy równoległe jadącym autem i jego twarzą, co pozwoliłoby obserwować limuzynę i pasażerów wewnątrz.

Manewr był właściwy, lecz pociągnął za sobą typowy zgodny odruch, który go udaremnił. Jego współtowarzysze podróży, gdy spostrzegli samochód jadący tuż obok, rozdzielili się i cofnęli bądź po to, żeby w faryżejski sposób pokazać go, nie pokazując, bądź po to, żeby usunąć się z linii strzału, gdyby do tego doszło. Tak czy owak skutek był równie fatalny. W poprzek autobusu utworzyło się przejście i po obu stronach pasażerowie następowali sobie na odciski, zostawiając pustą przestrzeń między Simonem a oknami. Nawet siedzącym

pasażerom nagle dokuczyła ich pozycja i wstali, żeby dołączyć do stojących, stłoczonych jak śledzie w beczce.

Simon Templar chcąc nie chcąc miał przed sobą niczym nie przesłonięty widok na ludzi jadących samochodem, jak i oni na niego. Lecz po pierwszym spojrzeniu tylko jedna twarz przykuła jego uwagę: twarz mężczyzny na przednim siedzeniu obok kierowcy. Tłusta, zaczerwieniona, nie ogolona twarz, przecięta szczeliną wykrzywionych grymasem bezwargich ust, przypominająca triumfującą jaszczurkę, w chwili gdy rozpoznanie stało się obopólne.

Twarz Ala Destamia.

Simon żałował, że nie ma kapelusza, który mógłby z ironią unieść w pozdrowieniu, co wydawało się jedynym możliwym gestem. W tej chwili. Zamiast tego musiał zadowolić się tylko przesłaniem promiennego uśmiechu i przyjacielskiego kiwnięcia ręką, bynajmniej nie wywołując podobnej reakcji w stosunku do siebie.

Radosna trawestacja grymasu Destamia ustąpiła miejsca złowroziej. Lufa pistoletu automatycznego ukazała się w otwartym oknie samochodu trzymana przez niego oburącz, skierowana ku celowi. Uśmiech Świętego również znikł, gdy gwałtownym ruchem wyciągnął rewolwer zza pasa i przykucnął, żeby schować się za ścianą autobusu, stanowiącą niezbyt pewną osłonę. Nie miał żadnych wątpliwości co do tego, kto zostanie zwycięzcą w tej prostej wymianie strzałów w tych warunkach; lecz gdy towarzysze Destamia przyłączą się do niego, co na pewno zrobią nie dbając o to, ile postronnych osób zginie lub zostanie ranionych, znaczna liczba biernych uczestników prawdopodobnie stanie się pomnikami ku upamiętnieniu jeszcze jednego z niebezpieczeństw neutralności. Lecz chociaż pasażerowie mogli okazać się tchórzliwi i chyba nie zasługiwali na zbyt wielkie względy, Simon musiał myśleć o konsekwencjach, jakie może mieć dla niego pomyslna rozgrywka z kierowcą autobusu przy

tej szybkości.

Problem został opatrnościowo rozwiązany, gdy Destamio nagle znikł. Jego przerażona twarz cofnęła się gwałtownie, a wraz z nią i samochód, jak gdyby szarpnięty jakimś gigantycznych rozmiarów hakiem tkwiącym w nawierzchni jezdni; dopiero po chwili Simon zrozumiał, że stało się tak dlatego, że kierowca musiał z całej siły przyhamować i zjechać w tył za autobus, żeby uniknąć czołowego zderzenia. Ledwo limuzyna zdążyła się schować, olbrzymia ciężarówka z dwiema przyczepami hałaśliwie przejechała w przeciwnym kierunku, a za nią długi wąż trąbiących samochodów, którym tarasowała drogę.

Święty nie czekał, żeby zobaczyć coś więcej. Jego anioł stróż wyraźnie usiłował przejść samego siebie, lecz nie było żadnej gwarancji, jak długo potrwa ten osobliwy wysiłek. Musiał go wykorzystać jak najlepiej, dopóki trwał, i to nim przerwa w ruchu na sąsiednim paśmie da szoferowi mafii szansę następnego zrównania się z autobusem.

Przez szeroką szybę można było dojrzeć krańce miasta i trzepoczący znak zębatego koła z międzynarodowym zaproszeniem do odwiedzenia Rotary Klubu, za którym następował napis CEFALU. Teraz wiedział, gdzie się znajduje, i tymczasem to wystarczyło. Kiedy znów przepychał się do przodu i ku drzwiom jeden z mężczyzn siedzących bezpośrednio za szoferem nachylił się szepcząc mu coś do ucha i autobus zwolnił.

— Nie ma potrzeby się zatrzymywać — powiedział Simon wyraźnie — nikt jeszcze nie chce wysiadać.

W tej chwili znajdował się w prawym rogu autobusu, zwrócony plecami częściowo ku przedniej szybie, a częściowo ku drzwiom, i z bronią w ręku widoczny był dla wszystkich, lecz kierowca był pod tym względem uprzywilejowany.

— Powiniennem tutaj się zatrzymać — wymamrotał tenże wykonując wahadłowy ruch nogą pomiędzy hamulcem a pedałem gazu.

— Ten przystanek właśnie został zniesiony — powiedział Święty i jego wskazujący palec lekko poruszył się na spuście. — Jedź.

Autobus toczył się dalej, a pasażerowie patrzyli na niego spode łba, ponuro, nie próbując unikać dłużej jego spojrzenia z wyraźną pretensją z powodu niebezpieczeństwa, na jakie ich naraził, w sposób bardziej gwałtowny i bezpośredni niż gdyby był nosicielem zarazy, lecz nie wiedzieli, co czynić. Simon zachował czujność w równym stopniu na wszystko i pozostawił swej broni utrzymanie grozy całej sytuacji. Wszyscy ją rozumieli i nie zamierzali dyskutować; szofer patrzył nieruchomo przed siebie i ścisnął kierownicę, jak gdyby to był wijący się wąż.

Z tyłu dochodziły powtarzane odgłosy klaksonu ścigającej go limuzyny i świeże krople potu zrosiły wilgotne już czoło kierowcy. Przez całą długość autokaru i ponad głowami pasażerów Święty mógł widzieć ukazującą się raz po raz limuzynę, jadącą tuż za nim, niecierpliwie wyczekującą okazji, aby znów znaleźć się obok, lecz wzmożony ruch od strony miasta nie pozwalał na to. Natomiast w autobusie pasażerowie skupili się teraz z tyłu zasłaniając perspektywę tak, że do Świętego nie można było celować od tej strony. Jednakże przy wszystkich tych sprzyjających okolicznościach sytuacja taka była tylko chwilowa: bardzo prędko światła na skrzyżowaniach, policjant regulujący ruch lub jakaś inna przeszkoda mogły ją zmienić, albo też mafiosi w przystępie desperacji mogli zacząć strzelać w opony. Simon uznał, że lepiej nadal mieć inicjatywę w swoim ręku, póki ją jeszcze miał. Długim spojrzeniem ogarnął drogę przed sobą, po czym odwrócił się w stronę pasażerów z ruchem ręki domagającym się na powrót posłuchu, nim którykolwiek z nich mógł wykorzystać chwilę jego nieuwagi.

— Połóż nogę na hamulcu — powiedział do kierowcy — ale nie naciskaj, dopóki ci nie powiem. A potem do deski — albo wyjdiesz cało — albo zginiesz, co wolisz.

Zrobił w pamięci odbitkę następnego ćwierćmilowego odcinka drogi i czekał teraz na pierwszy wyróżniający się punkt, jaki mieli minąć.

— Trzymajcie się, amici — ostrzegł pasażerów. — Zaraz będzie gwałtowne hamowanie, a ja nie chcę, żebyście poupadali na nosy albo na ten bardzo twardy kawałek metalu.

Znów gdy tłum się na chwilę rozsunął, Świętemu mignęła limuzyna, wysuwająca się ostrożnie za lewy tylni błotnik. A sklep z winem, który obrał sobie jako punkt orientacyjny, był akurat w prostej linii z szoferem. Czas był obliczony znakomicie.

— *Ora!* — wrzasnął i zebrał wszystkie siły.

Zahamowany gwałtownie autobus zatrząsł się i zwolnił. Stojący pasażerowie potykali się, wpadali na siebie i przeklinali, lecz cudem trzymali się różnych oparc i poręczy, w ten sposób unikając przewrócenia się i potoczenia lawiną ludzką na Simona. A od tyłu dał się słyszeć stłumiony trzask, któremu towarzyszył lekki, nieszkodliwy wstrząs, co było najlepsze ze wszystkiego, czego mógł się spodziewać.

Ledwo autobus zatrzymał się całkowicie, Święty znalazł się przy szoferze, szybkim ruchem wyłączył silnik i zabrał kluczyk.

— Każdy, kto wyjdzie szybciej niż za dwie minuty, prawdopodobnie będzie zastrzelony — oznajmił i pociągnął dźwignię, która zamykała i otwierała drzwi najbliższej niego.

Teraz wysiadł i jedno spojrzenie rzucone za siebie potwierdziło, że limuzyna mafii w najbardziej udany sposób zespolona została z tyłem autobusu, który z tak przesadną ambicją starała się wyprzedzić. Drzwiczki były jeszcze zamknięte, a pasażerowie znajdujący się wewnątrz, o ile nie ranni poważnie, widocznie próbowali ciągle podnieść się z podłogi lub też w inny sposób wzajemnie sobie pomóc. Samochód mógł albo nie mógł być zdolny do kontynuowania pościgu przez dłuższy czas, lecz autobus poważnie zatarasował dostęp wszelkim pojazdom do uliczki, w poprzek której stanął z taką symetrią, że Święty nie

potrafiłby tego zrobić lepiej, gdyby sam prowadził.

Simon schował pistolet z powrotem za pasek pod koszulą w ostatniej sekundzie przed wyjściem z autobusu, tak że niczym nie rzucał się w oczy z wyjątkiem faktu, że szybkim krokiem oddalał się od miejsca interesującego wypadku, zamiast zdążyć tam pośpiesznie, jak każdy normalny tubylec. Lecz nawet jeśli tak było, ci, którzy go mijali, byli prawdopodobnie zbyt zajęci rozpychaniem się w celu zapewnienia sobie miejsca w pierwszym rzędzie gęstniejącego tonu, aby zwrócić uwagę na jego ekscentryczne zachowanie.

Szedł uliczką aż do skrzyżowania i jeszcze węższym przejściem, i zdając się na los szczęścia skręcił w lewo. Kilka domów dalej, po prawej stronie, chłopak w brudnym fartuchu wysypywał śmiecie z wiadra do jednego z szeregu przepelnionych pojemników i wszedł z powrotem przez znajdujące się obok obdrapane drzwi, skąd wydostała się prawie namacalna chmura zapachów jedzenia i przypraw, nim znów się zamknęły. Nozdrza Świętego rozszerzyły się, gdy poczuł zapachy, powonienie potwierdziło to, co ujrzały oczy, z zastrzeżeniem, że były to tylne drzwi restauracji, a bardziej zachęcające wejście do niej musiało się znajdować z przeciwnej strony. Bez wahania otworzył drzwi i wszedł do kuchni pełnej oparów i nadal nie zatrzymując się, przeszedł przez nią tak, jak gdyby był jej właścicielem, i ze swobodnym kiwnięciem ręki oraz uprzejmym „Ciao”, rzuconym do nieco zmieszanego kucharza, wyciągającego jardy spaghetti z ogromnego garnka, skierował się w stronę drzwi, przez które właśnie przeszedł kelner. Zaprowadziły go prosto do sali restauracyjnej, gdzie inni kelnerzy i goście obojętnie potraktowali go jak kogoś, kto miał coś do załatwienia i w kuchni albo w toalecie i oszczędzili mu drugiego spojrzenia, gdy zmierzał spokojnie, bez zbędnego pośpiechu, do drzwi frontowych i wyszedł na ulicę.

Wiedział już, że trzy czy cztery przecznice dalej Al Destamio ze swoją zgrają mogą wpaść na jego trop znów tylko przypadkiem. Ale to bynajmniej nie znaczyło, że jest bezpieczny. O

ile nie potracili przytomności w tym zderzeniu, co było nieprawdopodobne, mafia wiedziała teraz, że Simon jest w Cefalu, a obszar miasta czynił je pułapką śmiertelną w stopniu nie mniejszym niż ostatnie górskie miasteczko.

Jedynym sposobem było opuścić je możliwie jak najspieszniej. Na następnym skrzyżowaniu zanotował nazwy ulic przecinających się z sobą i kupił przewodnik z mapą miasta w najbliższym kiosku z gazetami. Szybko ustalił, w którym miejscu się znajduje i wyruszył w kierunku dworca kolejowego w nadziei, że złapie tam jakiś pociąg, nim Bezbożni zreorganizują się i pomyślą o nowym posunięciu.

Na dworcu kłębił się barwny i międzynarodowy tłum turystów, a ponadto normalna liczba miejscowej ludności podróżującej w swoich zwykłych sprawach. Simon wmieszał się w hałaśliwą grupę francuskich studentów, śpieszących ku wejściu na peron do pociągu już stojącego. Nie wiedział, dokąd odjeżdża, ale to miało drugorzędne znaczenie. Mogła to być tylko Messyna albo Palermo, i jedna, i druga miejscowość była dobra tak długo, jak będzie się znajdował w pociągu nie zauważony. Fortuna wciąż zdawała się wygładzać jego drogę: studenci byli ubrani bardzo podobnie do niego i gdyby zaszła potrzeba i on mógłby uchodzić za Francuza. Każdy, kto nie był zbyt podejrzliwy, wziąłby go za ich opiekuna czy przewodnika. Tylko nieliczni mafiosi rzeczywiście znali go z widzenia, a innym opis słowny chyba nie wystarczał, żeby go rozpoznać w grupie, do której się dołączył. Szansę przeciwko wyborowi dworca jako miejsca zasadzki przez ludzi Destamia, którzy widzieli go osobiście, miały rozsądne podstawy. Rozwahał to wszystko ku swemu zadowoleniu, kiedy nagle zobaczył Lily stojącą przy wejściu na peron i dokładnie w tej samej chwili ona zobaczyła jego.

2

W ułamku sekundy pomiędzy jednym krokiem a drugim uporządkował i ocenił wszystkie

możliwości łączące się z jej obecnością tutaj i snuł domysły, co mogło z tego wyniknąć, i jak dalece sam mógł zapanować nad sytuacją. Wykluczał zbieg okoliczności. Wszystko w jej postawie i miejsce, gdzie się znajdowała, przemawiało za tym, że czeka na kogoś, i nawet przy najbardziej bujnej wyobraźni trudno było przypuszczać, że ktoś inny może wchodzić w rachubę. Chociaż Święty automatycznie złe zamiary w stosunku do niego łączył z mężczyznami, ona była jedną z nielicznych osób w bezpośrednim otoczeniu Destamia, która miała dane na to, aby go odnaleźć w każdym tłumie. Z najbardziej ogólnej oceny wynikało jednak, że prawdopodobnie nie wysłano jej tutaj po tym, jak wysiadł z autobusu. Mogła być tylko częścią ogólnej sieci rozciągniętej po całej okolicy; ale ponieważ potrafiłaby go zidentyfikować, powierzono jej jeden z najważniejszych punktów strategicznych.

Simon Templar postawił swoją drugą nogę z chłodnym szacunkiem dla sprawności morderczych poczynań okazanych jeszcze raz przez stronę przeciwną, teraz wiedząc jednak dokładnie, jak wygląda ogólna sytuacja w momencie, kiedy go osaczano, i jakie wyjście miałby dla siebie.

Szedł ku niej nadal, jak gdyby umówili się na spotkanie, z uśmiechem, który nie tylko nie przygasł, lecz stał się jeszcze bardziej promienny, w miarę jak podchodził bliżej.

— No, no, no — szepnął z wesołym akcentem, który zawsze był najweselszy, gdy wszystko dokoła było najbardziej ponure. — Kiedy widzieliśmy się ostatni raz? Wydaje mi się, jakby to było milion lat temu!

Ujął mocno obie jej ręce i patrzył z tkliwością w gigantyczne matowe okulary ozdobione na brzegach plastikowymi kwiatami. Ciekaw był, jakie ma oczy i czy w ogóle je kiedykolwiek zobaczy. Może ich nie miała. Na szczęście jej pełne czerwone usta zamknięte były tylko szminką. Pocałował ją drugi raz i znów uczuł smak ciepłej farby.

— Nie krzycz i nie próbuj udawać, że cię znieważam — powiedział z tym samym czułym

uśmiechem — bo gdybym musiał, rozkwasiłbym ci nos i wybiłbym ci wszystkie przednie zęby, zanim ktokolwiek mógłby się zjawić na ratunek. A szkoda byłoby, żeby taka śliczna buzia jak twoja była pogruchotana jak błotniki starego grata. Trzymał jej ręce, na wszelki wypadek, lecz opór, jaki wyczuł, był słaby i chwilowy.

— Dlaczego? — spytała tym głosem, w którym monosylaby dźwięczały jak nuty w organach, i równie mało było w nich indywidualnej ekspresji.

— To znaczy, że nie czekasz tu na mnie?

— Dlaczego miałabym czekać?

— Bo Al cię przysłał.

— Po co?

Była to znakomita obrona. Roześmiał się.

— Nie mów mi, że zapomniałaś o ostatnim poleceniu, o którego przekazanie cię prosiłem.

Zrobiłaś to, prawda?

— Tak.

— Więc wiesz, jak sprawy Ala stoją. Od tego czasu próbuje działać jeszcze więcej. Nie mówił ci, dlaczego chce na mnie położyć łapę?

— Nie.

— Wpadłaś, Lily — powiedział Simon ze spokojem. — Więc jesteś tu po to, żeby mnie wskazać tłumowi, a nie po to, żeby się rozejrzeć za kimś, kto by cię poderwał w tej nowej sukience.

Posłuszna obyczajom zwykłego włoskiego miasta miała na sobie kloszową spódniczkę, zakrywającą do połowy jej fantastyczne nogi, lecz górna część jej figury była wyraźnie zarysowana pod sweterkiem bez rękawów, w którym nie pozwolono by jej przekroczyć bram Watykanu.

— Gdzie są chłopcy? — spytał z natarczywością, która podkreślona została na zewnątrz tylko niewidocznym zacieśnieniem uścisku rąk.

Lily poruszyła lekko głową, jakby rozglądając się, lecz tego nie można było sprawdzić przez bogato ukwiecone okulary.

— Nie wiem, o co ci chodzi — powiedziała.

Nie wypuszczając jej rąk ze swoich, jak gdyby to był tylko mimowolny krok walca w czasie umówionej schadzki kochanków, zrobił obrót, żeby zmienić ich pozycje, tak że stanął plecami do poręczy, ale nie zobaczył nic, co by wskazywało, że jacyś mafiosi otaczają go lub że czekają na umówiony znak, żeby to zrobić. I stawał się coraz bardziej zachwycony faktem, że ona wciąż nie okazywała najmniejszej chęci wołania o pomoc legalną czy nielegalną. Jego pogrożka mogła ją powstrzymać na początku — dość długo, żeby przez ten czas poprawić swoją strategiczną pozycję, ustawiając Lily jako osłonę w pierwszej linii ognia, ale teraz powinna była zastanowić się nad jakąś kontrakcją. Chyba że jej mózg był tak jałowy jak mowa.

Jeśli była wokół jakaś broń, to bardzo małego kalibru. Ale wzrastała szalona myśl, że nawet może nie być żadnego. Stacja kolejowa Cefalu leżała na uboczu i słaba była szansa, w rodzaju nieprawdopodobnej możliwości, że posłano tam dziewczynę, żeby go wysłedziła tak, na wariata, bez żadnej większej obstawy. Można sobie było wyobrazić, że gdyby jakimś dziwnym trafem zjawił się tam, potrafiłaby go przytrzymać jawnie lub ukradkiem, dopóki...

— Nie trzeba, aby nas tu widziano razem — powiedziała. — Może pójdziemy dokądś i porozmawiamy?

Simon chętnie przyjął tę propozycję, żeby wykorzystać ją do późniejszego triumfu.

— Dlaczego nie? — rzekł.

Obrócił ją i zmienił swój uścisk szybciej niż mogłaby wykorzystać chwilę swobody. Teraz

uchwycił palce jej prawej ręki swoją lewą i ująwszy ją pod ramię, prowadził żwawo ku wyjściu z dworca, przytuloną niemal nierozzerwalnie do swego boku, jak gdyby byli bliźniętami syjamskimi. Szła jednak tak posłusznie jak marionetka; i jeśli jacyś ludzie Destamia czekali na znak od niej, nie wydawało się, aby go otrzymali.

Przed dworcem otworzył drzwi pierwszej z brzegu taksówki i wsiadł za nią, nie wypuszczając jej ręki.

— Przypuszczam, że znasz to miasto — powiedział. — Gdzie jest jakieś bezpieczne miejsce, żebyśmy mogli pójść bez prawdopodobieństwa natknięcia się na Ala albo któregoś z jego kumpli?

— Do hotelu Baronale — powiedziała od razu i Simon powtórzył to kierowcy.

Oczywiście hotel Baronale był przede wszystkim miejscem, którego należało unikać, ale Simon poczekał, aż zakręcili w pierwszą przecznicę, nim nachylił się do przodu i podał szoferowi ponad jego piecami banknot wyjęty z ukradzionego pliku.

— Boję się, że żona jedzie za mną — rzekł ochryłym i głosem. — Niech pan próbuje pozbyć się tych, co depczą nam po piętach. I zamiast Baronale, myślę, że będzie bezpieczniej, jak wysiadziemy przy katedrze, jeśli pan mnie rozumie.

— Czy ja rozumiem? — powiedział szofer z entuzjazmem. — Tyle mam sympatii dla pana, że wstyd mi brać te pieniądze.

Jednakie udało mu się w dostatecznym stopniu stłumić uczucie wstydu i pieniądze znikły, jak gdyby wessane przez pusty odkurzacz. Usiłował jednak zarobić na nie rzetelnie, nie dbając o błąd tych nielicznych, którzy ulegli złudzeniu uważając, że nawet na Sycylii obowiązują uprzejmości zwyczajowe.

Oglądając się za siebie przez tylne okno Simon z zadowoleniem stwierdził, że nawet jeżeli Lily miała na dworcu jakąś drugorzędną obstawę, co z każdą minutą wydawało mu się coraz

mniej prawdopodobne, to teraz nic nie zakłócało spokoju ich jazdy.

— Czego się tak boisz? — spytała Lily szczerze.

— Głównie tego, że mnie zabiją zanim zdążę zrobić to, co trzeba — powiedział Simon. —

Może jestem trochę nieswój, ale jeżeli to jest coś, co można zrobić raz uważam, że musi być zrobione dobrze. Pracowałem nad tym wiele lat, ale myślę, że powinienem wypróbować to: parę razy.

Jego żart odskoczył od niej jak worek piasku od poduszki.

— To tylko przeznaczenie sprawiło, że spotkaliśmy się teraz — w jej głosie brzmiał uroczysty ton. — Nigdy nie myślałam, że to się może zdarzyć. Myślałam o tobie, ale nie wiedziałam, gdzie cię szukać.

Powiedziała bardzo dużo jak na nią i Simon obserwował ją z podziwem.

— Dlaczego myślałaś o mnie? — zapytał, rezygnując z innej gry niż w otwarte karty.

— Rzuciłam Ala. Kiedy dowiedziałam się, że jest wmieszany w tyle rzeczy, nastraszyłam się.

— Nie wiedziałaś, że tak jest, kiedy zostałaś jego przyjaciółką?

— To nie trwało tak długo. Jestem tancerką. Byłam z trupą na tournée. Spotkałam go w klubie w Neapolu i namówił mnie, żebym z nim została. Z początku lubiłam go i nie zgadzałam się z facetem, który miał z nami umowę na występy. Al zajął się wszystkim, ale nie miałam pojęcia, w co się wpakowałam.

Wypowiadając tyle zdań, była zmuszona odsłonić zagadkę swego tajemniczego akcentu; i z lekkim zdziwieniem Simon rozszyfrował go w końcu jako pochodzący z londyńskiego przedmieścia, przyhamowany pewną afektacją szkoły wymowy i przeładowany nikłą, nie dającą się określić „cudzoziemską” intonacją, którą musiała sobie przyswoić dla dodatkowego wdzięku.

— Ale jeżeli rzuciłaś Ala, skąd wzięłaś się w Cefalu?

— Bałam się, że on mnie złapie, jeśli będę chciała wyjechać z Włoch w miejscu, w którym on by się tego spodziewał. Widzisz, wzięłam trochę pieniędzy, musiałam. Przyleciałam do Palermo i myślałam, że polecę do Londynu najbliższym samolotem, ale już nie było biletów. Jest tylko jeden dziennie. Bałam się czekać w Palermo, bo Al tam ma przyjaciół, więc przyjechałam tutaj i zaczekam do jutra.

Święty w żaden sposób nie mógł wiedzieć, czy ona improwizuje, czy też starannie ją wyuczono tego, co ma mówić, ale potakiwał z pełną szacunku powagą.

— To szczęście, że spotkałam ciebie, większe niż myślisz, być może. Ci ludzie są niebezpieczni.

— Taksówka zachwiała się, gdy szofer wziął następny zakręt i zatrzymał ją z piskiem opon przed katedrą. Simon rzucił mu na kolana dodatkowy banknot, szybko pociągnął Lily, żeby wysiadła, i dalej prowadził ją po chodniku.

— Dlaczego tu idziesz? — zaprotestowała idąc chwiejnym krokiem, żeby nadążyć za nim na szpilkowych obcasach.

— Bo wszystkie katedry mają boczne wejścia. Jeżeli ten taksówkarz jest wścibski, nie będzie mógł zobaczyć wszystkich, a jeżeli wezmą go na spytki, nie będzie wiedział, którą drogą poszliśmy, gdy nas zostawił.

Wewnątrz katedry Święty szedł wolniej, krokiem bardziej umiarkowanym, i miał wrażenie, że tutaj już nikt na nich nie czyha. Domyślał się, że teraz, kiedy Lily przez jakiś czas jest pozbawiona opieki drabów Destamia, którzy mogli być porozstawiani w sąsiedztwie hotelu Baronale, w jej własnym, życiowej wagi interesie jest trzymać się jak najbliżej niego, a nie uciec, bo gdyby straciła jego trop, mogłaby się znaleźć w kłopotach, jakie nawet trudno sobie wyobrazić. Czuł się dość swobodnie, tak że wyjął swój przewodnik i zaczął przewracać

w nim kartki, jak każdy turysta, którego wzrok stale jest zajęty.

— Kolumny — mówił, bezczelnie ściągając z przewodnika — zwróć szczególnie uwagę na kolumny, bo najpiękniejsze ze wszystkich, takich prędko nie zobaczysz. A te głowice bizantyńskie na przemian z rzymskimi to fantastyczne! I wszystkie mają czworokątne wsporniki podtrzymujące ostre, gotyckie łuki. Czy to nie przemawia do ciebie? A może źle się czujesz?

— Nie możemy tu zostać — powiedziała Lily tłumiąc wzburzenie. — Jeżeli zadarłeś z Alem, to też musisz wyjechać z miasta.

— Co proponujesz?

— Jeśli boisz się kolei, jest dworzec autobusowy.

— Przyjechałem tu autobusem — powiedział — i stało się coś, co każe mi przypuszczać, że jestem prawdopodobnie *passaggero non grato* — dla komunikacji autobusowej.

— No to co innego?

— Muszę myśleć o tobie, Lily. Chyba masz rezerwację na jutrzejszy samolot do Londynu?

— Tak.

— To nie powinnaś wracać do Palermo. Przez ten czas Al mógł już sprawdzić wszystkie odloty i wie o tobie. Wystawimy go do wiatru, jeśli pojedziemy w przeciwnym kierunku, do Katanii. Stamtąd mamy samolot na Maltę, a to jest terytorium brytyjskie.

— Jak się tam dostaniemy?

— Nie lubisz chodzić?

Spojrzała na niego z niemym oburzeniem.

— Może to trochę za daleko — przyznał — ale spróbujemy wynająć auto, co jest zresztą następną rzeczą, o której pomyśli również Bezbożny. Ale przecież musi być jeszcze coś, na co oni nie wpadną, gdybym tylko mógł o tym pomyśleć...

Wertował przewodnik szukając natchnienia pośród informacji na temat starożytnych wspaniałości i nowoczesnych wygod miasta. Zagubić się w mieście o liczbie mieszkańców mniejszej niż dwanaście tysięcy, to zupełnie inna sprawa niż zrobić to samo w Nowym Jorku czy nawet Neapolu. Ale musiało być jakieś rozwiązanie, zawsze musi być.

I nagle samo spojrzało mu w twarz.

— Wiem — powiedział — pójdziemy na plażę i ochłodzimy się.

Usta Lily otworzyły się z wyrazem przypominającym rybę wyrzuconą na brzeg. Simon miał dar zaskakiwania, co zawsze sprawiało mu złośliwą satysfakcję. Nie mając zamiaru wyprowadzać jej przedwcześnie ze stanu osłupienia, znów schwycił ją za rękę i poprowadził przejściem na dwór ku ocienionemu drzewami klasztorowi. Stamtąd przez furtkę wyszli na via Mandralisca, jak wskazywał jego plan miasta, po czym zawrócili w kierunku morza. Prowadząc zmieszaną, lecz posłuszną Lily, zatrzymał się przy pierwszym napotkanym sklepie z konfekcją i kupił trykotową koszulkę w poprzeczne pasy niebieskie i białe, oraz parę tanich sandałów. Przebrał się szybko w najbliższej odpowiedniej do tego celu uliczce, wrzucając swoją brudną koszulę i zdarte buty do znajdującego się w pobliżu pojemnika na śmiecie. Nieco dalej w sklepiku z pamiątkami, który towarem swoim zajął również chodnik, nabył parę przeciwsłonecznych okularów tudzież ogromną torbę ze słomy w krzykliwym kolorze i dał ją Lily do niesienia.

Niedaleko błękitnego morza, do którego coraz bardziej się zbliżali, zatrzymał się po raz ostatni w dobrze zaopatrzonej salumerii, gdzie nie mający podejrzeń — sądząc z pozorów — właściciel ochoczo zapakował obfite porcje sera, szynki, kiełbasy, serc karczochów i dojrzałych oliwek, chrupiący chleb wraz z okazałą butelką purpurowego corvio dla łatwiejszego trawienia tych smakołyków. Wszystko to zostało włożone do pojemnego koszyka, który z myślą o tych zakupach Simon wręczył Lily.

— Po co to wszystko? — dopytywała się załośnie,

— Dla nas obojga, jeśli będziemy głodni. Zanim zjemy porządny obiad, może zrobić się późno.

Żaden ze sklepikarzy, u których załatwiał sprawunki, nie robił wrażenia zaalarmowanego; albo może poczta pantoflowa Destamia działała w kierunku zablokowania ważniejszych punktów wylotowych, zbyt gorliwie na to, aby przeszukiwać okolice. W każdym razie dotarli do plaży bez żadnych sygnałów alarmowych, które by zarejestrowała ultraczująca antena Simona Templara, wyglądając jak każda inna para turystów w tym zgiełkliwym zbiorowisku, gdzie jedni leżeli, inni dokazywali, zależnie od wieku i temperamentu.

Kiedy już znalazł się pośród nich, Simon stał się jeszcze bardziej typowy i trudno go było zapamiętać po zdjęciu koszuli w paski, którą razem z sandałami wrzucił do torby, i zawinięciu spodni pod kolana. Jego tors dorównywał opalenizną innym letnikom, a nawet jeśli muskulatura przerastała przeciętną, to nie wyróżniał się spośród plażujących ciężarowców. Nie było w nim nic innego, co dałoby się zauważyć albo opisać.

Lily była trochę trudniejsza do zamaskowania, ale kazał jej podwinąć sweterek powyżej żeber tak, że wyglądał prawie jak biustonosz, rozpiąć spódniczkę, żeby odsłonić uda do maksymalnej długości, kiedy szła boso, tak jak i on, schowawszy buty razem z innymi rzeczami do torby. Oślepiająco jasne włosy za jego radą już związała chustką, gdy zmieniał koszulę.

Tak więc, trzymając się za ręce, szli przez plażę jako rozsądne podobizny jakichś dwojga zwykłych letników na sam brzeg morza, gdzie skupiły się rowery wodne najbardziej popularne z pływającego sprzętu nad Morzem Śródziemnym, rozrywka towarzyska pomyślana akurat dla dwojga osób po to, żeby siąść obok siebie i leniwie krążyć, obracając koło łopatowe umieszczone pomiędzy pływakami. Rowery mogą się poruszać szybciej niż

zwykła łódź na wiosła i są znacznie wygodniejsze do morskich przejażdżek przy

umiarkowanie złej pogodzie; to właśnie wzmianka o tej atrakcji przybrzeżnej przywiodła tutaj Simona.

Właściciel przystani wyszedł na ich spotkanie, gdy się zbliżyli, rozpromieniony na widok klienta.

— *Che bellissimo giorno, signore!* Piękne popołudnie na przejażdżkę w *moscone*. To najlepsza pora dnia!

— Już późno — rzekł Simon z powątpiewaniem. Każdy przejaw pośpiechu czy zapału mogły rozniecić podejrzenia, jeśli już była iskierka, a w każdym razie dobrze pamiętano by o tym później. — Nie będzie dużo słońca.

— Dopiero połowa popołudnia! — zaprotestował Sycylijczyk, wymachując ramionami ku niebu jako świadcowi. — A kiedy słońce zachodzi, jest przyjemnie i chłodno. Poza tym dla państwa mam specjalną cenę.

— Ile?

Nastąpiła nieunikniona formalność targowania się w końcu ustalono cenę za godziny pozostałe do zmierzchu. Simon zapłacił z góry.

— W razie gdybyśmy się trochę spóźnili — powiedziani z wypracowanym mrugnięciem — nie musi pan na czekać.

Mężczyzna wyszczerzył zęby w uśmiechu na znak, że zrozumiał.

— *Capito! Grazie! E buona sorte!*

Simon podał rękę Lily, która zajęła swoje miejsce, i pomógł właścicielowi przystani zepchnąć rower na wodę nim sam zręcznie wskoczył i ujął ster, kierując bliźniacze dzioby na zachód i pedałując z nią unisono.

To było wszystko, co mógł zrobić, żeby powstał głośny wybuch śmiechu. Za nim zostało

miasto, w którym rościło się od sług Destamia. Stworzył sobie dziwaczny ich obraz, napływali ze wszystkich kierunków, dopóki nie przewyższyli liczbą zarówno stałych mieszkańców, jak i turystów. Teraz prawdopodobnie przetrząsali dworzec kolejowy i autobusowy; o ile samochód Destamia nie doznał większych uszkodzeń w zderzeniu z autobusem, niż to można było sądzić z odgłosu, mógł on zorganizować obstawienie wszystkich dróg wylotowych, a nawet ścieżek, nie pomijając oczywiście portu; ale Simon z radością gotów był założyć się o własne życie, że znalazł jedyne możliwe wyjście, o którym taki skończony łajdak, jak dawniejszy Dino Cartelli, nigdy by nie pomyślał, o ile nie było jeszcze za późno.

— Czy Katania nie jest w innej stronie? — spytała po chwili.

— Jesteś wspaniała — zapewnił ją z szacunkiem. — To jest kierunek na Palermo. Ten człowiek powinien widzieć, że płyniemy w tę stronę. O to chodzi, żeby wszystkie wątki prowadziły do Palermo. Tylko ty i ja wiemy, dokąd płyniemy naprawdę.

Kiedy oddalili się dostatecznie, aby ich rysów nie można było rozpoznać gołym okiem, ale nie tak, żeby wyglądało, że udają się w dalszą podróż, Simon wziął kurs równoległy z brzegiem, wypatrując w jego linii szczególnego rodzaju topografii, która nadawałaby się do zamierzonego przez niego celu. Nie trwało długo nim go znalazł: mała zatoka o piaszczystym wybrzeżu w kształcie półksiężyca niewiele szerszym niż długość moscone, otoczona pionowymi skałami wysokości dwudziestu stóp lub więcej, u których podnóża po obu stronach piętrzyły się głazy, tak że dostęp do niej możliwy był tylko od morza. Znajdowała się co najmniej o milę od najbliższej plaży publicznej.

Simon skierował się ku niej, doceniając coraz bardziej jej korzystne położenie w miarę zbliżania się, i pedałowal, dopóki pontony nie oparły się lekko o piasek. Wskoczył i schwycił rękę Lily, żeby pomóc jej utrzymać równowagę, gdy szła po pontonie i zgrabnie zeskoczyła na brzeg nie zamoczywszy stóp, potem wciągnął rower głębiej na ląd, żeby

zabezpieczyć przed zepchnięciem go na wodę przez drobne fale, zabrał wypchaną torbę i usiadłszy powyżej punktu, którego woda sięga w czasie przyływu, postawił ją obok siebie.

Lily patrzyła na niego w tępym osłupieniu.

— Chyba nie masz zamiaru tu zostać?

— Tylko do zachodu słońca. Potem możemy wrócić, ominiemy Cefalu i popłyniemy dalej do Katanii. Musimy odpłynąć dosyć daleko poza kordon, którym Al mógł otoczyć okolicę i wśliznąć się gdzieś na brzeg po ciemku.

Uderzył ręką o piasek, zapraszając, żeby zajęła miejsce obok. — Tymczasem mamy tu przyjemny chłodek i wszystko, czego potrzeba, żeby nie umrzeć z głodu i z pragnienia.

Czemu nie skorzystać z tego?

Siadała powoli, a Simon przez ten czas odkorkował butelkę z winem, która dobrze owinięta znajdowała się na dnie torby, zabezpieczona przed słońcem i upałem, i napełnił plastikowe kubeczki, których negocjante nie omieszkali doliczyć do rachunku.

— Teraz jesteśmy w jednakowej sytuacji, Lily — powiedział Święty. — Ale wybrniemy z niej. Tylko trzymaj i się mnie. Nie mogę przestać sobie wyrzucać, że przeze mnie poróżniłaś się z Alem. Ale będę się starał to wynagrodzić.

Obrzuciła go długim, nieprzeniknionym spojrzeniem, w którym wyczuł obracające się kółka prymitywnej maszyny do liczenia. Potrafiły dać tylko jeden arytmetyczny rezultat, lecz dodatkowe zyski mogły wykroczyć poza granice mechanicznego księgowania.

Czekał cierpliwie.

— Do diabła z Alem — rzekła w końcu, — Ty podobasz mi się bardziej.

3

A kiedy jedzenie i wino starły ciepłą farbę, wargom jej wróciła świeżość płatków róży.

Gdy po krótkotrwałym zmierzchu zapadła ciemność, Święty wstał i otrzepał spodnie z

pyłu.

— Wszystko co dobre ma swój koniec — powiedział smętnie. — Było cudownie, ale muszę się ruszyć.

Zrobiło się już chłodniej, tak że z ochotą nałożył swoją koszulkę w paski, oddaliwszy się od Lily, podczas gdy ona poprawiała sobie chustkę na głowie. Wyjął również sandały z torby, zaniósł je do moscone i położył na ławce między siedzeniami. Potem uniósł przedni koniec najbliższego pływaka i pchał, dopóki rower znów nie znalazł się na wodzie.

Lily przyszła na brzeg z torbą w ręku.

— Chwileczkę — powiedział łagodnie.

Stała bez ruchu, a tymczasem on wsiadł do moscone i usadowił się na prawym siedzeniu.

Nogę oparł na pedale i zrobił próbny ruch wstecz, upewniając się, czy ciężar jego ciała nie osadził roweru z powrotem na piasku.

— Przykro mi, że to robię, Lily — rzekł. — Nie mogę cię zabrać. Jeżeli będzie ci zimno, zagrzeb się w piasku, to cię ogrzeje. Rano będzie tu pełno łodzi i jak zawołasz, to któraś przyplynie. Nie radziłbym drapać się na skały w nocy — nie masz odpowiednich butów i po ciemku mogłabyś złamać nogę.

— Oszalałeś! — jęknęła.

— To już przedtem ktoś zauważył. I niektórzy myśleli, że dam się nabrać najgłupszym opowieściom. A twoja o tym, jak się znalazłaś w Cefalu i że przypadkowo przechodziłaś koło dworca, była zbyt jaskrawym zbiegiem okoliczności, toteż przebrałaś miarękę, nawet jeśli chodzi o mnie. Jeśli przyjąłem tę bajkę, to dlatego, że nie miałem innego wyboru. I ciągle ci dziękuję, bo pomogłaś mi wydostać się z tarapatów.

Jeśli potrzebne było potwierdzenie jego wyводу, to usłyszał je w epitecie, jakim go obrzuciła, a który nie może być tu zacytowany, ze względu na szacunek dla starszych

czytelników tego opowiadania.

— Jesteś niegrzeczną dziewczynką, Lily — powiedział z wyrzutem. — Nie widziałaś w tym nic złego, żeby wydać mnie mafii, i byłaś równie gotowa zrobić to w Katanii i prysnąć, kiedy oni położyliby na mnie łapę. Jeśli chcesz odegrać rolę Maty Hari, to powinnaś z uśmiechem przyjąć utratę zdobyczy.

Już po zachodzie słońca zdjął jej ciemne okulary i sprawdził, że naprawdę ma oczy — mglistoszare, w tej chwili rozkosznie senne. Teraz już nie mógł ich rozróżnić po ciemku; kłamliwa była szkoła autorów, którzy z pewnością napisaliby, że miały iskry i płomienie. Szła naprzód, nie zważając, że woda sięga jej do kostek a potem do połowy kształtnych łydek; przezornie pedałowal w tył, aby cofający się moscone stale znajdował się poza jej zasięgiem.

— To straszliwie daleko, żeby wrócić wpław — ostrzegł ją — o ile nie jesteś pływaczką klasy kanału La Manche. I paskudne rzeczy są w tych wodach, na przykład śliskie węgorze z ostrymi zębami. Nie warto, uczciwie ci mówię. Jestem pewien, że Al zrozumie.

Stając w wodzie sięgającej jej po kolana, wymyślała mu ze swadą stanowiącą jaskrawy kontrast z jej zwykłą małomównością, a tymczasem on cofał się coraz szybciej na dostateczną odległość, by móc znów przybliżyć się do zatoki, biorąc długi zakręt, po czym zaczął się oddalać.

— Nie zepsuj wspomnienia, Lily! — prosił przepływając obok. — Podziękowałem ci, prawda?

Wysiłek jego był daremny. Jej obelżywe słowa biegły za nim tak daleko, jak docierał głos, i skłoniły go do zastanowienia, w jaki sposób taka miła dziewczyna mogła przyswoić sobie ten słownik.

Posuwał się dalej ku Gwieździe Polarnej, dopóki wrzaski nie ucichły, po czym wziął lekki

zakręt w lewo.

Na zachód. Do Palermo. Nie do Katanii.

Był to szczególnie złośliwy kawał, jeszcze jeden wśród innych kłopotów, jakich przysporzył Lily po tym, jak ona tak bardzo przyłożyła się do sprawy mafii, ale nie mógł sobie pozwolić na sentymenty. Kiedy ktoś ją odnajdzie albo sama zdoła dotrzeć do telefonu, będzie mogła przysiąc, że Święty płynie do Katanii, Mogło to mieć wielkie znaczenie dla jego pierwszych godzin w Palermo.

Nogi jego bez przerwy pedałowały w tempie, które mógł utrzymywać przez całe godziny i które nadawało rowerowi maksymalną szybkość i wszelkie dodatkowe wysiłki byłyby bezskuteczne, gdyż wzburzały tylko wodę. Jednakże była ona dość znaczna, co mógł wywnioskować z umykającej ciemnej wody, jak na sprzęt; wodny nie mający charakteru wyścigowego, a obliczony tylko na napęd mięśni.

Lekki wieczorny wiatr uspokoił się i morze wraz z nim. Łatwo było sterować mając Gwiazdę Polarną z prawej strony. Migające światła małych osiedli na wybrzeżu i błyski reflektorów pojawiające się od czasu do czasu na szosie wskazywały linię brzegu; trzymał się jej w dostatecznym oddaleniu, by czuć się bezpiecznym przed przypadkowym wyszperaniem go przez jakieś światła skierowane mimowolnie na morze.

Na koniec, gdy uznał, że zostawił za sobą dostateczną liczbę mil, musiał znów przybliżyć się do brzegu. Do uszu jego dotarł odgłos pociągu jadącego po nadbrzeżnym torze, po czym rozróżnił blask jego latarni, niby oko cyklopa migający pomiędzy wykopami i nasypami. Musiał życzyć sobie, by następny nie nadjechał zbyt szybko albo w zbyt dużym odstępie czasu. Obawiałby się ryzykować jeszcze raz jazdę autobusem, ponieważ kierowca do tej pory mógł już usłyszeć o przygodzie swego kolegi i z niezwykłą uwagą mógł obserwować wszystkich pasażerów; lecz długie oczekiwanie na pociąg na stacji również mogło mieć swoje

złe strony.

Na koniec płynął wzdłuż długiego odcinka ciemnego wybrzeża poprzedzającego światła kolejnego miasta, przybliżając się, dopóki w mdłym świetle gwiazd nie ujrzał odsłoniętej plaży, do której można było przybić. Wyciągnął rower na brzeg dobrze powyżej linii przyływu, gdzie byłby bezpieczny, dopóki oburzony właściciel nie zdołałby go odnaleźć, i potykając się o kamienie, poprzez skalisty skrawek jakiejś uprawy nie do rozpoznania, wszedł na drogę wiodącą ku niewiele mniej mrocznym peryferiom skupiska ludzkiego.

Napis na stacji kolejowej, do której trafił po prostu kierując się w głąb lądu aż do szyn kolejowych, głosił: Campofelice di Roccella; poczekalnia była pusta. Simon wszedł do wnętrza, przestudiował rozkład jazdy na ścianie i kupił bilet do Palermo. Następny pociąg miał nadejść za dziesięć minut i punktualnie według rozkładu wjechał ze zgrzytem hamulców. Oczekawszy, aż wejdzie garstka pasażerów, z chrzęstem ruszył w dalszą drogę.

Nieliczni senni *contadini* i kilka szczebioczących rodzin spalonych słońcem turystów stanowiło cały skład pasażerski. W czasie godzinnej jazdy do Palermo nikt nie zwrócił najmniejszej uwagi na Świętego.

Chwila wyjścia z pociągu była pełna napięcia, Nie oczekiwał z całą pewnością powitalnej delegacji mafii, lecz przykre następstwa przesadnego optymizmu mogły być zbyt drastyczne, żeby sobie to lekceważyć. Trzymał się blisko rodzin turystów, stosując tę samą technikę, którą wypróbował w Cefalu, i mając nadzieję, że każdy, Kto go znał tylko z opisu, pomyśli, że Simon jest jednym z turystów. Lecz jego dalekosiężne spojrzenie nie pochwyciło żadnych oczekujących z powitaniem lub wałęsających się typów o wyglądzie gondolierów Destamia. Zgiełk i wrzawa pościgu widocznie pozostały jeszcze daleko za nim i — jak można było mieć nadzieję — rozchodziły się w innych kierunkach.

Wyszedłszy ze stacji, dał się prowadzić jaśniejszym światłom i gęstszemu przepływowi

przechodniów celem wmieszania się tak jak to możliwe w anonimowy tłum, dopóki prąd ludzki nie zawiódł go do zakątka, w którym chciał zniknąć.

Była to niewielka, lecz jarząca się światłami *trattoria*, w której wypił pół litra wina i zaopatrzył się w drobne pieniądze na telefon. Połączył się z numerem, który mu podał Marco Ponti, i gdy odezwał się energiczny głos samego detektywa, mimo że brzmiał w nim ostry i nerwowy ton, wiedział, że karta ciągle mu idzie.

— *Pronto! Con chi parlo?*

— Stary przyjaciel — powiedział Święty — który ma interesujące wiadomości o pewnych dawniejszych pańskich przyjaciołach.

Kabina telefoniczna jest udoskonaleniem, w dziedzinie którego na Sycylii dokonał się nieznaczny postęp i Święty zdawał sobie sprawę z natychmiastowego zainteresowania się rozmową, jakie wzbudziła w padrone i wszystkich niczym nie zajętych gościach znajdujących się w zasięgu słuchu. Nawet jedno słowo wypowiedziane po angielsku mogło w końcu okazać się fatalne w skutkach.

— Święty! — zatrzeszczało w słuchawce. — Co się z panem stało? Gdzie pan jest? Bałem się, że pan nie żyje! Nieprawdopodobnie wielki bugatti, o czym mi doniesiono, został porzucony w okolicy i przyciągnięto go tutaj, do garażu policyjnego. Szczęśliwym trafem odnalazłem właściciela, który powiedział mi, że to pan go wynajął. Zaraz, zaraz, ale co pan powiedział o naszych przyjaciołach? Czy ma pan na myśli...

— Tak. Ten, którego obaj tak bardzo lubimy. Ale niech mi pan najpierw powie, gdzie jest samochód?

— Właściciel przyszedł do kwestury z zapasowymi kluczami i chciał go zabrać, ale nie pozwoliłem, bo uważałem, że trzeba najpierw ustalić, co się z panem stało, na wypadek gdyby trzeba go było poddać oględzinom, no i jest pod zamknięciem.

— Boże! Już chciałem powiedzieć, żeby pan wskoczył w taksówkę i tu przyjechał, ale przecież bugatti może bardziej się przydać. Mam mnóstwo nowin o naszych przyjaciółach, których przekazanie przez telefon zajęłoby zbyt wiele czasu. No więc dlaczego nie odpieczętować samochodu i nie przyjechać nim tutaj? Jestem w restauracji Da Gemma, gdzieś w pobliżu dworca, pan zapewne ją zna. Takie tu zapachy, że aż ślinka mi cieknie, więc zamówię coś i będę czekał. Ale niech pan się pośpieszy, bo myślę, że w nocy będziemy mieli dużo do roboty.

Jedyną odpowiedzią był odgłos energicznie odłożonej słuchawki. Święty uśmiechnął się i wrócił do swego stolika, aby zastanowić się nad menu. Dość czasu upłynęło, przy niemałym wysiłku fizycznym, od jego pikniku z Lily, żeby nabrać apetytu, i szczęśliwie, choć na miarę krajów północnych pora była późna, to zgodnie z tradycją południa na kolację bynajmniej nie była wyjątkowa.

Skórką chleba gonił na talerzu ostatnie soczyste a smakowite lepre in salmi, gdy usłyszał warczenie nieomylnie wydobywające się z rury wydechowej i Ponti wpadł rozchylając zasłonę z plastikowych pasków w drzwiach. Simon dał mu znak ręką, zapraszając do zajęcia miejsca z przeciwnej strony stolika, gdzie stał już czysty kieliszek i pełna karafka z winem.

— Nie przyszedłem tu, żeby pić z panem — rzekł detektyw napełniając sobie kieliszek i wypijając połowę. — Wiech pan szybko mi powie, co się stało.

— Między innymi dostałem po głowie, porwano mnie, strzelano do mnie, ścigano wszędzie, a robiła to banda opryszków, którzy naprawdę muszą żywić urazę do pańskiej wysokiej instytucji. Ale przypuszczam, że pana nie obchodzą moje osobiste powodzenia. Część, która pana zainteresuje, o ile wiem, obejmuje usytuowanie *castello*, gdzie pan znajdzie, jeśli wyruszy pan dość szybko, piękny dobór prezesów tego towarzystwa na plenarnym zebraniu razem z samym przewodniczącym, którego nazwisko, zdaje się, brzmi

Pasquale.

Mimo że rozmawiali przyciszonymi głosami, które dotrzeć mogły tylko do najbliższych stolików, oględne operowanie pewnymi skrótami ciągle wydawało się konieczną ostrożnością.

— Wiem wszystko o tym zebraniu — rzekł Ponti — wszystko, to znaczy z wyjątkiem miejsca. Gdzie to jest?

— Nie wiem, w jaki sposób podać panu adres, ale mógłbym pana tam zawieźć. — Simon napełnił kieliszki. — Ale pan mnie zdumiewa, zdaje się, że pan więcej wie o tej organizacji, niż wtedy, kiedy rozmawialiśmy ostatni raz.

— Powinienem twierdzić, że przeprowadziłem pewne niezwykle tajne poszukiwania, ale jestem zbyt skromny. Zawdzięczam to wszystko próbce jednego z produktów pozostawionych w pańskim samochodzie, tej, której przeznaczeniem było spowodować donośny huk. Pan pamięta, że na plastiku był swego rodzaju podpis. Sam go sfotografowałem i sprawdziłem w kartotece tożsamości, podczas gdy urzędnik był na śniadaniu. Los się uśmiechnął, dla odmiany, i stwierdziłem, że znaki były zrobione przez miejscowego kupca nazwiskiem Niccolo, który był oskarżony o handel podobnymi artykułami już przedtem, ale uszło mu to z braku dowodów. Przyprowadziłem go sam do biura i udało mi się prywatnie z nim porozmawiać.

— Ale ci ludzie nigdy nic nie powiedzą. Omerta i te rzeczy. Sam mi pan powiedział, że raczej umrą, niż będą mówili.

— Taka jest zasada. Ale bywa łamana, zwykle przez kobiety. W 1955 roku niejaka Francesca Serio zadenuncjowała czterech takich handlarzy za usunięcie jej syna z przedsiębiorstwa — na zawsze. Skazano ich na dożywocie. W 1962 roku inna, Rosa Riccobono, która straciła męża i trzech synów z powodu wendety tego samego towarzystwa,

dała nam listę ponad dwudziestu dziewięciu osób oskarżonych o opanowanie handlu w jej miasteczku. Te kobiety, wiedzione miłością lub krzywdą, nie ulęły się kary. Jeśli chodzi o Niccolo, użyłem innego argumentu. Spłynęło na mnie natchnienie.

— Coś gorszego niż śmierć?

— Dla niego tak, bo trwałoby dłużej niż tortura.

— Niech pan powie.

— Ubrałem w biały płaszcz staruszka, który sprząta budynek, bardzo przyzwoity człowiek, ale słaby na umyśle, i położyłem rzędem noże rzeźnicze oraz jedną maskę zabezpieczającą przed gazem łzawiącym. Powiedziałem Niccolowi, że damy mu narkozę w bardzo humanitarny sposób, ale jeżeli nie powie... — Ponti nachylił się i zaczął mówić jeszcze ciszej, prawie śmiertelnym szeptem — po obudzeniu przekona się, że jest wykastrowany. Simon spojrzał na niego z nie skrywanym podziwem.

— Czułem, że w panu tkwi iskra geniuszu, od pierwszego naszego spotkania — powiedział szczerze. — I Niccolo przemówił.

— Wśród członków tej organizacji krąży wieść, że don Pasquale ze względu na zdrowie będzie musiał wkrótce się wycofać. A kiedy przewodniczący odchodzi, inni prezesi zbierają się, żeby współzawodniczyć o sukcesję. W takim krytycznym momencie organizację opanowuje pewne rozprężenie i opozycja ma szansę wykorzystać tę słabość. Wszystko, co chciałem wiedzieć, to miejsce zebrania. Jeśli pan wie, możemy zaczynać. Idziemy?

Spokojny, opanowany głos detektywa stanowił kontrast z napięciem i pośpiechem, jakie wyrażała jego stara a zarazem młoda twarz. Święty zaczął unosić brew pytająco i zatrzymał ją w połowie.

— Tak jak pan powiedział, Marco — zgodził się i wzrokiem poszukał kelnera z zamiarem zapłacenia rachunku.

W kilka minut potem byli już na dworze, gdzie lśniące arcydzieło mistrza Ettore czekało za zakrętem, lecz gdy Simon instynktownie chciał zająć miejsce kierowcy, Ponti przeciwstawił się temu łagodnie.

— Pozwoli mi pan. Tak będzie lepiej, ponieważ znam drogę.

— Dokąd?

— To, czego dowiedziałem się od Niccolo, było dostatecznie ciekawe, żeby posłać przygotowany uprzednio raport do Rzymu i taki był rezultat, że na Sycylię przyleciał oddział doborowych *bersaglieti*. Chciałem mieć pod ręką pomoc, na której mógłbym polegać, skoro tylko uzupełnię potrzebne informacje, żeby się nimi posłużyć. Pan wkrótce to zrobi.

— Więc ja jestem jedynym, który zna drogę?

— Ale nie tam, gdzie jest wojsko.

Simon skinął głową i podszedł do samochodu, żeby zakręcić korbą. Silnik zaczął pracować, od razu za pierwszym jej przekręceniem, w porównaniu z czym tempo działania rozrusznika elektrycznego wydaje się żółwie; Święty usiadł na miejscu obok kierowcy.

— Czy pan ma zamiar działać poza policją? — zapytał, kiedy ruszyli z impetem.

— Ja jestem policją — rzekł Ponti. — Ale nie wiem, komu mogę ufać. Gdybym próbował coś zrobić przez nich, wszystko odwlekłoby się, byłoby zamieszanie i akcja zaczęłaby się powoli. Kiedy dojechalibyśmy na miejsce, w Castello nie byłoby nikogo. Wiedziałem o tym jeszcze przed przyjazdem na Sycylię i kroki były już poczynione w Rzymie, żeby żołnierze czekali w pogotowiu na wypadek „koniecznego posunięcia”, kiedykolwiek będę ich potrzebował.

— I wie pan, że na nich można polegać?

— Absolutnie. Tylko dowódca zna ich tutejszą misję, a ludzie jego są mu całkowicie oddani, pojechaliby za nim na nartach do piekła, jeśliby wydał taki rozkaz. Jak dotąd możemy

powiedzieć, że mafia nie przeniknęła do ich szeregów, no i cieszą się z góry na rozprawę z tymi kanaliami. A teraz niech mi pan opowie o wszystkim, co pan robił.

4

Ponti nie był powolny za kierownicą, jak się okazało, i tak rozpędził ogromną maszynę, że wielu innych pasażerów naciskałoby w swej wyobraźni na hamulce i szeptałoby pacierze; ale Święty był fatalistą albo też nerwy miał ze stali, do tego stopnia, że w czasie jazdy opowiedział swoją historię bez zająknięcia czy utraty wątku. Jediną rzeczą, którą pominął, były pewne osobiste szczegóły, które — jak mniemał — nie zainteresowałyby Pontiego ani też nie wpłynęłyby na jego oficjalną akcję.

— A więc — zakończył — oni powinni wciąż jeszcze być przekonani, że osaczyli mnie w Cefalu, i nawet kiedy dowiedzą się od Lily, powinni uwierzyć, że jadę do Katanii. Ale nie powinni domyślić się, że należy w pośpiechu opuścić główną kwaterę. Według nich ja ciągle uciekam i jestem zajęty ocalaniem swojej własnej skóry. I Al nigdy by się nie spodziewał, że z panem tak oto sobie rozmawiam.

— Dołożyłem starań, aby nie miał tego wrażenia — rzekł Ponti — wydając rozkaz, w którym zażądałem osobistego przesłuchania pana, pod pozorem tła konspiracji politycznej. Zrobiłem to częściowo po to, żeby wpaść na ślad i zabezpieczyć pana przed brutalnym potraktowaniem przez jakiegoś głupiego glineę, który mając pana w swoich rękach uważałby, że schwycił zwykłego przestępcę. Przekonałem się, że jeśli chodzi o sprawy polityczne, policja jest skłonna postępować ostrożnie.

— Kiedy pomyślę o niektórych moich osławionych cierpkich uwagach o policjantach — rzekł Święty — dławi mnie w gardle ze wzruszenia z powodu pańskiej dbałości o mnie — I nikomu by się nie śniło, że kierują panem jakieś motywy wyższego rzędu.

— Istnieje tylko jeden motyw. Pokazać tym *famulloni*, że nie są mocniejsi od prawa. I

mamy sposoby, żeby to zrobić.

Zdradziecka droga górską, na której nierównościach podskakiwali, kończyła się przerwą w ogrodzeniu z drutu kolczastego, przed którą stał wartownik z karabinem i bagnetem.

Zagroził im wjazd, a kiedy Ponti wymienił swoje nazwisko, wówczas z ciemności wynurzył się młody oficer i zasalutował.

— *Il maggiore l'aspetta* — powiedział. — Proszę zostawić auto tutaj.

Nie było innego oświetlenia, jak tylko lampa nad wjazdem i światła ich reflektorów, a gdy te ostatnie zgasły, szli potykając się o wyjeżdżone koleiny aż do chwili, gdy wyłoniły się przed nimi niewyraźne zarysy jakiejś budowli. Otworzyły się drzwi i wpadła jasna struga światła; po czym weszli do nagiego wnętrza drewnianego baraku.

— Ponti — powiedział starszy oficer w rozpiętej kurtce polowej chwytając rękę detektywa

— dobrze, że będziemy mieli coś do roboty. Wszystko gotowe. Kiedy ruszamy?

— Zaraz. To jest signor Templar. On zna miejsce, do którego zamierzamy się wybrać.

Major Olivetti.

Dowódca zwrócił się ku Simonowi i przypieczętował zawarcie znajomości miażdżącym uściskiem ręki. Czubkiem łysej głowy ledwo sięgał brody Simona, lecz klatkę piersiową miał jak beczka, a ramiona jak pnie drzewa. Prawa strona jego twarzy była pajęczyną blizn wyraźnych na ciemnej cerze, a czarna opaska zasłaniała oko, co nadawałoby mu ponury wygląd, gdyby nie wesołe błyski drugiego oka.

— *Piacere*. Słyszałem o panu, signor Templar, i cieszę się, że pan jest z nami. Tutaj mam wszystkie mapy Sycylii, najdokładniejsze, jakie są. Może mi pan pokazać, dokąd mamy iść?

— Myślę, że tak — rzekł Święty pochylając się nad stołem.

Porucznik, który przyprowadził ich od bramy, wraz z innym porucznikiem i sierżantem, znajdującymi się już w baraku, dołączyli do Olivettiego i Pontiego, stojących wokół mapy i

śledzących z uwagą, jak Simon pokazywał swoją drogę poprzez warstwy począwszy od skrzyżowania na wybrzeżu, gdzie złapał autobus do Cefalu, w górę wyschłego łożyska strumienia do miasteczka i wyżej przez grzbiety górskie do innej doliny, oraz różne charakterystyczne znaki zachowane w pamięci, jakie mu ułatwiły ustalenie położenia miejsca orlego gniazda, skąd się wymknął.

— Ta droga jest nie brukowana — mówił przebiegając paznokciem szlak w dół od domu.

— Nie byłem na najwyższym jej odcinku, ale ich samochód zjechał pędem bez żadnego problemu. Nic nie wiem o tej drugiej drodze zaznaczonej na szczycie skały.

Olivetti badał teren z zawodową dokładnością.

— Jest ryzyko, że na obu brzegach porozstawiali strażę, które ostrzegą ich o zbliżających się siłach takich jak nasze. Pan wspomniał o zejściu z tej skały po ciemku. Czy moglibyśmy tam posłać naszych ludzi pod górę?

— Nawet alpejskie oddziały musiałyby mieć haki, a wbijanie ich narobiłoby zbyt dużo hałasu. Zszedłem tamtędy bo musiałem, a miejscami po prostu spadałem, ześlizgiwałem się, z nadzieją, że wszystko dobrze się skończy.

— Mógłbym rozwinąć moich ludzi w tyralierę od tego punktu i kazać im iść pieszo, ale wówczas nie mógłbym zagwarantować, że dojdą przed świtem.

— Z tego, co wiem, to zgromadzenie nie ma podstaw do paniki, żeby zwinąć manatki w środku nocy — rzekł Ponti. — Ale muszę przyznać, że z każdą godziną, która upływa, kiedy pułapka jest otwarta, coraz bardziej się obawiam, że w niej nic nie znajdziemy, kiedy przyjdziemy ją zamykać.

— Czy mogę coś zaproponować? — spytał Święty.

— Naturalnie. Pan jeden z nas wszystkich widział już ten teren w świetle dziennym.

— I myślę, że to jest zmora dla ich sztabu. Z drugiej strony, jeśli tam dojdziecie i

przekonacie się, że ptaszki wyfrunęły, mnie będzie bardziej głupio niż komu innemu. Moim zdaniem powinniśmy próbować postawić raczej na pośpiech niż na działanie po kryjomu. Oczywiście spróbowałbym przeciąć wszystkie linie telefoniczne w okolicy — i dopiero później przeprosić zarząd telefonów, gdyż w innym przypadku jakiś sympatyk mafii na pewno zdążyłby ostrzec w porę kogo trzeba. Ale potem pędziłbym jak tylko się da najszybciej, na nic już nie zważając. Zakładam, że pański oddział jest zmotoryzowany, maggiore?

— *Si*. To znaczy nie mamy czołgów, ale mamy ciężarówki i transportery.

Simon wskazał obie drogi prowadzące do kryjówki mafii.

— Więc jeśli pan ich rozdzieli na dwie grupy i pośle jedną w górę tą drogą, a drugą tędy, wyliczywszy tak, że spotkają się na szczycie — to jeśli już zaczną się posuwać, zablokują obie drogi, którymi ta banda mogłaby uciec, jeśli tam jeszcze jest. Ale jeżeli zorientują się, że są osaczeni w ten sposób, ci faceci mogą zdecydować się raczej walczyć niż poddać. Czy jest pan gotów posunąć się aż do strzelaniny?

— Tylko czekam na to! — Olivetti ryknął i tak grzmotnął pięścią w wąty stół na krzyżakach, że zagroziło to jego wytrzymałości. — Jeśli Ponti jest upoważniony...

— W tym właśnie sęk — przyznał Simon zwracając się do detektywa. — Czy zdaniem pana rozpoczęcie takiej ofensywy jest usprawiedliwione?

Ponti wyszczerzył zęby w lisim uśmiechu.

— Tak, jeśli mnie pan nie zwodzi i nie chce, aby mi się noga powinęła. Bo w takim przypadku osobiście postaram się, aby spotkało pana coś gorszego niż to, co Niccolo miał w perspektywie. Na podstawie pana zeznań mam dość zarzutów przeciwko nim: napaść, porwanie, usiłowanie zabójstwa. Prócz tego istnieje zarzut nader prawnej natury, obejmujący zamiary przestępcze, wśród nich spiskowanie, o które podejrzewa się w pewnych

okolicznościach pewne zgromadzenia osób o złej reputacji. Ale najlepszą rzeczą byłoby, gdyby któryś z nich strzelił do nas. Wtedy nie potrzeba żadnych powodów więcej.

— No, to postanowione — rzekł Olivetti kipiąc entuzjazmem. — Technicy wyjadą najpierw, parami na motocyklach. Potem pierwszy i drugi pluton.

Jego podwładni i sierżant zgromadzili się, żeby zobaczyć na mapie punkty, które wskazywał rozwijając szczegółowo swój plan. Ponti uchwycił spojrzenie Simona i dał mu znak ręką, aby odszedł na bok.

— Wyobrażam sobie, że chciałby pan wrócić do hotelu i przespać się trochę, ale to mogłoby być niebezpieczne. Dam panu klucz od mego mieszkania. Mafia nigdy nie będzie tam pana szukać. Przyjdę do pana, jak wszystko się skończy. Będzie musiał pan zidentyfikować tych, których złapiemy, i złożyć zeznanie dla podtrzymania oskarżenia. Oto adres.

Simon potrząsnął głową, jeszcze zanim przerwał:

— Znów pan chce, Marco, zamęczyć mnie swoją uprzejmością — szepnął — czuję się niewdzięcznikiem odrzucając pana propozycję, ale brałem udział w zbyt wielu aktach tej opery, żeby spocząć na laurach przed wielkim finałem. Pójdę z wami i będę służył radą na wypadek, gdyby wojskowi jej potrzebowali.

— Ale pan jest cywilem. Nie musi pan się narażać.

— Ktoś powinien był mi to powiedzieć parę dni temu. Ale teraz mam sporo swoich osobistych spraw, o których pan coś nie coś wie, i chcę je załatwić, nim jakiś zbyt gorliwy bersagliere położy kres wszelkiej nadziei na uzyskanie odpowiedzi. Jeżeli odmawia mi pan tej odrobiny przyjemności, mogę się zdenerwować i doznam takiej amnezji, że nie będę w stanie zidentyfikować któregokolwiek z pańskich więźniów. Zdarza się to histerykom takim jak ja.

Ponti zacisnął wargi.

— Pański szantaż jest bezwstydy. Ale jestem zmuszony ustąpić. Za to nie biorę żadnej odpowiedzialności ani za pana, ani za żadne kłopoty natury prawnej, w jakie może pan popaść.

— A panu nigdy się to nie zdarzyło, prawda? — zapytał niewinnie Święty.

Narada przy mapie została zakończona i porucznicy wraz z sierżantem wyszli pośpiesznie.

— A więc operacja zacznie się za osiem minut — oznajmił Olivetti. — W telefonach zostało ogłoszone pełne pogotowie, jak tylko pan dał znać, Ponti, a od tego czasu nikt nie dzwonił.

Z szerokim uśmiechem podniósł swoją wielką dłoń i zrobił ruch naśladujący przecinanie drutów.

— Ja też nie ryzykuję — rzekł i spojrzał na Świętego. — Cieszę się, że pan jedzie z nami. Lepiej, jak będzie ktoś znający położenie tego castello.

— Upiera się — powiedział żywo Ponti. — Boi się, że wpadnie w histerię, kiedy zostanie sam. Przeszedł dużo, pan wie.

— Teraz pan to próbuje tłumaczyć, Marco. — Simon uśmiechnął się i wyszedł.

Sprawdził stan benzyny i oleju w samochodzie, kiedy wyruszył patrol zwiadowców, z jękiem motocykli „Guzzi” przypominającym bzykanie os, i przerywającym ciszę nocną. W ślad za nimi rozległ się ryk silników ciężarówek przywoływanych do życia.

Zadowolony, że jego olbrzym ma jeszcze ciągle zapas benzyny wystarczający na sumę kilometrów, jaką prawdopodobnie będzie musiał przebyć, zamknął maskę i w tej chwili tuż obok niego stanął fiat łazik, hamując wszystkimi czterema kołami. Major Olivetti siedział za kierownicą, z tyłu ze stoickim spokojem porucznik i radiotelegrafista, niewątpliwie przywykli do tej kawalerskiej jazdy ich dowódcy; lecz Ponti, zajmujący, miejsce obok majora, z przodu, uchwycił się całą siłą tablicy rozdzielczej, bolesnym wyrazem twarzy dając do zrozumienia,

że wolałby pojazd, którym przyjechał tutaj.

— Niech pan jedzie za moją kolumną — krzyczał z całej siły Olivetti — i dołączy do mnie, kiedy staniemy. Ma pan rewolwer?

Simon pokazał automatyczny pistolet.

— Dziękuję, ale posiadanie broni palnej przez cudzoziemców w tym kraju jest prawnie zabronione. Na wszelki wypadek mam nielegalną broń, którą otrzymałem od mafii. Ale niech pan nie mówi swoim przyjaciołom w *poliziotti*.

Ponti otworzył usta, lecz cokolwiek zamierzał wtrącić tu od siebie, nie wypowiedział tego, a jeżeli, to Simon już nie słyszał. Bo w tej samej chwili major wyszczerzył wszystkie zęby, szarpnął sprzęgło i łazik znikł w ciemnościach nocy ze zrywem, od którego pasażerowie mogli sobie skrócić kark.

Kolumna samochodów ciężarowych z warkotem silników ruszyła za nimi, podczas gdy Simon uruchomił swój silnik i zawrócił. Dołączył do nich za łazikiem zamykającym pochód. Nie był teraz ciekaw, jak sobie radzi Lily, ale co się stało z Giną? Gina o ciemnych oczach i spojrzeniu dziewicy, z ciałem frywolnej nimfy, zapalem młodości i niepewnym losem, Gina, która była jeszcze jedną częścią zagmatwanego świata Alessandra Destamia i która mogła być zniszczona razem z nim, jeśli już jej nie zniszczył przedtem...

ROZDZIAŁ 7

Jak zostały wystrzelone fajerwerki

i jak nos Cyrana sterczał w górę

1

Jazda była powolna. Olivetti niewątpliwie hamował szybkość, aby dać technikom pół godziny przewagi, jakie dla nich przewidział. Jeśli jego rozplanowanie akcji w czasie było prawidłowe, powinni byli dotrzeć do awangardy motocykli w momencie ustalonym dla

rozpoczęcia ataku.

Nie widzieli wybrzeża ani morza, gdyż major rozważnie wybrał tylko drogi w głębi lądu, prowadzące przez góry. Większość bowiem tych dróg była w złym, a często strasliwym stanie. Czasami, gdy zjeżdżali na nie wybrukowany trakt w celu ominięcia miasta, chmury pyłu wzbijały się w górę i opadały na auto utrudniając oddychanie. Simon stawał kilka razy, żeby przeczekać, aż najgęstszy pył osiadzie, potem znów doganiał kolumnę nie obawiając się zgubić jej, dopóki wlokły się za nią te tumany, wskazujące szlak, którym się posuwała.

Ta obliczona na zwłokę jazda trwała aż do północy i i wówczas Simon doznał wrażenia, że do siedziby mafii musi być niedaleko. Przejechali przez ciemną wieś, potem w górę stromą drogą, jakby wykutą w skale.

Światło odbite w lusterku błysnęło w oczy Świętemu, gdy z tyłu nadjechało auto, migaczem dając znak, że będzie wyprzedzać. Z kurtuazją zjechał na bok i w tej samej chwili ogarnęło go przecucie niebezpieczeństwa.

Jaka mogła być przyczyna, dla której zwykły samochód znalazł się o tej porze nocy na takiej drodze i w takim rozpaczliwym pośpiechu, żeby ryzykować wyprzedzanie kolumny samochodów ciężarowych na tym niebezpiecznym odcinku? Tylko jakieś polecenie lub coś więcej niż zwykła beztroska pośpiechu. To niekoniecznie oznaczało, że samochodem jechali sympatycy mafii, lecz wobec przeciętych drutów telefonicznych każdy, kto chciał ostrzec główną kwaterę mafii, o zbliżającej się kolumnie, musiał dotrzeć tam drogą. Tą drogą.

Taki był — tok myśli Simona w czasie krótkiej chwili wyprzedzania go przez samochód i gdy tylko znalazł się za nim, puścił na niego swoje długie światła. Zajaśniały jak dwa sprzężone reflektory przeciwlotnicze i w ich smudze ukazał się długi otwarty alfa romeo, nienowyy, lecz najwyraźniej wciąż jeszcze zdolny do rozwijania niezłej szybkości. Szofer patrzył na drogę, lecz mężczyzna siedzący obok odwrócił się, przysłaniając przed blaskiem

oczy opuszczonym brzegiem czarnego kapelusza.

Simon nacisnął klakson, aby ostrzegawczą serią sygnałów zwrócić uwagę, a oficer w łażiku z przodu był nie w ciemię bity. Dał znak ręką alfi romeo, żeby się cofnął, gdy zaczął go wyprzedzać, i wyciągnął rewolwer dla pokazania, że to nie żarty.

Odpowiedź z alfy romeo była natychmiastowa. Szofer dodał gazu, a jego towarzysz wyciągnął rewolwer i zaczął ostrzeliwać łażika. Oficer zwalił się na siedzenie i alfa przejechała bezpiecznie, trzymając się wąskiego skrawka drogi między ciężarówkami a krawędzią przepaści.

Szanse były bardzo nierówne, ale wydawało się, że napastnicy mogą jednak umknąć.

Ciężarówki toczyły się nieprzerwanie prawą stroną drogi, podczas gdy auto mafii rwało naprzód lewą, z kołami o cal od nie zabezpieczonego jej brzegu. Łażik wyjechał z linii i popędził za nim, a pasażerowie obu samochodów wymieniali strzały, choć żaden nie wydawał się odnieść jakiegoś skutku.

Koniec nastąpił z wstrząsającą gwałtownością, gdy jeden z kierowców ciężarówek w przedzie kolumny uświadomił sobie, co się dzieje. Musiał widzieć błysk ognia z luf lub usłyszeć strzały poprzez warkot silników i zareagował z godną pochwały inteligencją i inicjatywą. Kiedy alfa romeo zbliżył się, aby go wyprzedzić, wyjechał z linii zwężając przestrzeń między swoim autem a brzegiem nicości. Szofer mafii naciskany przez łażika jadącego tuż za nim rozpaczliwym odgłosem klaksonu nie przestawał domagać się przepuszczenia go. Ciężarówka niewzruszenie trzymała się swego kursu i zjechała nieco bardziej na środek jezdni. Na koniec oba pojazdy zetknęły się bokami z bardzo podobnym skutkiem jak piłeczka pingpongowa uderzająca o lokomotywę. Alfa romeo został po prostu zepchnięty w bok z drogi i spadł. Z pewnym opóźnieniem z głębi wąwozu rozszedł się łoskot i blask ognia, lecz konwój był już daleko za punktem, skąd końcowe odblaski dopalającego

się auta mogły do niego dotrzeć.

To był jedyny krytyczny moment, jaki zakłócił przebieg wyprawy. W ciągu kilku minut droga ze stromej przeszła w poziomą, zapaliły się światła hamulcowe i kolumna stanęła. Samochód majora Olivetti z hałasem przejechał wzdłuż całej linii i zatrzymał się obok Simona.

— Technicy są tutaj i meldują, że wszystkie druty są poprzecinane zgodnie z rozkazem.

Jesteśmy gotowi do wejścia. Według mapy dom znajduje się o niecały kilometr stąd.

Zwiadowcy pójdą pierwsi, ja za nimi, i najlepiej byłoby, żeby pan trzymał się mnie. Muszę mieć dokładne rozpoznanie domu, zanim zacznie się strzelanina.

Znów się oddalił, nim Święty mógł zrobić coś więcej niż podnieść rękę do połowy wysokości, aby zsalutować w odpowiedzi. Dodał gazu i bugatti podążył drogą w ślad za łażikiem, dopóki motocyklista nie dał ręką znaku, żeby stanąć. Wjechali w sad i Święty instynktownie cofnął swój samochód, ustawiając go tak, żeby łatwo było znów wyjechać w każdym kierunku. Potem szli dalej pieszo przez sad, aż drzewa przerzedziły się i poprzez otwartą przestrzeń oczom ich ukazał się widok na dom, ciemny i cichy.

— Czy to jest to miejsce?

— Może — odpowiedział Simon. — Nie mogę mieć całkowitej pewności, bo nie widziałem go z tej strony. Wygląda, jakby miał ten sam kształt. Czy położenie jego odpowiada opisowi, jaki panu podałem, na krawędzi skały?

— Dokładnie. I zwiadowcy donoszą, że w pobliżu nie ma żadnego innego domu, który by tak pasował do tego, co o nim wiemy. Widzi pan początek drogi, która schodzi do wioski, wysypana żwirem, tak jak pan mówił. Druga kolumna jest tam w dole i odcina drogą ucieczki tamtędy. Możemy zacząć akcję jak tylko pan nabierze absolutnej pewności, że to jest to samo miejsce.

— Czy wszyscy pańscy ludzie są na stanowiskach?

— Wszędzie. Moździerze powinny być w dole, już z nastawionymi celownikami, karabiny maszynowe też.

— Czy mam pójść i zadzwonić do drzwi frontowych? — spytał Simon wyprostowując się i robiąc kilka kroków a po otwartej przestrzeni oświetlonej blaskiem księżyca.

— Czy pan ma źle w głowie? Niech pan zejdzie stamtąd! Mogą pana zobaczyć z domu!

— Właśnie o to mi chodzi — rzekł Simon. — Oni tam musieli słyszeć ciężarówkę i jeśli mają nieczyste sumienie, wystraszyli się i teraz pilnie obserwują.

Stał wpatrując się intensywnie w budynek przez kilka sekund, i potem cofnął się ostrożnie za gruby pień drzewa.

Obliczył z zuchwałą dokładnością wrażenie, że zrobiła ta demonstracja, i czas jego trwania.

Rozległ się huk wystrzału i seria pocisków przeleciała obok, a niektóre trafiły w pień drzewa.

— Zdaje się, że problem jest rozwiązany — chłodno zauważył Simon — i teraz, kiedy oni zaczęli strzelać, ma pan całe uzasadnienie potrzebne, żeby im odpowiedzieć w ten sam sposób.

Wsparta takim argumentem natury prawnej czy też bez niego część żołnierzy rozsypanych w tyralierę już otworzyła ogień. Dom wkrótce rozgorzał dalszymi błyskami, gdyż jego mieszkańcy przyjęli wyzwanie. Pociski odbijały się jęklwym rykoszetem, śmigając po liściach drzew. Ktoś skierował światło reflektora na budynek, i nim padły strzały, można było zobaczyć, że ciężkie okiennice były uchylone na cal lub dwa tak, aby pomieścić lufę rewolweru, i zdawało się, że większość ich była w użyciu.

— Bardzo pięknie — rzekł Olivetti kucnąwszy obok Simona i Pontiego. — Prosił mnie pan o pomoc w zorganizowaniu obławy na kryminalistów, ale nie powiedział pan, że dojdzie do małej bitwy.

— *Mi despiace, Commandante* — odpowiedział Ponti. — Nie planowałem tego w ten sposób.

— Przykro panu? To najlepsza rzecz, jaka mogła się zdarzyć. W lecie nie ma jazdy na nartach i wszystko, co oni robią, to polowanie na dziewczęta i picie. Tej nocy wypocimy z nich trochę wina! Tylko chcę jeszcze wiedzieć, w jakim stanie życzy pan sobie mieć tych ludzi, którzy są wewnątrz? Jeżeli martwych, sprawa jest prosta. Potrzeba będzie trochę ognia z moździerzy i przed wejściem do każdego z pokoi wrzucimy ze dwa granaty. W ten sposób więźniów może być bardzo mało.

— Jest kilku, których chciałbym wziąć żywcem — powiedział Ponti. — Tylko przywódców. Nareszcie pańscy żołnierze mogą wypróbować swoją sprawność strzelecką i oszczędzić sądom wielu zbytecznych wydatków. Ale chcę ludzi, co są na szczycie, żeby ich rozpoznać, wytoczyć im publiczny proces, co zwróci na nich uwagę całego kraju. Jeśli zginą tutaj, staną się męczennikami, pomniejsi przywódcy zajmą ich miejsce i cała organizacja wkrótce rozkwitnie znowu.

Simon pomyślał, żeby mu może przypomnieć o Ginie Destamio, która mogła również znajdować się w domu, z tego co wiedział. Lecz jeśli była tam, mafiosi sami strzegliby jej pilnie, żeby ją wykorzystać jako zakładniczkę. Samo przypuszczenie jako zbyt niepewne nie usprawiedliwiałoby wstrzymania ataku.

— To trudniejsza sprawa, ale możemy spróbować — mówił Olivetti. — Wybuch otworzy nam frontowe drzwi i okna na parterze i zaatakujemy z trzech kierunków. Będzie trochę ofiar, ale...

Nagle w oddali z jednej strony domu zabłysły światła reflektorów i samochód ruszył z takim impetem, że omal się nie przewrócił skręcając na drogę. Tuż za nim jechał drugi. Były to duże limuzyny, wyraźnie dobrze obsadzone, gdyż z okien ich wydobywały się trzaski broni

małego kalibru.

— Cel na kierowców! — ryknął major głosem, który z łatwością można było usłyszeć poprzez rosnący huk strzelaniny. — Tamtych weźmiemy żywcem!

Pierwszy samochód jechał prosto na ciężarówkę wojskową zaparkowaną w poprzek drogi celowo, nie zwalniając, uderzył w nią i stanął w płomieniach. Ludzie jak szaleni wyskoczyli z auta i potykając się umknęli z zasięgu migocącego światła. Drugi samochód zahamował gwałtownie, ale nie na tyle, żeby stracić rozpęd w chwili gdy uderzył o tył pierwszego. Wówczas stało się jasne, że cały ten manewr był z góry obmyślony: pierwsze uderzenie obróciło ciężarówkę dostatecznie, by między jej zderzakiem a murem z kamieni na skraju drogi powstała przerwa szerokości samochodu, przez którą drugi samochód pchał teraz przed sobą płonący wrak niby taran.

Żołnierze nadbiegli ze wszystkich stron, strzelając. Wydawało się niemożliwe, żeby drugi samochód mógł się jeszcze poruszać: dwie tylne opony były bez powietrza, benzyna wyciekała ze zbiornika. Jednakże tylne koła obracały się, czepiały jezdni i samochód jakoś parł do przodu ze straszliwym zgrzytem i chrzęstem metalu, popychając przed sobą szczątki pierwszego samochodu i w ten sposób torując sobie drogę.

— Daj mi to! — ryknął major i wyrwał jednemu z żołnierzy automat.

Zdawało się, że prawie nie mierzy do celu, a pistolet zaterkotał pięć razy i z samochodu wyleciała przednia szyba. Człowiek nad kierownicą pochylił się, a samochód w szalonym pędzie pojechał dalej drogą i uderzył o drzewo. Dwaj pasażerowie wygramolili się z wnętrza i znikli w ciemnościach.

— Chcę mieć obu tych bandytów — wrzeszczał Olivetti — ale tylko rannych! Wyliżą się w szpitalu więziennym!

— Nie przypuszczam, aby któryś z przywódców był w tym samochodzie — wtrącił Simon

zbliżając się do niego. — To była dywersyjna robota, albo chcieli przetrzeć szlak. Trzeba uważać jeszcze na następny.

Precyzję jego podejrzania potwierdziła w tej chwili czarna sylwetka trzeciego samochodu, który wyjechał z bocznej drogi na szosę. Widocznie musiał być zaparkowany za tym samym rogiem budynku co poprzednie dwa, na podwórzu, po którego bokach prawdopodobnie znajdowały się dawne stajnie i jego pasażerowie mogli śmiało wsiąść korzystając z zamieszania spowodowanego wyjazdem pierwszego samochodu. W świetle płonącego wraku Simon poznał samochód, który polował na niego na drodze po jego ucieczce; przypomniła mu się wtedy limuzyna pokątnego handlarza alkoholu z szumnych dni prohibicji i to podobieństwo okazało się nie tylko powierzchowne. Kiedy pędziła naprzód, żołnierze mieli doskonały cel, toteż spadły na nią strumienie pocisków z automatów. Ale wszystkie okna były zamknięte, w odpowiedzi nie padły żadne strzały.

— On jest kuloodporny! — ryczał major w bezsilnej wściekłości. — Opony! Strzelajcie w opony!

Ale nawet i wtedy kule nie odniosły żadnego efektu; opony musiały być z pełnej gumy.

Celem ich być może nie jest komfort jazdy, lecz doskonałe zabezpieczenie przed niefortunnym przedziurawieniem. Samochód zmierzał z pełną szybkością ku wolnej przestrzeni między murem a ciężarówką szczepioną z dymiącą limuzyną i przejechał z łoskotem, zawadziwszy tylko błotnikami. Grad kul zostawił wgniecenia na jego wysokim prostokątnym bagażniku, lecz nie przeniknął do wnętrza. Wszystkie potoczyły się na drogę.

— Poruczniku Fusco, bierz mojego łazika i goń to draństwo! — wrzasnął major podskakując z furją. — Zatrzymaj ich granatami, jeśli ci się uda, a w każdym razie trzymaj się ich i bądź ze mną w kontakcie radiowym. Wy tam, jak długo muszę czekać, żebyście wyczyścili to gniazdo szczurów?

Żołnierze z wyćwiczonym refleksem posłusznie przystąpili do wykonania swoich zadań.

Moździerz, już ustawiony, wyrzucił pocisk na front budynku i w miejscu, gdzie było jedno z okien zasłoniętych okiennicą; ukazał się ziejący otwór. Łazik trzęsąc się już pędził drogą, gdy Simon schwycił za ramię Pontiego, który stał jak skamieniały, niezdecydowany, do której jednostki powinien dołączyć.

— Niech pan jedzie ze mną — warknął. — Żołnierze zajmą się domem, ale założę się, że nikt tam nie został, kto mógłby pana bardziej zainteresować. — Mówiąc to poszturchiwał osłupiałego detektywa nagłąc, żeby biegł z nim. — Grube ryby są w aucie, które uciekło, a bugatti ma większe szansę, żeby je dogonić, niż fiat.

Bugatti zawarczał z zachwyty, kiedy Simon znów go ożywił, i skoro tylko Ponti usadowił się na przednim siedzeniu, rzucił się do przodu jak gangster spod obrabowanego banku, zatraskując drzwi siłą gwałtownego przyśpieszenia. Popędził, dając popis jazdy wyprzedzeniem jak burza, i to na trzecim biegu, samochodu porucznika Fusco, któremu Simon, odwróciwszy się, drwiąco pokiwał ręką.

Uciekającą limuzynę mimo ciężaru jej opancerzenia i przeciążonych resorów trudniej było dogonić, co w części przynajmniej potwierdzało przewidywania Świętego, lecz po kilku minutach miał ją w światłach swoich reflektorów na zakręcie. Kiedy zaczął się jej przyglądać, zobaczył coś i gwałtownie zahamował, gdy języczki płomienia wyskoczyły ku niemu, a w ślad za nimi, jak smagnięcie biczem, huk materiału wybuchowego.

— Bardzo pięknie — rzekł Simon — prawdziwie gangsterskie urządzenie. Akurat pod szybą z tyłu jest otwór strzelniczy, widziałem wylot lufy, kiedy ją wystawili. Na szczęście droga jest zbyt wyboista, żeby mieli szansę trafić w nas z tej odległości, ale może im się udać, jak podjedziemy bliżej. Teraz po prostu musimy mieć ich na oku z bezpiecznej odległości, a pan tymczasem niech obmyśla jakiś plan, żeby ich zatrzymać.

Ponti klął pod nosem, ale nie dość cicho, żeby pozbawić Simona usłyszenia kilku bardziej efektownych złorzeczeń. Oglądał się za siebie chcąc dojrzeć łazik, ale zostawili go już daleko w tyle i prawie na pewno zwiększali tę odległość.

— Potrzebne nam są chociaż granaty. Na którymś z tych wirazy moglibyśmy rzucić jeden przed nich. Może powinniśmy zwolnić i poczekać na porucznika Fusco.

— I być może już nigdy nie zobaczyć naszego łupu — odciął się Święty. — Zauważył pan, że licznik pokazuje prawie cały czas około 150 km? Przy tej szybkości na każdym skrzyżowaniu znikną nam z oczu w ciągu kilku minut i będziemy grać w orła i reszkę, żeby łatwiej zgadnąć, w którą stronę pojechali. Tamten samochód, może sobie wyglądać, jakby był wzięty z muzeum, ale i temu nic nie brakuje; widzi pan, jak dobrze ciągnie. Tylko nie możemy sobie pozwolić na większy dystans niż konieczny, żeby nie trafiła nas kulka.

Ponti odpowiedział krótkim zjadliwym zwrotem, który zilustrował sytuację bardziej zwięźle niż wszystko, co drukowane.

— Całkowicie się zgadzam — przyznał uprzejmie Święty. — Ale wszystko jedno, nie pozostaje nam nic innego, jak jechać za nimi. Tak więc może pan się odprężyć na tej luksusowej tapicerce, dopóki pański subtelny umysł nie wpadnie na coś bardziej konstruktywnego.

Jak widać, rozwiązanie nie było proste. Sytuacja ich była podobna do klasycznego niebezpieczeństwa grożącego człowiekowi, który trzymał tygrysa za ogon. Zdawało się, że nie ma innego sposobu uchwycenia go i choć puszczenie mogłoby być mniej fatalne w skutkach, było to wyjście, nad jakim żaden z nich nie zastanawiał się ani przez chwilę.

— W końcu musi im zabraknąć paliwa — stwierdził Ponti z niezbyt wielkim optymizmem, obserwując tylne światła tańczące na drodze przed nimi.

— Tak samo i nam. Naturalnie, jeżeli im zabraknie najpierw, pan i ja możemy ich otoczyć.

Simon Templar był w dużo lepszym nastroju, może dlatego, że w swoim życiu miał więcej okazji, żeby się przyzwycząić do trzymania tygrysa za ogon. Z jego punktu widzenia noc była, jak dotąd, wspaniałym sukcesem. Bezbożni uciekali, a on jechał tuż za nimi, deptając im po piętach. Następne posunięcie mogło być problemem; lecz do tej pory — ponieważ nie stało się nic zdecydowanie złego — należało uważać, że wszystko jest dobrze. Umierający autokrata, którego widział, prawdopodobnie w tej chwili już nie żył; nawet gdyby organizm jego gasł w sposób naturalny, był on w stanie wykluczającym przewożenie i prawdopodobnie raczej udzielono by mu pomocy w opuszczeniu tego padołu łąz niż pozwolono by go ująć. Z pewnością ludzie w pędzącym aucie byli najpotężniejszymi i najbardziej zdecydowanymi pretendentami do tronu. Wśród nich niewątpliwie Al Destamio vel Dino Cartelli, z którego przyczyny Simon zaangażował się w tę aferę.

Bronił się przed myślą, by fatum nie odebrało mu teraz szansy w tej ostatecznej rozgrywce...

Z nikłym uśmiechem na ustach Święty nucił melodię, którą tylko on słyszał przez warkot silnika.

Migały światła, skrzyżowań i od czasu do czasu podstępnych rozwidleń, lecz on wciąż jechał za limuzyną. Nie mogła znacznie oddalić się od niego ani się go pozbyć. Przez większość czasu zachowywał dystans dokładnie taki, z którego już nie dosięgnąłby go strzał, lecz zawsze potrafił podkraść się, kiedy to było najistotniejsze i kiedy gwałtowne kołysanie się auta na wybojach przedstawiało najmniejsze ryzyko. Czego się obawiał najbardziej, to aby bugatti nie został trafiony w oponę albo w chłodnicę, lecz żaden z chybionych strzałów nie dotarł do tego celu. Świętemu widocznie nie przychodziło do głowy, że jego samego może trafić kula, chociaż jedna z nich musnęła metalową ramę przedniej szyby i poleciała dalej z

wzmocnionym bzyknięciem jakby wystraszonego komara.

Ukazała się jeszcze jedna wieś, rozciągnięta wzdłuż drogi, oświetlona dokładnie reflektorami limuzyny już na ćwierć mili przed nią. Limuzyna zdawała się zwalniać zamiast przyspieszyć i Simon zmniejszył gaz, a nawet oddalił się nieco.

— Co się dzieje? — rozgniewał się Ponti. — To przecież szansa dla pana, żeby ich wyprzedzić!

— I żeby nas rozgnietli o ścianę jakiegoś domu? — sprzeciwił się Simon. — Albo żeby w nas mogli ładnie wycelować jak zrównamy się z nimi? Nie, dziękuję. Myślę, że właśnie o to im chodzi, żeby nas skusić.

Ale po raz pierwszy jego intuicja zdawała się zawodzić.

Samochód przed nimi zahamował gwałtownie i przechylił się biorąc zakręt w środku wsi, który prowadził pod kątem prostym do głównej drogi — jeśli takie określenie można zastosować do tej, którą jechali.

Simon przyspieszył w stronę narożnika, lecz nie dojeżdżając zwolnił i zakręcił szerokim łagodnym łukiem, ponieważ było to idealne miejsce na zasadzkę. Boczna droga była prosta, ale w odległości stu jardów skręcała w lewo równie gwałtownie i znów Święty wziął zakręt z niezwykłą ostrożnością. Nie było tu też żadnej zasadzki, a czarna limuzyna znajdowała się przed nim o mniej niż pięćdziesiąt jardów i rozpędzała się wjeżdżając na wzniesienie, które zaczynało przechodzić w góry. Simon mógł ocenić jej przyspieszenie według własnego, kiedy dodawał gazu goniąc ją, a jednak początkowo nie udało mu się zmniejszyć odległości między nimi.

W pewnej chwili, kiedy bugatti brał kolejny zakręt i zaczynał zyskiwać jard czy dwa, coś zaskoczyło w umyśle Simona i roześmiał się głośno z radości.

Ponti przyglądał mu się zdumiony.

— Można zapytać, co pana tak bawi?

— Tajemnicze kaprysy Opatrzności i Filozofia Daremnego Trudu — wyjaśnił Święty. —

My tu wysilaliśmy nasze mózgi, żeby wymyślić sposób, w jaki można by ruszyć z tego martwego punktu, zapominając, że Bezbożni muszą robić to samo. Teraz zrobili ruch i chyba wiem jaki. Dorównajmy, a upewnimy się.

— Pan oszalał! Przed chwilą nie chciał pan tego robić, bo posłaliby nam serię kul!

— Ale teraz myślę, że tego nie zrobią. Tylko że jedyny sposób, aby się upewnić, to spróbować.

— Byłem głupi, że w ogóle zacząłem z panem to wszystko — rzekł Ponti wyjmując broń, zdecydowany umrzeć z honorem.

W ciągu minuty po następnym wirażu zbliżyli się znacznie do limuzyny, lecz kule się nie posypały, a otwór strzelniczy był zasłonięty. Reflektory całą swoją mocą przeniknęły przez tylne okno do wnętrza samochodu jadącego teraz na prostym odcinku drogi.

— Uciekli! — Ponti wykrzyknął z niedowierzaniem. — Nie ma nikogo prócz szofera!

Chyba że schowali się.

Wykorzystując prosty kierunek drogi Simon dodał gazu i bugatti wyrwał do przodu, jakby go pchnęła jakaś olbrzymia ręka.

— Nie, jest tylko szofer — powiedział ze spokojem, kiedy zrównali się. — Myślę, że on robi fatalny błąd otwierając swoje okno, bo może strzelić do nas.

Ponti był gotów. Przesunął się na bok, lewą ręką podtrzymał łokieć prawej i starannie wycelował. Kiedy kuloodporna szyba opuściła się dostatecznie, a szofer jeszcze podnosił swój rewolwer, rewolwer Pontiego szczeknął raz. Głowa szofera zwisła na bok i opadła na kierownicę; Simon szybko zahamował, a tymczasem limuzyna zaczęła wykonywać szalone obroty, koziołkować i w podskokach znikła im z oczu.

Wciąż hamując, Simon dostrzegł polną drogę z prawej strony, wjechał w nią i odwrócił się, aby spojrzeć na tę, którą jechali. Zatrzymał wóz i wysiadł.

— Po ciało może pan posłać później, ale teraz niech pan siada za kierownicą. Ma pan znów okazję poprowadzić tę wspaniałą maszynę.

— Po co? — zapytał bezmyślnie Ponti, podczas gdy Simon siadał obok niego.

— Bo we dwójkę możemy spłatać figła, o jakim im się nie śniło. Zauważył pan, że dużo czasu zabrało im to dwukrotne zwalnianie we wsi i jak blisko nich byłem, chociaż celowo zmniejszyłem szybkość? A to dlatego, że stanęli na chwilę, kiedy nie było ich widać, i wtedy pasażerowie wyskoczyli, licząc na szofera, że wywiezie nas w góry, żeby tam gonić go na złamanie karku.

Ponti włączył bieg i już ruszał.

— A więc prawdopodobnie ciągle jeszcze ukrywają się we wsi. Trzeba tylko znaleźć dom.

— I wystawić się na cel, kiedy to zrobimy. Był moment, że widziałem cztery osoby w tym aucie i gdziekolwiek na ziemi się ostaną, będzie to gniazdem mafii. Nie, musi pan wracać na spotkanie z łazikiem porucznika Fusco i przez radio wezwać posiłki.

— I pozwolić, żeby ci famulloni prysnęli?

— Dlatego oddałem panu kierownicę. Pojedzie pan teraz przez wieś powoli, robiąc straszliwy hałas i zdzierając opony na zakrętach tak, że usłyszą wszystko i nie będą mieli wątpliwości, że pan odjechał bez zatrzymywania się. Ale naprawdę, to jak pan dojedzie do głównej drogi, wtedy pan zwolni do piętnastu kilometrów na godzinę i ja pana zostawię. Jeżeli będą uciekać, to albo pójdę za nimi, albo będę starał się ich zatrzymać.

— To szalony plan. Jaką pan ma szansę?

— A jaką mamy lepszą? Niech pan stara się stosować potęgę pozytywnego myślenia,

Marco mio. Niech pan podchodzi do rzeczy z jasnej strony. Być może jest to miejsce, gdzie

Bezbożni trafiają wprost w nasze ręce. I czuję, że dziś fortuna mi sprzyja!

Zjeżdżając w dół nadspodziewanie szybko znaleźli się poza krańcem wsi i zakrętem w boczną drogę, która przecinała główną.

— Niech pan włączy drugi bieg! — warknął Simon. — Niech mają pełnię dźwiękowych efektów. Słyszając pisk opon, strzelanie tłumika i zmianę biegów, będą przekonani, że pan przejechał jak wariat i nigdy nie przyjdzie im do głowy, że małpujemy ich atak szału.

— Mam tylko cichą nadzieję — rzekł posepnie Ponti — że pan zna jakiegoś bogatego przemysłowca, który zatrudni niechlubnie zwolnionego z pracy urzędnika policji, jeśli trudy dzisiejszej nocy nie zostaną uwieńczone powodzeniem.

Ale posłuszny instrukcjom wziął zakręt na dwóch głośno opierających się kołach i pozwolił ślizgać się sprzęgłu, żeby wydobyć dodatkowe wycie silnika. Simon odsunął zatrask drzwiczek od swojej strony, przytrzymał je, gotów otworzyć szeroko w odpowiedniej chwili, kiedy wjechali w wąską ulicę. Widząc już z daleka wlot na główną drogę, Ponti nacisnął klakson ze zwiększoną energią i donośne jego echa odbiły się od śpiących murów i wzbudziły w sercu Simona nadzieję, że zdołają zatrzymać każdy pojazd, któremu zdarzyło się jechać główną drogą w kierunku zderzenia. Potem jeszcze raz zapiszczały opony i bugatti wykonał szeroki zakręt.

Ponti wyłączył sprzęgło jak tylko samochód wyrównał, ale trzymał gaz naciśnięty, żeby utrzymać hałas i przy tej minimalnej szybkości Simon wyskoczył. Jeszcze nie dotknął ziemi, kiedy Ponti znów włączył sprzęgło i czerwony potwór popędził w dal.

Simon puścił się pędem, którego odgłos utonął w warkocie oddalającego się silnika, i pięcioma długimi krokami znalazł się pod osłoną ciemności bramy. Bugatti znikł na drodze, hałas jego rozplynął się w oddali i cisza znów spowiła wszystko niby wyczuwalne dotykem przykrycie.

Raz jeszcze znalazł się osamotniony w fortecy pełnej potencjalnych wrogów.

Przez pięć minut stał w bramie, nieruchomy i niemy jak stare mury. Nie widział światła, nie słyszał żadnych dźwięków, a okna po przeciwnej stronie, z której ktoś mógł go obserwować, były zasłonięte okiennicami i ciemne. Wychudły kot kroczył chodnikiem, przystanął, żeby przyjrzeć się Simonowi wyczekująco, i uciekł. Poza tym nie było żadnego znaku życia. Niemożliwe, żeby zgiełk wywołany przejazdem samochodów nie zaniepokoił nikogo, lecz mieszkańcy albo nauczyli się, że dyskrecja jest lepszą częścią ciekawości na tych wzgórzach, gdzie królowała mafia, albo może sielankowy tryb życia skłonił ich do ponownego zaśnięcia na ostatnią godzinę czy dwie przed znojem następnego dnia.

Na fosforyzującej tarczy swego zegarka sprawdził, że jest dwadzieścia po trzeciej. Tak wiele działo się tej nocy, że wydawało mu się, iż powinna była już minąć, lecz teraz obliczył sobie, że musi być jeszcze około godziny ciemności. Godzina, która zapewni mu największą osłonę, nim wcześniej wstający zaczną się ruszać i szary przedświt ukaże go ich oczom.

Co oznaczało sporo czasu albo zbyt mało.

W pierwszej chwili znalezienie kryjówki Ala Destamia i jego kompanów wśród tych wszystkich pozamykanych i cichych budynków mogło się zdawać niepodobieństwem. Lecz w rzeczywistości nie było to bynajmniej poszukiwanie nie oparte na żadnych przesłankach. Po pierwsze, większą część wsi, przez którą jadąc Simon miał limuzynę na oku, można było wykluczyć. Po drugie, wybór tego szczególnego osiedla przez uciekających nie był podyktowany jego kulturalnymi atrakcjami ani malowniczym położeniem, czy też dokonany pod naporem chwili. Bezbożni musieli dokładnie wiedzieć, do jakiej kryjówki się schronią, gdy wyskakiwali z auta, nie licząc, że ślepy los zawiedzie ich w odpowiednie miejsce. Nie może też to być dom znajomego sympatyka, bo musiałoby to pociągnąć za sobą zwłokę nie

do pomyslenia na dobijanie się do drzwi, żeby go obudzić, i czekanie, aż otworzy. Musiało to być coś, do czego mogli dostać się od razu; a ponieważ linia telefoniczna do zamku–fortecy została przecięta na długo przed ich ucieczką, nie mogli zadzwonić z góry z zapowiedzią przyjazdu i przygotować kogoś na ich przyjęcie. A więc musiało to być miejsce, do którego mieli klucz, albo wiedzieli, że drzwi zawsze były otwarte. Prawopodobnie musiał to być dom jednego z nich. A jeżeli należał do tak wysoko postawionego członka mafii, musiałby być dostrzegalnie bardziej okazały niż domy przeciętnych sąsiadów. A zatem znów większa część pozostałych teoretycznych możliwości mogła być wyeliminowana.

Zadowolony, że nikt go nie obserwuje, Simon Templar wysunął się z bramy i skierował się z powrotem w boczną ulicę tak bezszelestnie jak kot.

Kryjówka mieściła się zapewne za drugim zakrętem przed następną przecznicą, gdyż w ten sposób uciekinierzy mieli więcej czasu, żeby zniknąć, nim bugatti znów będzie miał ich w swoim polu widzenia, gdzieś w obrębie pięćdziesięciu jardów odcinka oddzielającego Simona od limuzyny, kiedy zobaczył ją znowu. Od narożnika posuwał się wolniej, wyszukiwał najgłębszy cień i lustrował budynki po każdej stronie, wytyczając wzrok i słuch, by złowić każde migotanie światła lub szmer czy odgłos, mogące zdradzić podejrzanie wczesny ruch wewnątrz.

Domy stały bokami do siebie, ale nie w równej linii, niektóre były bardziej cofnięte od drogi niż inne. Simon minął dwa, potem trzeci, w którym znajdował się sklep, a nad nim część mieszkalna, jeszcze jeden wysoki wąski budynek — i w żadnym z nich nie było znaku życia. Potem było coś, co miało tylko około dwa metry wysokości i bliżej niż domy sąsiadów wystawało ku drodze; w jednej chwili Simon zorientował się, że to nie jest wysunięty parter, lecz mur otaczający ogród przed domem w głębi.

Kiedy snuł się tak, podobny do cienia, usłyszał dochodzący zza rogu miękki odgłos

stąpienia i krew zaczęła mu szybciej krążyć w żyłach, jakby na potwierdzenie jego pewności, że to musi być miejsce, gdzie zakonspirowali się Destamio i Spółka. Rozpłaszczony o mur, z głową obróconą tak, że jednym okiem tylko mógł wyjrzeć za narożnik, zobaczył jakiś ciemny kształt, który wysunął się z przejścia przed domem i stanął, żeby spojrzeć w jedną i drugą stronę drogi. Błyszczący niby robaczek świętojański koniec żarzącego się papierosa rozjaśnił się ukazując pospolitą o okrutnym wyrazie twarz typowego bojówkarza, i błysnął na walcowatym kształcie czegoś, co wyglądało jak dubeltówka ukryta pod jego ramieniem. To był argument przekonujący. Duży dom za murowanym ogrodzeniem i uzbrojony strażnik przed domem. Każdy sceptyk, który by domagał się liczniejszych dowodów, prawdopodobnie nie wierzyłby, że trafiła go bomba wodorowa, dopóki jego prochów nie poddano by próbie licznika Geigera.

A zatem Simon musiał wycofać się tak niedostrzegalnie, jak przyszedł, dotrzeć do Pontiego i żołnierzy za wsią i przyprowadzić ich na miejsce.

Tylko że stosunkowo tak bierne uczestnictwo nigdy nie było ulubioną rolą Świętego. I z pewnością pociągnęłoby to za sobą nieoczekiwany bieg wydarzeń tej afery, w którą zabrnął tak daleko. Ponadto ludzie mafii tyle zalali mu sadła za skórę, że trudno mu byłoby spokojnie pozwolić komu innemu wymierzyć im zasłużoną karę. Major Olivetti i jego bersaglieri byli znakomici, jeśli chodzi o atak frontalny na pałacową fortecę. Huk moździerzy i błyski pocisków smugowych stanowiły efektowne tło do zdjęć do szerokoekranowego filmu kryminalnego; ale Simon czuł, że w jego osobistym porachunku z Alem Destamio wchodzi w grę coś bardziej intymnego.

Czekał, nie ruszając się, z nieskończoną cierpliwością, dopóki strażnik w końcu się nie znudził i nie wrócił do ogrodu.

Skradając się cicho jak tygrys Święty poszedł za nim i skoczył.

Pierwszym wrażeniem, jakiego doznał strażnik, było prześlizgnięcie się ramienia po jego łopatkę i wepchnięcie do gardła zgiętego kciuka zaciśniętej pięści. Jak sparalizowany, niezdolny był ani odetchnąć, ani krzyczeć, i drugiego uderzenia w kark, które bezlitośnie odebrało mu świadomość, już nie czuł.

Święty schwycił wypadającą dubeltówkę, a drugą ręką przytrzymał tamtego za ubranie, żeby jego upadek był tylko łagodnym osunięciem się na ziemię. Potem sprzątnął omdlałe ciało ze ścieżki i wepchnął je w cień do kępy krzewów.

Droga prowadziła prosto do drzwi garażu, symbolu zamożności, który wyraźnie był wykrojony w rogu parteru budynku znacznie starszego niż wszelkie wehikuły wprowadzane w ruch inną siłą niż konie, skąd chodnikiem wyłożonym płytami przejść można było do trzech stopni i po nich do drzwi frontowych. Simon wszedł na palcach i drzwi ustąpiły pod dotknięciem ręki — spodziewał się tego, gdyż Bezbożni nie byli po staropanieńsku podszyty strachem, żeby zamykać strażnika na dworze. Hall był ciemny, lecz przez szparę pod drzwiami w głębi sączyło się światło i słychać było głosy ludzi, którzy szeptem prowadzili rozmowę. Trzymając dubeltówkę w jednym ręku Simon stąpał cal za caliem ku światłu, wyczulony na każdą niewidzialną przeszkodę, na której w katastrofalny sposób mógł się potknąć.

Głosy przenikały przez szparę dość wyraźnie, tak że mógł rozróżnić Destamia po jego chrypiącym tonie, lecz rozmowa była prowadzona przeważnie dialektem sycylijskim, a słowa zniekształcone i wypowiedzane z szybkością karabinu maszynowego i prawie nie mógł za nią nadążyć. Od czasu do czasu ktoś przechodził na czysty włoski, co sprawiało mu większą mękę niż pomagało, gdyż odpowiedzi natychmiast stawały się tak niezrozumiałe, jak i poprzednie zwroty. Robiło to wrażenie toczącej się dyskusji nad tym, czy mają tu zostać, czy wyjechać samochodem, który tak jakby był na miejscu, czy też rozproszyć się. I czy należało

uznać, że sprawy aktualne zostały już załatwione, czy odłożone. Sprzeczne zdania ścierały się z sobą, przy czym głos Destamia stawał się donośniejszy, zdawało się, że jest on na najlepszej drodze do przewodzenia opozycji. Lecz kolejny, najbardziej stanowczy, jeśli nie spokojniejszy, wtrącił się z jakąś propozycją, która zdawała się spotkać z jednomyślnym przyjęciem: ogólny szmer uznania zmieszał się z odgłosem odsuwanych krzeseł i szuraniem nogami po podłodze, bezładną rozmową wstających od stołu, przy którym toczyła się narada, gotowych do ucieczki.

I tu właśnie Simon postanowił przeszkodzić. Nie było czasu na przygotowanie jakiegoś planu, musiał działać pod wpływem pierwszego impulsu, ale przynajmniej zaskoczenie i zmuszenie ich do reakcji dawały mu bezcenną przewagę inicjatywy, co jednocześnie wywarłoby na nich wrażenie, że jest dokładnie zorientowany w sytuacji. Nim ktokolwiek mógł to zrobić, Simon otworzył drzwi i stanął zajmując całą ich szerokość, ze strzelbą opartą na biodrze.

— Szukaliście mnie? — spytał łagodnym tonem.

Wstrząs był tak silny, że znieruchomieli w dziwnych pozycjach, jak gdyby to była scena z filmu zatrzymana w połowie akcji, śmieszny obraz rozwartych ust i wytrzeszczonych oczu. Pojawienie się u samych wrót ich tajnego konklawe człowieka, z którym usiłowali rozprawić się w ten czy inny sposób przez jeden dzień i dwie noce, i za którego sprawą ponieśli teraz porażkę, wobec zbrojnych sił sprawiedliwości i o którym mieli pełne prawo myśleć, że przynajmniej pozbyli się go na pewien czas, to dość, żeby sterroryzować ich na chwilę nawet bez groźby broni.

Było ich czterech: najbliżej Świętego tęgi mężczyzna o świńskich rysach z blizną na twarzy oraz wyższy, podobny do kościotrupa, z grubymi wargami, nadającym mu wygląd murzyńskiej głowy śmierci — obu ich widział przy łożu don Pasqualego, za nimi Al

Destamio i człowiek zwany Cyrano z racji swego nosa. Siedzieli wokół okrągłego stołu jadalnego, na którym stały kieliszki i butelka grappy, pod mosiężną lampą w kształcie szerokiego stożka z jedną tylko żarówką. Popiół z papierosów i cygar oraz niedopałki zbrukały talerz ze złożonym brzegiem, użyty jako popielniczka. Destamio pierwszy odzyskał równowagę.

— To blef — zakrakał — ma tylko dwa naboje. Nie użyje ich, bo wie, że nawet jeśli trafi dwóch z nas, to pozostali dwaj dadzą mu radę.

Powiedział to wyraźnie po włosku, żeby Simon mógł zrozumieć.

Simon uśmiechnął się.

— A więc którzy z was chcieliby zostać bohaterami, żeby poświęcić się dla innych dwóch?

Nikt się nie zgłosił na ochotnika.

— No to cofnijcie się trochę — rozkazał Święty wymachując strzelbą. — Nigdzie nie pójdziecie.

Ten z bliźną i kościotrup usłuchali bez niechęci, lecz Destamio stał za kościotrupem, którego postać w niedostatecznej mierze zasłaniała jego wystający łokieć w chwili, gdy prawą rękę przeniósł wzdłuż boku. Niepokojny wzrok Simona pochwycił ten ruch i głos jego niby mieczem przeszył gęste od dymu powietrze.

— Powstrzymaj go, Cyrano! Albo nigdy nie dowiesz się, co to za podejrzany gość.

— A chciałbym to wiedzieć — powiedział Cyrano i rozwarł szeroko usta w uśmiechu, który utworzył bruzdy po obu stronach majestatycznego nosa.

Poza odezwaniem się zrobił jeszcze coś więcej. Schwycił za prawy nadgarstek Destamia, uniemożliwiając ruch ręki w kierunku biodra. Mięśnie ich przez chwilę zmagaly się z sobą, nim Destamio musiał zrozumieć, że nawet najłżejsza walka unicestwiłaby wszelką przewagę, jaką mógłby zyskać działając skrycie; i zamierzony gest zastąpiła nienawiść niby równie

dotykalna łącząca ich więź.

— Będiesz słuchał każdego tylko dlatego, że jest przeciwko mnie, *non e vero*? —

warknął Destamio. — Nawet tego...

— Dobry przywódca słucha wszystkiego, zanim podejmie decyzję, Alessandro —

powiedział spokojnie Cyrano. — Możesz być pierwszym, który się poświęci, tak jak on to określił, jeżeli chcesz, ale nic w tym złego, że usłyszysz, co on nam powie. Nie masz przecież nic do ukrycia, prawda?

Charkot wydobył się z głębi krtani Destamia, który nie dał jednak żadnej artykułowanej odpowiedzi. Zrezygnował niechętnie z dalszego wysiłku, wzruszając z niesmakiem ramionami, czym próbował wyrazić myśl, że każdy, kto jest dość głupi, żeby przystać na takie rozumowanie, zasługuje na cały nonsens, jaki usłyszysz. Niemniej złość i niepokój były w spojrzeniu jego oczu jak paciorki.

— To już lepiej — wycedził Święty — teraz możemy pogawędzić w kulturalny sposób.

Zbliżył się do stołu, aby sięgnąć po butelkę, i pociągnął potężny łyk, nie odrywając spojrzenia od swych słuchaczy, którzy byli jego więźniami. Skrzywiwszy się wzruszył ramionami, ale butelki nie odstawił.

— Brr... — ton jego głosu złagodniał — nie dziwię się, że ludziom, którzy piją coś takiego, przychodzi na myśl wendeta. Ja zacząłbym moją od producenta.

— Jak się tu dostałeś? — spytał Cyrano gwałtownie.

— Bocian mnie przyniósł — rzekł Święty. — Jednak o ile jesteście ciekawi; czy stało się to za jakąś milczącą zgodą waszego strażnika przy wejściu, to zapomnijcie o tym. Biedak nie okazał się nielojalny. Dostał ostrego bólu gardła. Jeżeli jeszcze będzie oddychał, kiedy go znajdziecie, co jest raczej wątpliwe, mam nadzieję, że do obrażeń, jakie odniósł, nie dodacie waszych.

— Tak czy inaczej odpowie za swoje niedbalstwo — rzekł Cyrano. — Ale skoro już tu jesteś, czego chcesz?

— Pewnych informacji o Alessandro, w zamian za którą mogę wam udzielić innych.

— Gra na zwłokę — warknął ostro Destamio. — Cóż takiego mógłby o mnie powiedzieć każdemu z was?

— Otóż to chciałbym wiedzieć — powiedział Cyrano wężąc swym wielkim nosem jak wampir.

Nie był głupi. Wiedział, że Święty nie bez powodu znalazł się tutaj, żeby mówić. I nie był skłonny dać wiarę słowom Destamia co do tego, jaki to był powód. Nawet odległa możliwość, że w tym jest coś więcej niż gra na zwłokę, zmuszała go do zaspokojenia swej ciekawości, gdyż nie mógł sobie pozwolić na odrzucenie czegokolwiek, co mogłoby zaważyć na ich rywalizacji. Wiedząc już, jak dalece jest zaciekle, Simon stawką swego życia wygrywał ich obu i ich partnerów nawzajem przeciwko sobie, utrzymując to zaangażowanie, aby nie powrócili do nieubłaganego rachunku, dodawania lub odejmowania od zimnego faktu, że mogła go zniszczyć, gdyby tylko zdobyli się na odwagę i zapłacili cenę.

— Oczywiście wy wszystko wiecie o jego dojrzałych latach — powiedział Simon miękko.

— Ale ja mówię o jego głębszej przeszłości, kiedy Al, którego znacie, był jeszcze szczeniakiem, jeśli wybaczycie to słowo. Don Pasquale niewątpliwie znał sekrety was wszystkich, ale zabrał je z sobą. Al jest starszy od was i w tym tłumie może już nikogo nie być, kto powiedziałby, że wzrastał z nim razem. Niewielu z was może się spodziewać, że doczeka jego czcigodnego wieku; istnieje zbyt wiele niebezpieczeństw natury zawodowej. Tak że nie może być zbyt wielu ludzi na tyle pechowych, by potrafili go rozpoznać pod nazwiskiem, jakie nosił, nim pojechał do Ameryki.

— On oszalał — dławił się Destamio. — Wszyscy znacie moją rodzinę.

— Wszyscy znacie rodzinę Destamio. To jest zasłużone dla mafii nazwisko. I asekurowająca przeszłość dla waszego nowego szefa. Z drugiej strony czy w tych niespokojnych czasach moglibyście sobie pozwolić na wybór szefa, na którym ciąży niezbite oskarżenie o napad na bank i morderstwo, za co nie ominęłoby go jutro więzienie, albo też, tym szantażowany, zdradziłby was?

4

Simon Templar wiedział, że przynajmniej wywołał jakieś wrażenie. Mógł to wywnioskować ze sposobu, w jaki kościotrup i mężczyzna z blizną patrzyli na Destamia — z nieodgadzionym wyrazem twarzy czekając na jego odpowiedź. Na tym szczeblu żadne tego rodzaju oskarżenie, jakkolwiek niedorzeczne mogłoby się wydawać, nie daje się pominąć milczeniem.

— Kłamstwa! Same kłamstwa! — huknął Destamio, tak jakby chcąc je rozproszyć samą mocą głosu. — Mówi, co mu ślina na język przyniesie.

— No to dlaczego podnosisz głos? — urągał mu Simon. — Czy to nieczyste sumienie?

— Jakie jest to drugie nazwisko? — spytał Cyrano.

— Zapewne Dino Cartelli — rzekł Święty.

Destamio spoglądał na twarze swych towarzyszy i wydawał się czerpać siły z faktu, że nazwisko najwyraźniej nie zrobiło na nich żadnego wrażenia.

— Kim jest ten Cartelli? — szydził. — Ten Święty tylko próbuje narobić mi kłopotów.

Myślę, że on pracuje dla rządu amerykańskiego.

— Bardzo łatwo to udowodnić — rzekł ze spokojem Święty zwracając się do Cyrana, jak gdyby to była ich prywatna sprawa. — Trzeba tylko wziąć odciski palców Ala i dać policji w Palermo do sprawdzenia w kartotece Dina Cartelli. Niewątpliwie macie tam kontakty, może sam maresciallo tym się zajmie? Cartelli oczywiście uważany jest za zmarłego, więc będą

zaintrygowani tym, że po świecie chodzi ktoś żyjący z identycznymi odciskami palców.

Trzeba będzie przeprowadzić dochodzenie w trybie natychmiastowym, co opinia publiczna będzie śledziła z uwagą, albo cały system daktyloskopii okaże się niewart funta kłaków. Ja bym jednak zaproponował, aby Ala przymknąć gdzieś do czasu, nim to wyjaśnicie, przecież człowiek w tym wieku co on mógłby sypnąć coś nie coś w zamian za szansę spędzenia ostatnich lat swego życia na wolności.

Twarz Destamia przybrała odcień ciemnej purpury, lecz panował nad sobą jeszcze bardziej. Musiał, jeśli chciał przezwyciężyć podejrzenie i utrzymać zakwestionowany margines swego przewodnictwa. A udało mu się wspiąć tak wysoko tylko dlatego, że miał tupet i robił dużo krzyku.

— Chętnie sam zajmę się sprawdzeniem odcisków moich palców — powiedział Destamio.

— I każdy, kto wątpił w moją prawdomówność, na kolanach będzie prosić mnie o przebaczenie.

Była to strategia monumentalnego blefu, tak bezczelna, że prawie niezawodna — gdyby jednak nie chwyciła, pozostawała nadzieja, że wymyśli jakieś nowe oszustwo.

Wystarczyło widzieć, jak Cyrano zacisnął wargi czując, że jeszcze raz oddala się powiewający nad jego ramionami płaszcz don Pasqualego.

— Tylko że tego nie da się zrobić w ciągu dwóch minut — ciągnął Destamio nasilając swój kontratak. — I mówię wam, że on tylko próbuje odwrócić waszą uwagę na parę chwil, dopóki być może nie zjawi się wojsko czy policja.

Nagle utkwiał swoje czarne ruchliwe oczki w punkt nad ramionami Simona i ponad jego głową, rozszerzając je o mikroskopijną cząstkę. Gdyby powiedział coś w rodzaju „obejrzyj się za siebie”, Simon tylko huknąłby na niego za ten wyświechtany kawał, ale ta mimowolna reakcja zwróciła uwagę na ukradkowe trzeszczenie podłogi, jakie się rozlegało z tego samego

kierunku, gdzie padł wzrok Destamia, niepotrzebnie podkreślając autentyczność tego odgłosu. Święty zrobił pół obrotu, żeby spojrzeć w górę i za siebie, zdając sobie sprawę dokładnie z podejmowanego ryzyka, tak jak pogromca lwów, który musi oderwać wzrok od jednej sfory zwierząt, żeby umiejscowić drugą, czającą się za jego plecami, i w świetle padającym z pokoju na schody, na ich niewyraźnym tle ujrzał tłusty stwór kobiecy w czarnym szlafroku z wysokim kołnierzykiem, próbujący mierzyć w niego z wiekowego rewolweru, który trząsał się trzymany przez nią oburącz — żona czy gospodyni Cyrana, kościotrupa czy mężczyzny z bliźną, ktokolwiek tu był gospodarzem, musiała słyszeć wszystko od chwili, kiedy Simon otworzył drzwi od jadalni, i w potrzebie gotowa była dzielnie wypełnić swe domowe obowiązki.

Błyskawicznie odwrócił się przodem do pokoju, podczas gdy ci, co się tam znajdowali, rozpaczliwymi ruchami manewrowali przy swych biodrach i pod pachami, a butelkę, którą ciągle jeszcze trzymał w ręku, rzucił w nie osłoniętą żarówkę. Zadźwięczała o mosiężny abażur niby gong, rozpryskując się na wszystkie strony, i światło zgasło.

Stary rewolwer huknął jak armata i z ciemności, która zapanowała w jadalni, posypały się drobniejsze wystrzały, lecz Simon był już w hallu, nietknięty. Wystrzelił jeden ładunek z dubeltówki w kierunku jadalni, mierząc nisko, i został nagrodzony okrzykami wściekłości i bólu. Na tym poziomie śrut nie wyrządziłby śmiertelnej krzywdy, lecz mógł zmniejszyć o jednego lub dwóch skład zebranych, którzy byliby zdolni puścić się za nim w pogoń.

Rozmyślnie zatrzymał palec na drugim spuście wyobrażając sobie, że pewni, iż ma jeszcze jeden nabój, ostygną nieco we wrogim zapale.

Następnych kilka pocisków, wystrzelonych może zza futryny drzwi jadalni, świsnęło obok niego, gdy jednym susem przebył przestrzeń do drzwi frontowych, po schodkach na zewnątrz i respekt dla ładunku w jego dubeltówce pozwolił mu ukosem przebiec przez ogród do bramy

bez dodatkowej strzelaniny.

Za bramą przystanął, nasłuchując, czy ktoś za nim nie biegnie, ale ciszy nie przerwał odgłos żadnych kroków. Mógł wykorzystać to, że wybiegł pierwszy z domu, i udał się w którąkolwiek stronę, a Bezbożni będą musieli odgadywać, jaki kierunek drogi wybrał; ale to również pozostawiało im wolną drogę do ucieczki, w której nie byłby zdolny im przeszkodzić i straciłby ich z oczu. Gdyby teraz dwóch ich wyszło, to wyliczył sobie, że będzie musiał najbliższego zdzielić kolbą dubeltówki w nadziei, że zdąży jeszcze strzelić do drugiego, jeśli wyjdą trzej albo więcej, ale taki rozwój wypadków byłby zaiste bardzo ryzykowny. A jeśli wyjadą autem, będzie musiał strzelić do szofera, życząc sobie, aby szyba nie była zbyt odporna na śrut.

Czekał w napięciu, lecz zdawało się jakby tamci czterej zrobili przerwę, żeby lizać rany, albo przygotowywali jakiś bardziej skryty manewr.

Wtem usłyszał całkiem inny odgłos: daleki szum szybko przybliżających się motorów.

Przewodził im chrapliwy warkot silnika bugatti, dopełniony jakimś akompaniamentem wysokich i niespokojnych tonów. Światła padły na zakręt drogi ku wsi i omiotły całą jego długość. Bugatti z Pontim przy kierownicy i porucznikiem Fusco obok niego był przez chwilę dokładnie oświetlony reflektorami jadącego za nim łazika, nim jego własne przesunęły się po zakręcie i oświetliły Simona. Pobiegł ku nim z obydwoma rękami uniesionymi w górę, jedną trzymając strzelbę, w nadziei, że to powstrzyma jakiegoś rwącego się do walki wojownika, który przez pomyłkę wziąłby go za atakującego nieprzyjaciela.

Bugatti zadymił oponami zwalniając i Simon zszedł na bok, żeby pozwolić mu podjechać ku sobie, po czym zwrócił się do Pontiego:

— Długo to trwało — powiedział ostro. — Czyżby zapomniał pan, jak się przełącza na bezpośredni bieg?

— Porucznik Fusco nie chciał zostawić swego łazika i musiałem jechać tak, żeby nie odłączać się od nich — usprawiedliwił się detektyw. — Czy poszczęściło się panu?

— Szalenie. I nie tylko w jednej rzeczy. — Simon pomyślał, że ze szczegółami można zaczekać. — Jest ich co najmniej sześciu w tym domu za murem: czterech żywych, grube ryby, strażnik, którego mogłem zabić, i kobieta, która z powodzeniem mogłaby być matką potwora.

Fusco wyskoczył i krzyknął do swoich żołnierzy:

— Zameldujcie majorowi, gdzie jesteśmy, i że wejdziemy tam, a potem idźcie za nami.

— Dobrze, że nie próbujemy ich zaskoczyć — zauważył Simon. — Ale oni już wiedzą, że wpadli. Chodzi tylko o to, czy poddadzą się, czy będą walczyć.

Przez bramę razem weszli na drogę prowadzącą do domu. Trzej żołnierze z łazika porucznika Fusco szli za nimi z takim stukotem butów, jakby walił cały pułk, nim zboczyli na trawnik.

Ponti wyjął latarkę i oświetlił nią drzwi frontowe które Simion zostawił na wpół otwarte.

— Wyjdźcie z rękami podniesionymi do góry — krzyknął stanąwszy przed schodami — albo wejdziemy i wyprowadzimy was.

Nie było żadnej odpowiedzi i światło latarki wędrujące po hallu nie natrafiło na nikogo.

— Teraz moja kolej — rzekł Ponti i odepchnął Simona na bok, wbiegając po schodkach.

Fusco pobiegł za nim, a Święty musiał odzyskać zachwianą równowagę, nim mógł ruszyć śladem porucznika. Lecz nie powitały ich żadne strzały i hali oraz schody okazały się puste w świetle latarki. Jednak jakąś migocąca żółta jasność wydobywała się przez drzwi jadalni i kiedy się tam zbliżyli, ujrzeli kościotrupa i mężczyznę z blizną leżących na podłodze wśród jęków, podczas gdy kobieta, która dała się poznać jako strażniczka domu, próbowała przy świetle świecy opatrzeć ich zakrwawione nogi.

Cyrano również leżał na podłodze, ale nie jęczał. Na jego koszuli była tylko jedna czerwona plama; oczy miał otwarte i niewidzące. Jego wspaniały nos wznosił się w górę pomiędzy nimi niby kamień nagrobkowy.

Ponti schylił się nad nim na chwilę i spojrzął na Świętego.

— Czy pan to zrobił?

Simon potrząsnął głową.

— Nie. Tamtych tak, poczęstowałem ich tym. — Złamał strzelbę wyjmując jedną łuskę i nabój. — Nie miałem rewolweru. Miał go Destamio i tamci dwaj, miała i Florence Nightingale. Zbiłem żarówkę — pokazał na pusty abażur — i wszyscy strzelali po ciemku. Mógł to być wypadek. Będzie pan musiał spróbować sprawdzić pociski. Ale jednego rewolweru brakuje. *Dove Destamio?* — zwrócił się do kobiety.

Wlepiła w niego dzikie spojrzenie, ale nie odezwała się.

— Musi być tylne wyjście — rzekł Simon — albo...

Odwrócił się i trącił dwóch bersaglieri, którzy tłoczyli się w drzwiach.

— Idźcie i pilnujcie garażu — powiedział szybko — a jeden z was niech zastawi wyjazd waszym autem.

Przeszedł przez hall i otworzył drzwi po przeciwnej stronie. Prowadziły do kuchni oświetlonej tylko słabą żarówką elektryczną umieszczoną nad zlewem. Poszedł do innych drzwi stojących otworem, a Ponti za nim. Wyszli w ciemność i otoczyło ich rześkie powietrze.

— Pańskie tylne wyjście — rzekł Ponti. — Powinniśmy byli je odszukać, nim weszliśmy od frontu.

— Jeżeli Al z niego skorzystał, to prawdopodobnie przed waszym przybyciem — odpowiedział Simon. — Teraz ukrył się gdzieś we wsi, a może próbuje wydostać się stąd na

piechotę. Jeżeli Olivetti i jego ludzie dołączą do nas dość szybko, wciąż jeszcze można by otoczyć wieś.

Detektyw świecił latarką na wszystkie strony. Znajdowali się na niewielkim podwórzu, które otaczał mur ze starą studnią w jednym rogu, pojemnikami na śmiecie w drugim i otworem stanowiącym wyjście na wąską uliczkę w trzecim. Światło latarki przesunęło się na czwarty róg i krótkie brzydkie przekleństwo wyrwało się z ust Pontiego.

— Myślę, że jest o wiele za późno.

W czwartym rogu krótka dróżka prowadziła do dużych, na oścież otwartych drzwi, przez które ziała pustka ścian, a w głębi znajdowały się inne drzwi, zamknięte.

— Niech diabli porwą ten garaż! — zazgrzytał zębami Simon. — Dwoje drzwi z obu stron i tylna droga wyjazdowa. Co powinno być u każdego szefa mafii. A jeżeli tu był samochód taki, jak przystało na rangę szefa, to już jest prawdopodobnie dwadzieścia kilometrów stąd.

Wrócili przez dom i Simon wyszedł przez frontowe drzwi i drogę aż do bramy. Ponti mu towarzyszył.

— Strażnik, którego obezwładniłem, leży w tych krzakach — Simon pokazał miejsce, gdy je mijali.

— Dokąd pan idzie? — spytał Ponti.

— Zabieram moje auto i wracam do domu, dziękując panu za uroczy wieczór — powiedział Święty. — Nie mam tu już nic do roboty. A jeżeli zdarzy mi się znów spotkać Ala, to panu dam znać.

— Dziękuję za to, że panu przyszło do głowy, gdzie go szukać i powinienem zabronić panu próbować robić to dalej na własną rękę — mruknął Ponti. — Ale ponieważ pan odmówił, to proszę tylko o jedno, żeby mi pan dał go zobaczyć żywego, jeśli możliwe. Dwaj, którym podziurawił pan nogi, są mi znani, i dobrze będzie ich zobaczyć za kratkami, ale Destamio

byłby jeszcze lepszy.

— Postaram się o tym pamiętać — powiedział Święty dwuznacznie. Zakręcił korbą i wsiadł do samochodu. — Jak dojechać do drogi na wybrzeżu?

— Niech pan zakręci w prawo na głównej drodze i na najbliższym rozwidleniu w lewo. To nie bardzo daleko. *Arrivederci*.

— Ciao — rzekł Święty, cofnął wielki samochód na drogę i pomknął jak strzała.

Rzeczywiście do szosy na wybrzeżu było mniej niż dziesięć minut drogi i z uczuciem radosnej ulgi w sercu powitał jej twardą nawierzchnię i stosunkowo łagodne zakręty. Pomimo żelaznej wytrzymałości nagromadzone trudy i brak snu w ciągu ostatnich paru dni zebrały nieuniknione żniwo i Simon zaczynał toczyć świadomą walkę ze zmęczeniem. Najmniejszym wysiłkiem było przyspieszenie, toteż przez najbliższe mile przekraczał wszelkie ograniczenia i większość przepisów drogowych; lecz szczęśliwie było jeszcze za wcześnie na to, aby wyjechały już auta policyjne i motocykle.

Niebo bladeło, kiedy dotarł do przedmieść Palermo i zwolnił, żeby przedrzeć się przez znane mu już boczne ulice. Był jeden dowód, którego poznanie udaremnilo mu w skuteczny sposób, a który był mu jeszcze potrzebny do zakończenia całej swojej przygody, i kiedy w końcu zatrzymał samochód, brama cmentarza, który odwiedził poprzedniej nocy, mignęła w świetle reflektorów nim je zgasił.

Nie była zamknięta, ale przy mauzoleum Destamiów z powrotem przymocowano kłódkę.

Tym razem nie miał klucza, ale wziął z samochodu korbę, która zastąpi go równie dobrze, tylko że w sposób bardziej brutalny. Wsunął jej koniec w otwór i nacisnął z całej siły. Metal zazgrzytał, trzasnął i złamane żelastwo upadło na ziemię.

Wiedział, że nie ma nic tak mylnego, jak utarte pojęcie, że piorun nigdy nie uderza dwa razy w to samo miejsce, ale to, żeby ktoś zaczął się tu po raz drugi celem osaczenia go, tak

samo jak poprzednim razem, w znacznej mierze zwiększałoby trafność tego przesądu.

Bezpieczny w swej ufności, że żaden biograf nie narzuci mu takiego ponurego powtórzenia, wszedł do wnętrza bez wahania czy niepokoju, kierując się do sarkofagu, który w ostatniej chwili przeszkodzono mu zobaczyć, gdy tu był poprzednio.

Latarki kieszonkowej nie miał już od dawna, ale znalazł pudełko zapalek w schowku na rękawiczki w aucie. Zapalił jedną, której płomień rozjaśnił kryptę bez okien. Prawie na wysokości jego oczu znajdowała się trumna z brązu, która wyglądała na nowszą od innych, chociaż miała już wiele lat i była pokryta kurzem. Przybliżył się i zapalką oświetlił pociemniałą tabliczkę umieszczoną z boku.

Odczytał napis:

ALESSANDRO LEONARDO DESTAMIO

1898–1931

ROZDZIAŁ 8

Jak Dino Cartelli to wykopał

i jak Święty złożył ofertę

Brama wjazdowa do posesji Destamiów była otwarta na oścież, kiedy Simon znów ją zobaczył. Po raz pierwszy ujrzał taki widok i serce zaczęło mu bić optymistycznym rytmem na myśl o tym, co ta różnica może zwiastować. W miarę jak jego pole widzenia stawało się wyraźniejsze, rozróżnił w mdłym świetle żarówki umieszczonej nad drzwiami frontowymi mały, lecz bardzo nowoczesny samochód zaparkowany przed domem. Ustawiony był przodem do bramy, jakby w pogotowiu do jak najszybszego odjazdu; można sobie było wyobrazić, że jest to pojazd, w którym człowiek, znany jako Alessandro Destamio, wymknął się ze swej kryjówki na wsi, a ustawienie auta wskazywało, że ucieczka nie miała bynajmniej zakończyć się w tym miejscu. A jednak tutaj mogła się zakończyć cała historia...

Simon przyszedł pieszo, zaparkowawszy swój wóz dobre dwieście jardów dalej, bo nie sposób było stłumić donośnego warkotu tak, żeby nie usłyszały go czujne uszy. Teraz on, skradając się jak kot, słyszał dochodzące z wnętrza domu równomierne uderzenia i walenie, które z powodzeniem mogły zagłuszyć wszelkie odgłosy na zewnątrz. Daleki od oszołomienia tym hałasem w domu, Święty natychmiast intuicyjnie wyczuł jego przyczynę i błogi uśmiech rozszerzył mu oczy i usta.

Przez chwilę, kiedy lubował się wizją, jaką roztoczyła przed nim wyobraźnia, pilnie lustrował wzrokiem okna górnego piętra. Wszystkie były pozamykane z wyjątkiem jednej pary okiennic uchylonej na kilka cali, dostatecznie, by się przekonać, że okno od wewnątrz nie było zamknięte. Okno to wychodziło na balkon utworzony przez portyk nad głównym wejściem. Dla wytrawnego sportowca wspiąć się po kolumnie i znaleźć się w pokoju na górze oznaczało tylko nieco większy wysiłek niż wejście po schodach frontowych.

Przechodząc przez pokój usłyszał ciężki oddech, po czym światło zapaliło się nad łóżkiem. Ukazały się niby zmumifikowane rysy Lo Zio, siedzącego na łóżku w koszuli zapiętej na guzik pod szyją i w autentycznej szlafmicy z chwostem na czubku głowy...

Święty uspokoił go swym uśmiechem.

— Buon giorno — powiedział. — Chcieliśmy tylko wiedzieć, czy pan się dobrze czuje.

Teraz proszę sobie poleżeć spokojnie, dopóki nie przyniesiemy śniadania.

Bezzębne usta starca rozwarły się w uśmiechu na znak, że poznaje go i Lo Zio posłusznie się położył.

Simon wyszedł szybko na korytarz, dokąd dochodziło żółtawe światło ze schodów.

Odgłosy powtarzanych uderzeń w dalszym ciągu rozlegały się na dole, teraz głośniejsze, gdy znalazł się wewnątrz budynku, lecz przed wyjaśnieniem ich przyczyny i podjęciem ryzyka następnego posunięcia musiał się dowiedzieć, czy Gina jest w domu. Istniało niewielkie

prawdopodobieństwo, że była na tym piętrze, skąd ucieczka mogłaby być zbyt łatwa, lecz schody prowadziły na górę do małego korytarza, gdzie znajdowało się tylko czworo drzwi. Simon zapalił zapalniczkę, żeby przyjrzeć im się wyraźniej i wzrok jego zatrzymał się na tych, w których klucz tkwił na zewnątrz. Delikatnie nacisnął klamkę i stwierdził, że są zamknięte, lecz przytknąwszy ucho do ściany usłyszał, że ktoś jest wewnątrz. Mogło być tylko jedno wyjaśnienie tego anormalnego zjawiska, i nie wahając się już ani chwili dłużej przekręcił klucz i wszedł do środka.

W pustym pokoju na poddaszu, gdzie przez jedyne okno w górze zaczął już przeziierać blady świt, siedziała Gina i na widok Świętego rzuciła mu się w ramiona.

— No więc jesteś cała i zdrowa! — rzekł. — Jak to dobrze.

— Oskarżają mnie o to, że pokazałam ci kryptę, w której cię złapano. Naturalnie zaprzeczyłam, ale na nic się to zdało — powiedziała. — Wuj Alessandro kazał donnie Marii trzymać mnie pod zamknięciem, dopóki nie dowie się, co ty jeszcze wiesz, i powiedział, że dopilnuje, abys już więcej nie robił mu kłopotów. Myślałam, że wezmą cię na przejażdżkę, tak jak to robią w filmach gangsterskich.

— Przypuszczam, że w końcu tak by się stało — rzekł — ale inni już przedtem też miewali takie plany, tylko że ja zawsze sprawiam im zawód.

— Ale jak uciekłeś? Co się stało?

— Będę musiał ci wszystko opowiedzieć później. Ale najważniejszą odpowiedź usłyszysz za chwilę, kiedy spotkamy się z Alem ostatni raz. — Niechętnie odsunął od siebie pokusy jej delikatnego, drgającego ciała. — Chodź ze mną.

Poprowadził ją za rękę na korytarz. Na dole ciągle rozlegało się łomotanie.

— Co to jest? — szepnęła.

— Myślę, że wuj Al otwiera jeszcze jeden grób — odpowiedział takim samym

przyciszonym głosem. — Zobaczmy.

Kiedy znaleźli się w hallu, Simon wyjął z kieszeni pistolet, pierwszy raz od chwili wejścia do domu.

Drzwi od pokoju, niegdyś ponurego salonu, w którym przyjmowano oficjalnych gości, były szeroko otwarte i zobaczyli straszliwy nieporządek, jaki tam panował. Meble z najdalszego kąta zostały wysunięte na bok bezładnie, dywan odwinięty, a płyty podłogi potrzaskane ciężkim młotem kowalskim. Potem kilofem wyrąbano i wyłobiono otwór w warstwie betonu pod płytami.

W otworze ukazała się zardzewiała żelazna płyta, którą Destamio właśnie wydobywał kilofem. Był bez marynarki, zabrudzony, rozczochrany, ociekający potem i sapał z wściekłości, do której doprowadził go nadmierny wysiłek.

Donna Maria z jedną ręką na oparciu krzesła, drugą ściskając kurczowo przód flanelowego szlafroka, który zakrywał jej kształty do kostek, stała przyglądając się dziełu zniszczenia z pewnego rodzaju bezradnym zafascynowaniem.

— Obiecałeś mi, że nie będzie żadnych kłopotów — jęczała po włosku. — Najpierw obiecałeś, że wyjedziesz za granicę i nigdy nie wrócisz i że rodzina będzie miała dosyć pieniędzy.

— Nie dlatego wróciłem, że chciałem — warknął Destamio. — Co innego mogłem zrobić, kiedy Amerykanie mnie wyrzucili?

— Potem znów obiecałeś, że wszystko będzie w porządku, że będziesz nas z daleka trzymał od swoich spraw. Ale te parę ostatnich dni wplątało nas we wszystko.

— To nie moja wina, że ten łobuz Templar zjawił się, żeby wszędzie wetknąć swój nos, staruszko. Ale teraz wszystko się skończyło.

Pomrukując i klnąc oderwał w końcu metalową płytę i rzucił ją z brzękiem przez pokój.

Ukląkł i sięgnął w głąb otworu, jaki się odsłonił, i wyciągnął stamtąd tanią fibrową walizkę, pokrytą kurzem i brudem. Z wysiłkiem uniósł ją wstając, i niedbale postawił na polerowanym blacie stolika.

— Zabieram., co moje, i teraz już nigdy mnie nie zobaczysz.

Święty uznał, że czekać dłużej na jakąś możliwie bardziej dramatyczną chwilę, żeby się ukazać, byłoby czystą afektacją. Nie dlatego, żeby przestał się lubować w efektownych sytuacjach, ale (jak się przekonał w wieku dojrzałym) jeśli chodzi o regulowanie rachunków, zawsze jest pewien moment pozbawiony odpowiednich ozdób i nie będzie już lepszego.

Pchnął drzwi, otwierając je jeszcze szerzej, i spokojnie wszedł do pokoju.

— *Famose ultime parole* — odezwał się.

Głowy Alessandra Destamio i donny Marii, jak gdyby szarpnięte sznurkami przywiązanymi do uszu, wykonały w tej samej chwili półokrągłe i gwałtowne obroty, które byłyby w stanie wykręcić im szyje. Na widok intruza wytrzeszczyli oczy tak, że omal nie wyszły im z orbit.

Destamio wykazał jeszcze refleks robiąc szybki ruch w kierunku bocznej kieszeni.

— Nie radziłbym — zwrócił mu uwagę Święty łagodnie, nieznacznie unosząc pistolet, który trzymał w ręku, aby mu go pokazać.

Destamio opuścił swoją broń i po chwili wyprostował się. Oczy jego znalazły się znów na swoim miejscu, a po ich spojrzeniu Simon zorientował się, że do pokoju weszła za nim Gina.

Nie odwracając głowy Święty wolną lewą ręką zrobił zamaszysty ruch, którym zapraszał ją, aby połączyła sobie rozgardiasz w pokoju i otwór w jogu z zakurzoną walizką na stole.

— Gra nazywa się „polowanie na skarb”. Ale obawiam się, że Al oszukuje. Wiedział przez cały czas, gdzie jest ukryty, bo sam go zakopał potem, jak wykradł go z banku w Palermo, gdzie pracował pod innym nazwiskiem.

— Czy to prawda, wuju Alessandro? — spytała cicho Gina.

— Nie jestem twoim wujem — padła niecierpliwa odpowiedź wypowiedziana ochryłym głosem. — Nigdy nie byłem twoim wujem ani niczym wujem i ty też zapomnij o tej bzdurze.

— Jego prawdziwe nazwisko brzmi Dino Cartelli.

Oczy Cartelli–Destamia płonęły jadem nienawiści, gdy spojrzął na Simona.

— Dobrze, mądralo — warknął po angielsku. — Zrób tak, jak detektyw w filmie telewizyjnym. Opowiedz im mój życiorys, jak sam go ułożyłeś.

— Zgoda, jeśli o to prosisz — odrzekł Święty uprzejmie. — Sam zawsze lubiłem patrzeć na takie sceny i zastanawiałem się, czy ktoś potrafi równie wspaniale zrekonstruować wszystko z tego, co zapamiętał, bez wydatnej pomocy autora, który sobie to wymyślił. Ale zobaczmy, co się uda zrobić.

Gina stanęła tak, że znalazła się teraz w zasięgu jego spojrzenia, którego nie musiał przesuwać zbyt daleko od swego pierwotnego celu. Łatwiej mu było mieć całe audytorium przed sobą, niż zwracać się do niej przez ramię.

— Dino jest człowiekiem wszechstronnie utalentowanym i o wygórowanych ambicjach, i dajmy sobie spokój z tą bajeczką o Alessandrze Destamio. Zaczął jako drobny kombinator w skali dwudziestu pięciu centów tutaj w Palermo i ciągle jest kombinatorem, ale już osiągnął stawkę sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów albo i więcej. Kiedyś miał dobrą posadę w lokalnej filii angielskiego banku, lecz jako chłopakowi, któremu się śpieszy do kariery, perspektywy w tej instytucji wydawały mu się zbyt ograniczone i mało atrakcyjne. Wstąpił w szeregi mafii, a może już był jej członkiem — moja kryształowa kula nie pokazuje tego jasno, ale to nie ma znaczenia. Ważne, że ktoś pomyślał o szybszym niż praca sposobie wydostania z banku pieniędzy w większej ilości.

Oczy Cartellego znów stały się małe i ruchliwe i Simon wiedział, że jego mózg, daleki od

kretyńskiego, wysiła się, żeby znaleźć sposób wyjścia z matni, i wykorzystuje cały czas, jaki można by zyskać pozwalając komuś innemu mówić.

— Początek jest dobry — zachrypiał Cartelli — co dalej?

— Czy to był pomysł samego Dina, bo już zapoznał się z kasą i korzystał z niej po trochu, a miała być kontrola z banku, czy też działał na zlecenie kogoś wyżej postawionego, to już inna sprawa i o tym nie mogę wam nic powiedzieć, zresztą to nie jest ważne. Punktem zwrotnym jest fakt, że bank został ograbiony najwidoczniej przez jakichś osobników, którzy tam wtargnęli, podczas gdy Dino pracował do późna którejs nocy. Zdaje się, że stoczył bohaterską walkę, nim zginął na skutek postrzału w twarz i rękę, co go okaleczyło tak, że był nie do poznania, a nawet urzędowa identyfikacja była niemożliwa. Ale czytaliście dosyć powieści kryminalnych, żeby się domyślić, jak to było naprawdę.

— Mów dalej — rzekł Cartelli. — Ty to wymyśliłeś.

— Jak na pierwszy raz to skok był klasyczny — ciągnął Simon z niezmaconym spokojem.

— W rzeczywistości to był wariant sztuczki wziętej z kilku klasycznych historii. Oczywiście napastnicy byli kumplami Dina i on ich wpuścił. Pomógł im rozpruć sejf i zagarnąć łup, potem zamienił się na ubranie z innym facetem, którego przyprowadzili jako ofiarę. I zabili go z rewolweru, ale któż śmiał wątpić, że to był lojalny pracownik Dino Cartelli? Za to, że zniknął, Dino dostał ładny kawałek grosza, czego spora część jest w tej walizce. Jak przypuszczam, mafia zagarnęła resztę i wszyscy byli zadowoleni z wyjątkiem towarzystwa ubezpieczeniowego, które poniosło poważną stratę. I być może zamordowanego człowieka bez twarzy. Kto to był, Dino?

— Nikt, nikt — powiedział Cartelli ochryplym głosem. — Może taki, co zdradził mafię?

Nikt. Nie mów mi, że cię obchodzi jakiś sukinsyn jak tamten!

— Może być, że nie — odrzekł Święty. — Jeżeli mafia sama rozprawia się ze swymi

zbląkanymi braćmi, to nawet dałbym im subwencję. Ale potem, po wielu latach, dokładnie owego dnia, sprawy zaczęły się źle układać, jeśli chodzi o zbrodnię doskonałą, o której Dino myślał, że jest pogrzebana i zapomniana. Pewien niemądry stary Anglik, turysta, nazwiskiem Euston, który kiedyś pracował razem z Dinem w banku, po tych wszystkich latach poznał go w restauracji w Neapolu częściowo po bliźnie na policzku, pozostałej jako pamiątka po jakiejś młodzieńczej awanturze z Eustonem. A Euston był zbyt głupi i uparty, żeby dać się przekonać, że się pomylił. Tak więc, może bez zbyt wielkiej niechęci, kiedy odżyło wspomnienie otrzymanego ciosu w szczękę, Dino zlikwidował go. Wtedy zainteresowałem się tym i właściwie wszystko, co się stało od tego czasu, dało początek usiłowaniom Dina, żeby mnie przekupić albo zwinąć.

— A mój stryj? — spytała Gina oszołomiona. — Co on miał do tego wszystkiego?

— Twój stryj nie żyje — powiedział Simon przyjemniejszym tonem. — Byłem w mauzoleum przed przyjazdem tutaj i dokończyłem poszukiwań, które zaczęliśmy wtedy wieczorem. Alessandro Destamio rzeczywiście zmarł w Rzymie w 1931 roku po tej chorobie, tak jak podejrzewałaś, i Dino wcielił się w niego. Uczucia rodziny były jednak wystarczająco silne, aby trumnę Alessandra umieścić w krypcie przodków. Dlaczego użyczyli Dinowi swego nazwiska, to już mogą być tylko domysły.

Z wyrachowaniem mówił znów po włosku, aby i donna Maria mogła go zrozumieć, i z nadzieją, że udzieli wyjaśnień, co się też stało.

— Odpowiem ci, Gino — powiedziała znów z pewnym śladem rdzy i octu w głosie. —

Twój stryj był dobrym człowiekiem, ale nie umiał gospodarować pieniędzmi i roztrwonił wszystko, co mieliśmy. Był umierający, kiedy przyszedł do mnie Dino i zaproponował pomoc w utrzymaniu domu i rodziny. Zgodziłam się ze względu na całą naszą sytuację, gdyż rozumiałam, że sam, nigdy nie będzie próbował być z nami. Ale najpierw nie dotrzymał

obietnicy, a teraz chce nam wszystko zabrać.

— Powinna pani była przejąć jego łup jako zabezpieczenie, póki była szansa — powiedział Święty dotykając zamka walizki.

Matrona wyprostowała dumnie swoją przysadkowatą figurę.

— Nie jestem złodziejką — powiedziała. — Nie tknęłabym skradzionych pieniędzy.

Simon wzruszył ramionami, znów nie mogąc pojąć kaprysów ludzkiego sumienia.

— Chciałbym widzieć różnicę między tym a pieniędzmi, które przysyłał wam z Ameryki.

— Ona jeszcze zapomina — rzekł zjadliwie Cartelli — że Lo Zio sam był kiedyś w mafii jako don...

— *Sta zitto!* — wrzasnęła donna Maria.

— I nie miała nic przeciwko korzystaniu z jego pomocy. A potem, jak go sparaliżowało i do niczego już się nie nadawał, don Pasquale zaproponował mu ten układ jako rodzaj renty, co przyjął z zadowoleniem.

— Dość, *vigliacco!* Lo Zio jest chory, umierający, nie możesz tak o nim mówić.

— Mówię prawdę — rzekł szorstko Cartelli. Potem odezwał się po angielsku: — Słuchaj, Święty. Ci ludzie nic nie znaczą dla ciebie. Kiedy wykończyłem Eustona i chciałem to samo zrobić z tobą, to była samoobrona. Nic osobistego. Tak. Teraz wyszedłem na durnia. Nasłałeś na mnie gliny i nawet mafia nie chce mnie już po tych wszystkich kłopotach, jakich im narobiłem. Ale ty i ja możemy jeszcze się dogadać.

Poruszony przez Świętego palcem zamek odskoczył. Walizka nie była zamknięta. Podniósł wieko i pokazał jej zawartość, którą stanowiły starannie powiązane i ułożone pliki banknotów w formatach i kolorach walut różnych państw.

— Co do tego? — spytał.

— Tak. Powinienem był to zostawić. Przez cały ten czas radziłem sobie bez tego, mam w

banku w Szwajcarii dość, żeby nie umrzeć z głodu teraz, jak wyjadę z Włoch. Weź to, daj; co chcesz, tej starej i Ginie i sobie resztę, Tu jest dużo, starczy, żeby ci wynagrodzić wszystkie kłopoty, jakie miałeś przeze mnie.

Rozpacзлиwa powaga brzmiała w tym chrapliwym głosie.

— Nikomu nigdy o tym nie powiem, jeżeli tylko dasz mi szansę wyjść stąd.

Simon Templar oparł się o stół, unosząc lekko jedną nogę, żeby usiąść, i zamyślony, palcami wolnej ręki wodził po wiążkach banknotów w otwartej walizce. Przez kilka sekund śmiertelnego napięcia zdawał się czekać i nadsłuchiwać jakiegoś wewnętrznego głosu, który by mu podszepnął radę.

Na koniec podniósł wzrok i uśmiechnął się.

— Dobrze, Dino — rzekł. — Jeżeli tak chcesz, odejdz.

Gina westchnęła cicho.

Cartelli nie wydał żadnego głosu, nawet i pomruku podziękowania. Bez słowa schwycił swoją marynarkę i pośpiesznie wkładał na siebie wychodząc.

Simon poszedł za nim dostatecznie daleko, żeby śledzić jego platfusowaty chód przez hali, aż do drzwi wejściowych, i upewnić się, że po ich zamknięciu Cartelli był na dworze, a nie ukryty wewnątrz z zamiarem powrotu i kontrataku. Począł, dopóki nie usłyszał, jak mały samochód ruszył sprzed domu i odjechał.

Kiedy wrócił do pokoju, donna Maria siedziała na krześle z twarzą ukrytą w dłoniach, a

Gina wpatrywała się w niego jakby zawiedziona i osamotniona w swym zmieszaniu.

— Więc pozwoliłeś mu odjechać — powiedziała z wyrzutem. — Za jego skradzione pieniądze.

— No cóż, argument był przekonujący — Simon rzekł wesoło.

— Czy myślisz, że ja dotknę tego?

— Mówisz jak donna Maria. To nie dotykaj. Ale ja jestem pewien, że bank czy jego towarzystwo ubezpieczeniowe zapłacą ładną sumę jako nagrodę za zwrot tych pieniędzy. Czy widzisz w tym coś niemoralnego?

— Ale po tym wszystkim, co on zrobił, morderstwo...

Z zewnątrz, lecz z niezbyt daleka nagle doszły do nich pomieszane odgłosy nadjeżdżających samochodów, hamowania, krzyki, jakiś łoskot i potem wystrzały, kilka wystrzałów. I w chwilę później cały zgiełk ustał tak gwałtownie, jak się zaczął.

— Co to było? — szeptem spytała Gina.

Simon zapalił papierosa z uczuciem, że jest to chwila, w której może sprawić sobie szczególną satysfakcję.

— Myślę, że to było ostatnie wyjście Dina przed kurtynę — powiedział spokojnie. — Tak jak nam powiedział, nie wróci nigdy po te pamiątki ze swej młodszej eskapady. Ale — przeszedł na włoski, znów ze względu na donnę Marię, która podniosła głowę ogłupiała, lecz pełna lęku przed swoim domysłem — to chciwość wpędziła go w całą tę matnię i tylko jest poetyczną sprawiedliwością, żeby chciwość go stamtąd wydobyła. Kiedy wykopywał swoje pieniądze, ja tylko zyskiwałem na czasie, żeby policja i wojsko nadążyły za mną. Mamy mnóstwo atrakcji od ostatniego wieczoru i będę musiał ci o tym opowiedzieć. Niedawno przejąłem najszybszy środek lokomocji, który był mój, bo wynająłem go zapłaciwszy hojnie, ale szef policji tym razem okazał się nie w ciemną bitą i wiedziałem, że nie upłynie dużo czasu, nim się domyśli, że tu jest to miejsce, do którego pojechałem.

— Policja — powtórzyła donna Maria jak skamieniała.

Simon spojrzał na nią nie spuszczać wzroku.

— Ten Marco Ponti nie jest taki jak inni. Myślę, że potrafię go przekonać, żeby pochować Dina Cartelli pod jego własnym nazwiskiem, jako zastrzelonego w czasie próby ucieczki po

wykopaniu swej części łupu pochodzącego z napadu na bank i przechowywanego w domu Destamiów, gdzie bywał za młodu gościnnie przyjmowany, przez tę rodzinę, która nic nie wiedziała o jego kontaktach z mafią. Uważam, że nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby Lo Zia pozostawić innemu sędziemu, przed którym i tak będzie musiał wkrótce stanąć. Myślę, że Marco wszystko to zaakceptuje, jeśli pani zgodzi się nie zatrzymywać tu Giny wbrew jej woli.

— Ale dokąd pojedę? — spytała Gina.

— Wszędzie tam, gdzie świeci słońce i gdzie będziesz mogła tańczyć, śmiać się i bawić, tak jak to powinna robić dziewczyna, kiedy jest młoda. Mogłabyś spróbować St. Tropez dla zmiany wrażeń, do jakich przywykłaś. Albo Kopenhaga, Nassau czy Kalifornia, czy też jakiegokolwiek inne miejsce, o którym marzyłaś, aby je zobaczyć. Jeżeli chcesz, odprowadzę cię, gdzie zechcesz, i pomogę ci wyjechać.

Jej cudowne oczy ciągle były w niego utkwione z prowokującym zachwytem, kiedy ostre szarpnięcie dzwonka u drzwi frontowych zapowiedziało obowiązkową, lecz bez wątpienia nieistotną przerwę.

Document Outline

- [Rozdział 1](#)
 - [1](#)
 - [2](#)
 - [3](#)
 - [4](#)
- [Rozdział 2](#)
 - [1](#)
 - [2](#)
 - [3](#)
 - [4](#)
- [Rozdział 3](#)
 - [1](#)
 - [2](#)
 - [3](#)
 - [4](#)
- [Rozdział 4](#)
 - [1](#)
 - [2](#)
 - [3](#)
 - [3](#)
- [Rozdział 5](#)
 - [1](#)
 - [2](#)
 - [3](#)
 - [4](#)
- [Rozdział 6](#)
 - [1](#)
 - [2](#)
 - [3](#)
 - [4](#)
- [Rozdział 7](#)
 - [1](#)
 - [2](#)
 - [3](#)
 - [4](#)
- [Rozdział 8](#)